Reporter „Odgłosów" jedzie rowerem przez Polskę (1)

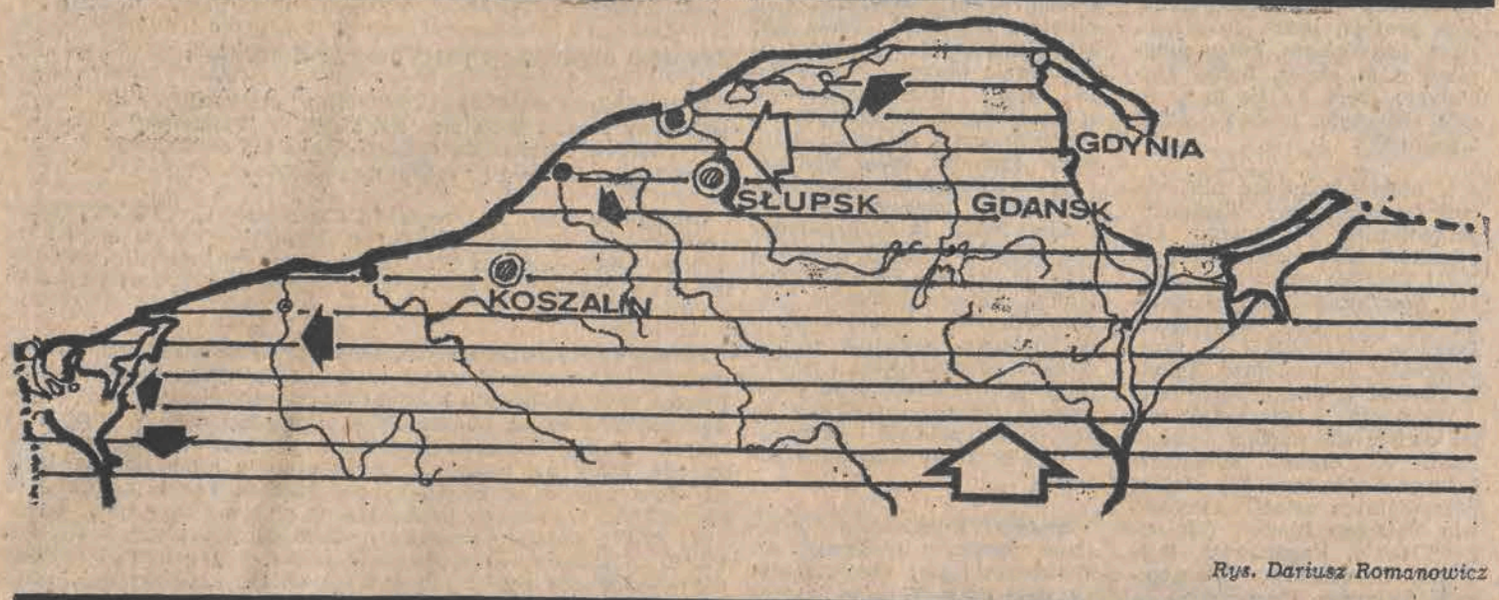

Rys. Dariusz Romanowicz

- Czy Piłsudski myślał o unowocześnieniu armii? — str. 4
- Złota szarańcza w Międzyzdrojach — str. 6
- Co dalej z partią? — str. 3
- Najbliższa rodzina Stalina — str. 10

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 35 (1639) ROK XXXII 27 SIERPNIA 1989 ROKU CENA 120 ZŁ

Rys. Dariusz Romanowicz

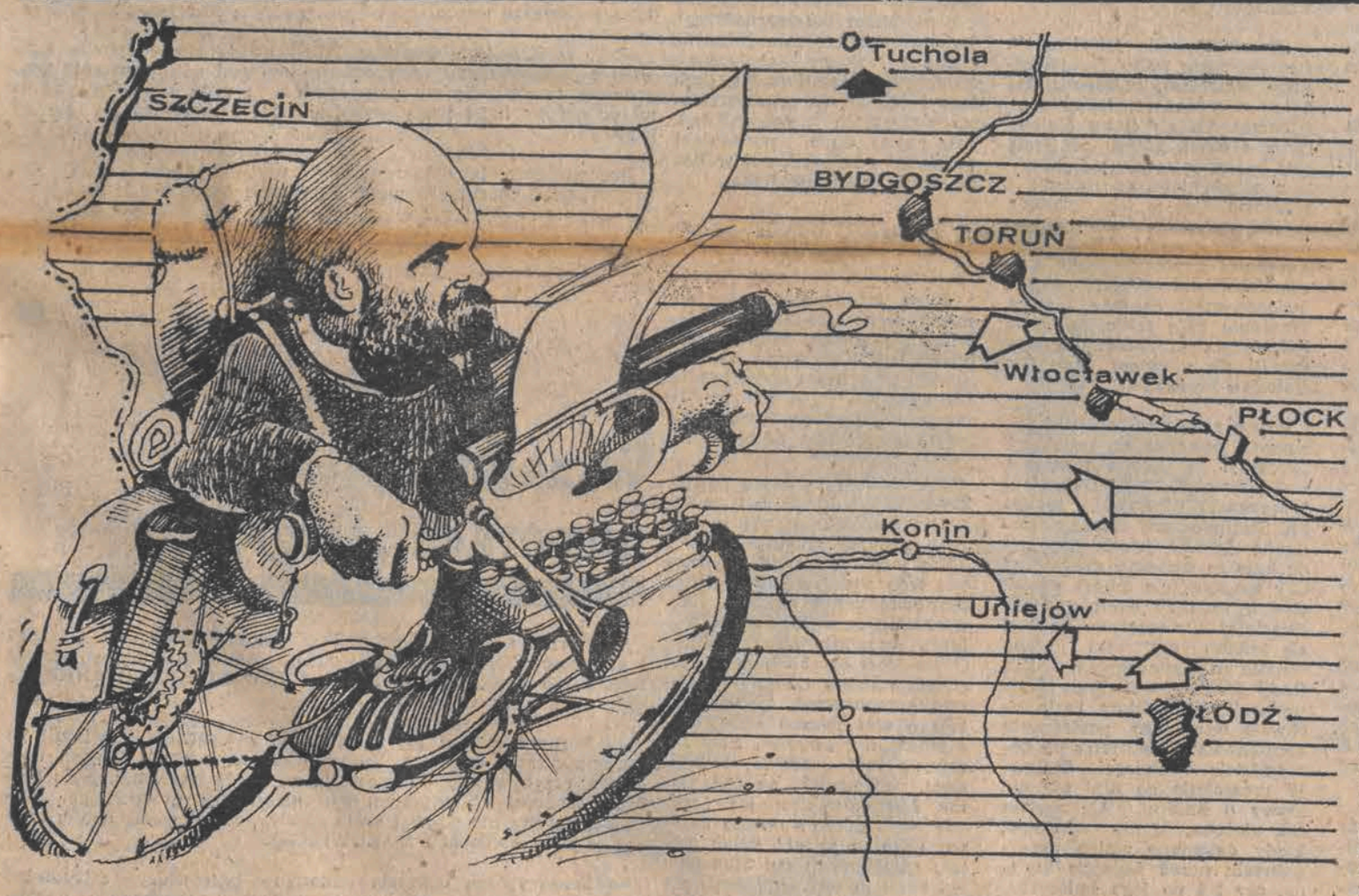

Rys. Dariusz Romanowicz

Maryśka! Nie wygłupiaj się!

MAREK KOPROWSKI

1. Kierunek morze, a potem w lewo!

Cykl reportaży, które — mam nadzieję — ukażą się na łamach „Odgłosów" — powstaje podczas wyprawy zatytułowanej: „I Samodzielny Reporterski Rajd Rowerowy" (pierwszy nie musi oznaczać, że będzie drugi, choć — kto wie? Odbył się przed trzema laty w Łodzi Pierwszy Przegląd Teatrów Operetkowych, a o następnych nic jak dotąd, nie słychać). Samodzielny, bo wymyśliłem i przygotowałem tę wyprawę jednoosobowo, bez niczyjej pomocy, rower kupiłem za swoje pieniądze, nikt nie ofiarował mi butów, gaci, ani wyposażenia. Nie mam żadnych sponsorów, bo też nikogo o nic nie prosiłem, nikomu więc nie muszę być za nic zobowiązany. Tylko stosowne napisy na koszulkach wykonał po koleżeńsku młody plastyk **Andrzej Szust**, za co mu jestem po koleżeńsku wdzięczny. Samodzielny, bo jadę sam, gdyż taką właśnie formę włóczęgi lubię najbardziej. Nikt nie narzuca, kiedy mam odpoczywać, kiedy jeść, spać, czy skręcić w lewo, czy jechać prosto. Nikt mnie nie będzie poganiał, ani opóźniał, nikt wmawiał, że mijamy właśnie zamek na Czorsztynie, gdy jest to akurat Chojnik. A gdy ukaże się piękny fragment pejzażu gdzieś pod horyzontem, na prawo od szosy, pojadę tam bez wahania i nikt nie będzie marudził, że jest to niezgodne z planem podróży. Żadnych sztywnych ustaleń, pełna elastyczność i dostosowanie się do potrzeb chwili. Gdzie będzie ciekawie, zostanę dłużej, gdzie nie — nie zostanę. Żadnych ograniczeń — to jedyne ograniczenie, jakie sobie postawiłem. Wygodne, prawda?

Postanowiłem pojechać w Polskę, ale drogami III i IV klasy odśnieżania. Dlatego, by, po pierwsze: nie nawdychać się na zapas różnych tlenków węgla, ołowiu i innych szlachetnych pierwiastków chemicznych przekazywanych do atmosfery przez rury wydechowe pojazdów jeżdżących drogami pierwszorzędnymi, i — po drugie: by dojechać tam, gdzie — często — nie dojeżdża pociąg, gdzie nie trafi telewizja, gdzie tylko wujek diabeł zagląda i strudzonym ludziom mówi z przewrotnym chichotem „a kuku". Ciekawe, jak jest w miejscach niedostępnych oku mieszczucha. Choć nie tylko, pojadę tam, gdzie zajadę.

Przede mną 2,5 tysiąca kilometrów. Może mniej, może więcej — nie wiem. Nie wiem, gdzie będę jutro, a cóż dopiero za tydzień. Kogo spotkam, co mnie spotka? Rower marki „Uniwersal" z bydgoskiego „Rometu" z japońską przerzutką 3-biegową naoliwiony, śrubki dokręcone, hamulce indyjskie sprawne. W drogę.

Dyspozycja na etap pierwszy: jechać w kierunku morza, a jak już będzie morze, skręcić w lewo.

2. W Słupsku jeszcze spali, w Szczecinie już nie.

6

Już w niewielkiej odległości

ŁÓDŹ, sierpień 1939 roku — mało kto wierzył w wojnę.

Nawet dzieci zapisywały się na „żywe torpedy"

ADAM OCHOCKI

Adam Ochocki jest jednym z nielicznych dziennikarzy w Polsce, którzy pracowali w prasie jeszcze przed wojną. Swoje wspomnienia opisał w książce „Reporter przed konfesjonałem". Ukazała się ona przed 10 laty. Obecnie Adam Ochocki przygotowuje rozszerzone wydanie tej książki. Publikujemy jeden z fragmentów. Dwa pozostałe niebawem.

Ostatni urlop przed wybuchem wojny spędziłem w drugiej połowie lipca w Krynicy Górskiej. Zatrzymałem się w pensjonacie pani Rubinstein, matki mojego kolegi szkolnego, Romek miał kabriolet, chyba chevroletę. Jeździliśmy do „Cichego kącika", do „Złotego rogu", zacisznej cukierenki ojca Jana Kiepury. Towarzyszyły nam dwie siostry, mężatki, z którymi nawiązałem równocześnie owocny flirt. Pogoda dopisywała, o czym jeszcze może marzyć dwudziestoletni młodzian z dala od codziennych kłopotów?

Mego samopoczucia nie mąciły nadciągające z zachodu chmury. Wydarzenia na świecie nie interesowały mnie specjalnie. Aneksja Austrii, podbój Czechosłowacji, zacieśniająca się współpraca na Osi Berlin-Rzym -Tokio — owszem, czytałem doniesienia prasowe, ale jakoś się nimi nie przejmowałem. Nie wzbudzały we mnie niepokoju, tym bardziej uczucia bojaźni. To właśnie wydaje mi się najstraszniejsze. Bo ten mój stojcki spokój nie wypływał bynajmniej z odwagi. Po prostu nie potrafiłem wyciągnąć wniosków z tego, co się działo, nie doceniałem grozy sytuacji.

Może na moją postawę wpływało zatajanie prawdy? Prasa nie podawała żadnych szczegółów ani komentarzy, ograniczano się do lakonicznych komunikatów Polskiej Agencji Telegraficznej. Minister Józef Beck jedzie do Hitlera do Berchtesgaden, minister Rzeszy Joachim von Ribbentrop na konferencję do Warszawy, w Puszczy Białowieskiej galowe polowanie na cześć Wielkiego

5

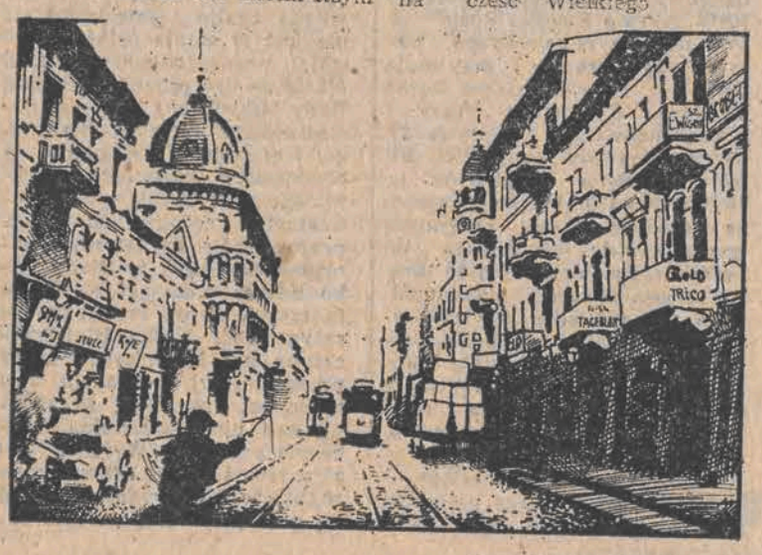

Rys. Dariusz Romanowicz

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70, 32 89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janyst, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź ul. Sienkiewicza 3/5 tel. 32-59-11

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz** tel. 36-80-99

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa Książka Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23 00-958 Warszawa, konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. D-10

Przegląd prasy

W październiku 1952 roku — po trzynastu latach przerwy — odbył się kolejny XIX Zjazd WKP(b). Referat sprawozdawczy wygłosił Gieorgij Malenkow, choć właściwie powinien to zrobić sekretarz generalny. Józef Stalin miał wówczas 73 lata. Zabrał głos dopiero w ostatnim dniu obrad. Przemawiał również na pierwszym posiedzeniu nowo wybranego plenum Komitetu Centralnego KPZR. Było to bardzo dziwne i znamienne wystąpienie. Wspomina je w miesięczniku „LITERATURA RADZIECKA" (nr 6) znany pisarz rosyjski Konstanty Simonow.

„Stalin okrążył z tyłu stół prezydialny i zszedł ku trybunie stojącej o kilka stopni niżej. Od początku do końca mówił surowo, bez uśmiechu, przed nim nie było żadnych kartek ani papierów i przez cały czas przemówienia wpijał w salę ciężki wzrok, jak gdyby próbował przejrzeć, co myślą ci ludzie siedzący przed nim i za nim. Zarówno ton przemówienia, jak i sposób jego wygłaszania ze wzrokiem wbitym w salę wprawiły wszystkich siedzących w stan dziwnego odrętwienia".

Józef Stalin mówił, że jest już stary i jego dzieło będą musieli podjąć inni, a sytuacja międzynarodowa jest skomplikowana. Stawiał za przykład Lenina, który był nieustraszony w obliczu wszelkich zagrożeń. A następnie ostro zaatakował długoletniego członka najwyższego kierownictwa, Wiaczesława Mołotowa, którego uznał za najbardziej niebezpiecznego i zdolnego do kapitulanctwa. Z niepohamowanym gniewem, złośliwie i lekceważąco wyrażał się też o Anastasie Mikojanie.

„Nad salą zawisła straszliwa cisza. Nie oglądałem się na sąsiadów, lecz widziałem czterech członków Biura Politycznego siedzących z tyłu za trybuną, z której przemawiał Stalin: wszyscy mieli skamieniałe, napięte, nieruchome twarze. Podobnie jak my, nie wiedzieli, gdzie i kiedy skończy Stalin, czy nie zaatakuje jeszcze kogoś po Mołotowie i Mikojanie. Nie wiedzieli, co jeszcze usłyszą i o kim, może o sobie. Twarze Mołotowa i Mikojana były białe i martwe. Takimi pozostały nawet wtedy, gdy Stalin skończył, wrócił i usiadł przy stole, a oni — najpierw Mołotow, a po nim Mikojan — stanęli na trybunie, z której dopiero co przemawiał Stalin, i tam — Mołotow dłużej, a Mikojan krócej — usiłowali wytłumaczyć się przed Stalinem ze swoich działań i postępowania, usprawiedliwić się, przekonać go, że to nie tak, że nigdy nie byli tchórzami ani kapitulantami i nie ulękną się nowych starć z obozem kapitalistycznym, nie skapitulują przed nim".

Nie ulegało wątpliwości, że Stalin chciał wyraźnie skompromitować Mołotowa i Mikojana oraz pozbawić ich aureoli pierwszych po nim postaci. Wydawało się, że obaj są już skazańcami, że ich los został przesądzony. A tymczasem obu wybrano w skład Prezydium KC. Stalin zaproponował jednak, czego nie przewidywał Statut, by wyłonić dodatkowo Biuro Prezydium, w którym nie znaleźli się Mołotow i Mikojan. O powołaniu nowego organu partii nie powiadomiono opinii publicznej.

W dalszej części przemówienia Stalin powiedział, że nie jest w stanie pełnić wszystkich powierzonych mu funkcji. Może być przewodniczącym Rady Ministrów i kierować posiedzeniami Biura Politycznego, lecz prosi o zwolnienie z obowiązków sekretarza generalnego. Propozycja ta przestraszyła najbliższych współpracowników dyktatora, ponieważ wiedzieli, że Stalin tylko testuje członków KC, a faktycznie nie ma zamiaru rezygnować. Najbardziej przerażony był Malenkow, który przewodniczył obradom. Natychmiast zrozumiał, że zawisło nad nimi śmiertelne niebezpieczeństwo. Wyrzucił w górę ręce i dawał dramatyczne znaki, że nie wolno przyjąć tej prośby. W ślad za nim cała sala zahuczała i głośno błagała Stalina o pozostanie.

„Gdyby tylko Stalin wyczuł, że tam za jego plecami lub przed jego oczyma na sali są zwolennicy zadośćuczynienia jego prośbie, sądzę, że pierwszym człowiekiem, który przypłaciłby to głową, byłby Malenkow; czym by się to w ogóle skończyło, trudno sobie wyobrazić".

W otoczeniu tyrana nikt nie czuł się bezpieczny. Wystarczy przypomnieć, że spośród 139 członków KC wybranych na XVII Zjeździe partii bolszewickiej aresztowano i rozstrzelano 98 osób, czyli 70 procent. Podobny los spotkał 56 proc. delegatów na ten zjazd. Zginęli głównie w latach 1937—1938.

Wieczorem 5 marca 1953 roku odbyło się wspólne posiedzenie KC, Rady Ministrów i Rady Najwyższej. Za stołem prezydialnym usiedli członkowie węższego Biura (Malenkow, Beria, Kaganowicz, Bułganin, Chruszczow, Woroszyłow, Saburow, Pierwuchin) oraz — co dziwne — także Mołotow i Mikojan, których dyktator nie włączył. Gieorgij Malenkow poinformował, że Stalin walczy ze śmiercią i dlatego trzeba wybrać nowe kierownictwo. Następnie wszedł na trybunę Ławrientij Beria i zaproponował mianowanie premierem Malenkowa. Pierwszymi zastępcami premiera zostali: Beria, Mołotow, Bułganin i Kaganowicz. Nikita Chruszczow miał się skoncentrować na pracy sekretariatu KC, Kliment Woroszyłowa wybrano przewodniczącym Rady Najwyższej, a pozostałych trzech członków Prezydium — Mikojana, Saburowa i Pierwuchina — mianowano ministrami.

Na początku posiedzenia, kiedy przez tylne drzwi Sali Świerdłowskiej weszło ośmiu członków Biura Prezydium oraz Mołotow i Mikojan, Konstanty Simonow odniósł wrażenie, że przybyli z jakimś zatajonym, lecz wyczuwalnym uczuciem ulgi.

„Przebijało ono jakoś z ich twarzy, może tylko z wyjątkiem Mołotowa, którego twarz była nieruchoma, jakby skamieniała. Co się tyczy Malenkowa i Berii, którzy zabierali głos z trybuny, to obaj mówili z ożywieniem, energicznie i rzeczowo. Coś w ich głosach, w ich zachowaniu nie zgadzało się z poprzedzającymi tekst wstępami i równie bolesnymi zakończeniami przemówień, związanymi z chorobą Stalina. Wrażenie było takie, jakby ci ludzie tam w prezydium wyzwolili się z czegoś, co ich dławiło i krępowało".

Prosto z tego posiedzenia Simonow pojechał do redakcji „Prawdy". W czasie rozmowy z Szepiłowem ktoś zadzwonił i przekazał wiadomość, że Józef Stalin umarł. Pisarz zastanawia się dziś, jak to naprawdę było ze śmiercią dyktatora? Czy rzeczywiście umarł wtedy, gdy w redakcji około godziny dziesiątej wieczorem rozległ się telefon czy już przed wspólnym posiedzeniem KC, Rady Ministrów i Rady Najwyższej? W każdym razie uchwałę wspólnego posiedzenia opublikowano nazajutrz po komunikacie o śmierci Stalina. W preambule do niej nie ma mowy o śmierci. Ale została tak ułożona, że nie wiadomo, kiedy dokonano zmian personalnych: przed śmiercią Stalina, czy też po jego śmierci?

ETYKA NIHILIZMU

Reżim stalinowski wyrósł na określonym podłożu społeczno-ekonomicznym i historycznym. Inteligencja rosyjska od dawna zmierzała do stworzenia za wszelką cenę ustroju sprawiedliwości społecznej. Na szczególne przypomnienie zasługuje dziś artykuł Siemiona Franka „Etyka nihilizmu" opublikowany w 1909 roku i przedrukowany obecnie w miesięczniku społeczno-kulturalnym „ZDANIE" (nr 6).

Typowy inteligent rosyjski — pisał Siemion Frank — to wojujący mnich nihilistycznej religii doczesnego szczęścia. Pragnie on władać światem, narzucić mu swoją wiarę i ascetyczny tryb życia. Ale stroni od rzeczywistości, żyje w świecie złudzeń, marzeń i pobożnych życzeń. Bardziej zależy mu na unicestwieniu wrogów, niż na wprowadzeniu pożytecznych reform.

„Z ascetyczną surowością wobec siebie i innych, z fanatyczną nienawiścią wobec wrogów i ludzi o odmiennych poglądach, z sekciarską zagorzałością i bezgranicznym despotyzmem, żywiącym się poczuciem własnej bezgrzeszności, pracuje ów zakon nad zaspokojeniem doczesnej, „arcyludzkiej" potrzeby „samego chleba". Cały ascetyzm, cała religijna żarliwość, cała siła samofirmowania i gotowość ofiarowania innych — wszystko to służy urzeczywistnieniu subiektywnych, względnych i przemijających pragnień, które może uznawać tylko nihilizm i materialistyczna niewiara. Najbardziej doczesne sprawy i namiętności są tu przedmiotem religijnej służby, zaspokajane są wedle uniwersalnego planu, zagwarantowanego metafizycznymi dogmatami i bezwzględną zakonną regułą. Grupka obcych światu i pogardzających światem mnichów wydaje światu wojnę, aby na siłę go uszczęśliwić i zaspokoić jego doczesne materialne potrzeby".

Błędem filozoficznym i grzechem moralnym inteligencji socjalistycznej jest absolutyzacja podziału dóbr. W imię sprawiedliwego podziału lekceważono produkcję, wytwarzanie dochodu narodowego. Zapomniano o tym, że aby cokolwiek dzielić, trzeba przede wszystkimi budować, produkować, gromadzić i mieć.

„Inteligencja kocha jedynie sprawiedliwy podział dóbr, nie same dobra; wręcz nienawidzi i boi się ich. W jej duszy miłość do biednych zmienia się w miłość do nędzy. Pragnie nakarmić wszystkich biednych, lecz jej najgłębszy, nieuświadomiony metafizyczny instynkt sprzeciwia się tworzeniu w świecie rzeczywistego bogactwa".

Najbardziej adekwatnym określeniem światopoglądu inteligencji rosyjskiej — zdaniem Siemiona Franka — jest „narodnictwo". Pojęcie to zawiera trzy składniki: nihilistyczny utylitaryzm (odrzucenie wartości absolutnych i służenie materialnym interesom większości), moralizm (konieczność całkowitego poświęcenia jednostki sprawie służby społecznej), tendencję antykulturalną (kult ludu i dążenie do przekształcenia wszystkich w robotników). Tak pojęty duch narodnicki pochłonął i zasymilował w Rosji teorię marksistowską.

POLACY I ROSJANIE

Stara inteligencja rosyjska miała różne powiązania z inteligencją polską. Zdarzały się bliskie więzi rodzinne. O ciekawym przypadku opowiada w miesięczniku „NURT" (nr 7) znany kompozytor i muzykolog radziecki Igor Bełza.

„Nie jestem w stanie powiedzieć, kto i kiedy był protoplastą rodu, wzmianki o Bełzach sięgają jednak wieku XVI; między innymi w połowie tego stulecia Marcin Bełza piastował urząd rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wybitny chemik Józef Bełza (1805—1888) był bliskim przyjacielem rodziny Chopinów; siostra kompozytora, Izabela, pisała o nim jako o »człowieku z głową i z sercem«. Syn Józefa, a mój pradziad, Władysław, pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie — to autor słynnego wiersza »Kto ty jesteś? Polak mały«; współczesny mu Stanisław był znanym podróżnikiem i pisarzem. Rodziny nasze miały często charakter mieszany: mój dziadek Jan ożenił się ze znaną z urody Rosjanką, o moich rodzicach już wspomniałem, dodam tylko, że matka była córką rosyjskiego pułkownika, który z kolei był żonaty z Polką — pamiętam, że babcia Walcia zawsze źle mówiła po rosyjsku. Ojciec w młodości należał do „Ogółu" — półlegalnej organizacji rewolucyjnej, skupiającej Polaków i Rosjan; w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia został aresztowany, po amnestii koronacyjnej Mikołaja II w 1896 r. wypuszczono go na wolność, jednak na razie bez prawa zamieszkiwania w miastach uniwersyteckich. Ukończył wiec liceum prawnicze w Jarosławiu, po czym przeniósł się do Kielc, gdzie mieszkała narzeczona; tu otrzymał posadę przy kancelarii gubernatora, tu też przyszedłem na świat ja...".

E. L.

Z różnych stron donoszą

Zdaniem organizacji partyjnej „Polmerino".

Z Przędzalni Czesankowej „Polmerino" otrzymaliśmy list podpisany przez I sekretarza KZ PZPR w „Polmerino" — WIESŁAWA SZAŁCZYŃSKIEGO. List ten drukujemy z niewielkim skrótem i z redakcyjną adiustacją.

Członkowie PZPR w Przędzalni Czesankowej „POLMERINO" zaniepokojeni sytuacją w kraju, brakiem perspektyw dla mieszkańców Łodzi, brakiem perspektyw dla przemysłu lekkiego, wnioskują o odwołanie władz polityczno-gospodarczych miasta Łodzi.

Bardzo złe zaopatrzenie Łodzi spowodowane indolencją władz miasta, niezwracanie uwagi na nasze krytyczne uwagi, brak działań usprawniających handel obarcza odpowiedzialnością między innymi Komitet Łódzki PZPR. Dziesiątki ludzi w merytorycznych działach Komitetu Łódzkiego bezproduktywnie oczekują na cud, który nie następuje. Przez ostatnie kilka lat liczyliśmy na ofensywne działanie władz politycznych Łodzi poprawiające nasze życie w mieście. Brak tych działań wytrąca nam, członkom PZPR, wszelkie argumenty, straciliśmy zaufanie do KŁ PZPR. Czuliśmy Waszą obecność wtedy, gdy potrzebni byliśmy do rozładowania napięć lub walki z opozycją. Mamy dość oczekiwania, chcemy konkretnych działań.

Dlaczego władze KŁ PZPR w Łodzi nie walczą o normalne ekonomiczne traktowanie przemysłu lekkiego. Kto będzie wreszcie bronił tysięcy kobiet?

Stwierdzamy, że brak gwałtownych wystąpień ze strony kobiet w przemyśle lekkim spycha ten przemysł na dalszy plan. Na wszystkich spotkaniach potwierdza się złe traktowanie tego działu gospodarki. I co dalej?

Zaopatrzenie miasta w podstawowe artykuły jest bardzo złe. Wahania rynku w kraju komplikują życie mieszkańców Łodzi o kilka miesięcy wcześniej niż w innych regionach. Dlaczego? Ten stan jest spowodowany niedoinwestowaniem miasta, złą organizacją łódzkiego rynku zaopatrzeniowego, błędną polityką władz miasta. Nasuwa się pytanie, co robią nasi pracownicy odpowiedzialni w Komitecie Łódzkim PZPR za poszczególne piony życia gospodarczego? Trudna sytuacja polityczna nie zwolniła aparatu PZPR z obrony interesów ludzi pracy. (...)

Udzieliliśmy rekomendacji na różne funkcje i stanowiska naszym działaczom, musimy wreszcie ich rozliczyć. We władzach miasta prawie na wszystkich szczeblach są członkowie PZPR, a organizacja życia w Łodzi ciągle pozostawia wiele do życzenia. Oddawane legitymacje PZPR przez towarzyszy z 20-letnim i 30-letnim stażem zmuszają nas do zadania sobie pytania, co zrobiły władze polityczne w Łodzi, aby ulżyć mieszkańcom miasta. Komitet Łódzki i komitety dzielnicowe PZPR nie są miejscem na przeczekanie trudnych dni, żądamy działań a tych, którzy chcą przeczekać trzeba wysłać na „partyjną emeryturę".

Jeśli w Komitecie Łódzkim PZPR uważa się, że partia zgodnie z oczekiwaniami społeczeństwa nie jest od kierowania gospodarką, to chcielibyśmy przypomnieć, że nikt nikogo nie zwolnił od obrony ludzi pracy wszędzie tam, gdzie dzieje się im krzywda.

Proponujemy, żeby kierownictwo partii w Łodzi stało się przynajmniej opozycją w walce o poprawę warunków życia.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Sieradz aż huczy od plotek. Różne rzeczy tu się działy: i morderstwa były, i gwałty, i cuda. Ale czegoś takiego jeszcze miasto nie przeżywało — reportaż **EUGENIUSZA IWANICKIEGO.**

— Bernard widział się kilkakrotnie z księdzem, odwiedził go także markotny adwokat. Zarówno ksiądz, kapelan Wojska Polskiego, przybywający do więzienia na każde wezwanie, jak i mecenas Andrzej W. zdumieni byli nienaturalnym spokojem Bernarda. Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że jego czas dobija kresu? — pisze **ANDRZEJ MAKOWIECKI.**

— Sensacyjnego odkrycia dokonali pracownicy zatrudnieni przy umacnianiu jednego z kanałów Prosny przepływającej przez Kalisz. Natrafili niespodziewanie na tajemnicze pismo, wyryte na płycie wchodzącej w skład kamiennej wykładziny stromego brzegu — artykuł **JERZEGO KWIECIŃSKIEGO.**

— Przy pierwszym wrażeniu ogarnia człowieka uczucie sielskości. Chciałoby się tutaj mieszkać. Ale gdy wejdzie się do środka, nastrój się zmienia. Bo cały budynek jest systematycznie podtapiany, wewnątrz panuje wilgoć, w piwnicy stoi bez przerwy woda — reportaż **RYSZARDA BINKOWSKIEGO.**

— Na granicy z Niemcami nasilały się incydenty. 23 sierpnia 1939 r. nad Boguminem i Nowym Boguminem pojawił się niemiecki bombowiec, którego przepędził znad terytorium Polski myśliwiec. W nocy z 23 na 24 sierpnia grupa 15 Niemców napadła na budynek stacji Makoszowy — artykuł **LUCJUSZA WŁODKOWSKIEGO.**

— Sama już wiosna nawoływała do miłosierdzia: tej wiosny kończyła się taka ogromna wojna. Widzieliśmy, że nas, aresztantów, płyną miliony i że mnogie jeszcze miliony spotkamy w obozach. Toć być nie może, aby tylu ludzi zostawiono za kratami po największym w świecie zwycięstwie — fragment głośnej książki **ALEKSANDRA SOŁŻENICYNA** pt. „Archipelag „GUŁag".

— Istnieje tu nawyk noszenia jednolitego stroju dla osób zatrudnionych w tym samym zakładzie. Zwraca uwagę czystość ludzi i ich otoczenia. Na ulicach nie ma śmieci — wrażenia **HENRYKA RAFALSKIEGO** z pobytu w Japonii.

Szukać odpowiedzi metodą przybliżeń.

Pytanie: Co robić? – nadal aktualne!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W komentarzu „Tylko kilka tez" („Odgłosy" nr 32) zrelacjonowałem przebieg dyskusji o teraźniejszości i i przyszłości Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Kilka dni temu odbył się ciąg dalszy tej dyskusji chociaż w nieco innym składzie dyskutantów. W dyskusji uczestniczyli: **Zbigniew Antoszewski, Małgorzata Karbowiak, Edmund Lewandowski, Jan Nosko, Andrzej Pasowski, Henryk Pawlak, Leszek Rudnicki, Paweł Starosta, Edmund Tulko** i autor niniejszej relacji. Dwóch uczestników poprzedniej dyskusji: **Ryszard Kwiatkowski** i **Karol J. Stryjski** byli w tym czasie na podobnej dyskusji w KC PZPR, która toczyła się w obecności I sekretarza KC PZPR — **Mieczysława F. Rakowskiego.**

Dyskusja została nagrana na taśmie magnetofonowej i relacjonując ją teraz korzystam z tej taśmy. **Wypowiedzi uczestników nie były autoryzowane.**

1. Zarys sytuacji. Co wynika z badań socjologów?

Wyniki tych badań, jak i dane zaczerpnięte z innych źródeł przedstawili: **Edmund Lewanowski** i **Paweł Starosta.**

PZPR liczy obecnie 2 097 000 członków i kandydatów. Od 1 stycznia do 30 czerwca 1989 roku odeszło z PZPR 42 000 osób, przyszło do PZPR 7 000 kandydatów. Proces odchodzenia od partii trwa nadal.

Wśród członków partii przeważa inteligencja pracująca. Stanowi ona 52 procent. Co czwarty inteligent pracujący — przeważają w tej grupie pracownicy szeroko rozumianej administracji — należy do PZPR. Robotników w PZPR jest 37 procent, chłopów 9 procent, a emerytów 18 procent. Średni wiek członka PZPR wynosi 46 lat, choć niektórzy podają 50 lat. Tylko 2 procent młodzieży do lat 29 należy do PZPR.

Jak wynika z badań socjologicznych, które prezentował **Edmund Lewandowski,** jedna trzecia członków PZPR nastawiona jest krytycznie do działalności PZPR, uważa, że partia nie działa zgodnie z interesem społecznym, nie posiada takiego programu, który szeroko rozumiane społeczeństwo w pełni by akceptowało, a co gorzej — niektórzy z nich uważają — że obecnie PZPR nie jest w stanie stworzyć taki program.

Z badań tych wynika, że członkowie PZPR dziś już zupełnie nie różnią się w swoich poglądach od reszty społeczeństwa, a dawniej było inaczej. Można — na podstawie tych badań — uważać, że jedna trzecia członków PZPR pozostaje w partii siłą bezwładności.

Paweł Starosta prowadził badania w organizacjach partyjnych województwa łódzkiego miejskiego w latach 1985 i 1986. Według tych badań już w 1985 roku około 55 procent członków łódzkiej organizacji partyjnej nie akceptowało kierowniczej i przewodniej roli partii. Ich zdaniem PZPR w dotychczasowym kształcie nie jest w stanie wyprowadzić Polski z głębokiego kryzysu. W 1986 roku procent tak myślących być wyższy. W ogóle — jak wynikało z tych badań — około 80 procent członków PZPR nie akceptowano podstawowych zasad, na których opiera się ideologia i polityka PZPR.

Jan Nosko — już w 1989 roku — pytał wielu członków PZPR, czy ich zdaniem w partii funkcjonuje zasada centralizmu demokratycznego i wszyscy jego rozmówcy byli zgodni, że zasada ta nie funkcjonuje.

Paweł Starosta stwierdził, że według badań z 1986 roku od 20 do 25 procent członków łódzkiej organizacji PZPR nie wypełnia żadnych statutowych wymagań. Zdarzały się nawet takie przypadki, że w niektórych POP zwlekano ze skreśleniem zmarłych członków z partyjnej ewidencji. Z badań tych wynikało, że 40 procent członków PZPR ograniczało swoją przynależność do PZPR tylko do opłacania składek. Natomiast od 25 do 30 procent członków PZPR w województwie łódzkim miejskim wykazywało się działalnością wykraczającą poza podstawowe wymagania Statutu PZPR.

Dane te już wówczas były niepokojące. Dziś obraz PZPR wcale nie wygląda lepiej.

2. Liczne pytania, na które trzeba znaleźć odpowiedź.

— Stawiając sobie pytania — mówił **Edmund Tulko** — staramy się metodą kolejnych przybliżeń szukać na nie odpowiedzi. Gotowych odpowiedzi bowiem nie ma.

— Trzeba też szukać ich — mówił **Henryk Pawlak** — przyglądając się drodze rozwojowej innych partii, ruchów, choćby nawet „Solidarności", która wyraźnie ewoluuje od związku zawodowego do partii politycznej.

Kilka podstawowych pytań postawiła **Małgorzata Karbowiak.**

1. Jaka to ma być partia, jaki będzie jej program ekonomiczny? PZPR, choć już straciła swoje przewodnictwo, musi mimo to mieć taki program i zdobyć dla niego społeczną akceptację.

2. Kto ma być adresatem działań odrodzonej, przekształconej partii? Jest to pytanie o bazę, ale nie tylko. Pytanie o bazę, to pytanie o interesy klasy, grupy, warstwy, które partia ma reprezentować, o których spełnienie ma walczyć. A zatem, czy to ma być partia klasowa, która będzie walczyła tylko o interesy robotników? Ku partii klasowej, chłopskiej ewoluje na przykład ZSL. Czy też ma to być partia, która będzie chroniła interesy wszystkich pracujących, a więc miałaby to być partia ogólnonarodowa. Na przykład **Leszek Rudnicki** uważał, że adresatem partyjnych poczynań odrodzonej PZPR powinni być ci, z 38-procentowego elektroratu, którzy nie wzięli udziału w ostatnich wyborach.

3. Co zrobić z pozostałościami stalinizmu, które będą ciągnęły się za partią niezależnie od jej przemian. **Edmund Tulko** słusznie przypomniał, że nazwa Polska Zjednoczona Partia Robotnicza powstała w szczytowym momencie natarcia stalinizmu w Polsce i ze stalinizmem się przede wszystkim kojarzy. Dla wielu ludzi zmiana nazwy też nie odetnie partii jej stalinowskich korzeni

— O naszej przeszłości — twierdził **Edmund Lewandowski** — trzeba powiedzieć wszystko do końca, aby już nikt inny nie miał nic do powiedzenia.

Zdaniem **Leszka Rudnickiego** zawsze się znajdą tacy, którzy coś jeszcze będą mieli do powiedzenia. Na to odezwał się **Edmund Tulko,** który przypomniał, że na przykład **Jacek Kuroń** ma za sobą „Czerwone Harcerstwo", a **Edmund Osmańczyk** Order Budowniczego Polski Ludowej, karierę parlamentarną i wypowiadał się pozytywnie za wpisaniem do Konsytuacji PRL kierowniczej roli partii i jakoś im to nie przeszkadza odgrywać decydującą rolę wśród opozycji.

4. Co to znaczy „partia nowego typu" — pytała **Małgorzata Karbowiak.** Zdaniem niektórych dyskutantów — to przede wszystkim ruch, a nie partia w dotychczasowym kształcie.

W tym miejscu wypada przypomnieć — nie wdając się w szczegóły — że już Polską Partię Robotniczą w odróżnieniu od Komunistycznej Partii Polski nazywano „partią nowego typu", ale obie one były pod przemożnym wpływem stalinizmu. Należałoby zatem mówić dziś nie o „partii nowego typu", a o partii nowoczesnej. **Edmund Tulko** na przykład słusznie zwrócił uwagę, że u nas — mimo gwałtownych prób oderwania się od przeszłości — ciągle jeszcze przywiązuje się wiele wagi do posiedzeń plenarnych, do uchwał, do zjazdów. One są potrzebne, ale nie można przeceniać ich roli. Czy słyszymy o plenarnych posiedzeniach partii socjalistycznych we Włoszech, Francji czy RFN? Nie. Tam też odbywają się zjazdy, które ustalają kierunki działań, strategię, a następnie podejmuje się takie działania, jakich wymagają czas i warunki polityczne, gospodarcze, społeczne.

Inne podejście do podstawowych pytań zaprezentował **Jan Nosko.** Jego zdaniem należy pytać o stosunek nowej partii do: centralizmu demokratycznego, do dyktatury proletariatu, do pojęcia suwerenności, internacjonalizmu, antykomunizmu i tak dalej. Trzeba te pojęcia zweryfikować w nowych warunkach i ustalić stosunek do nich. Trzeba też ustalić stosunek do socjaldemokracji, bo choć dziś już nikt nie mówi o „socjalfaszyźmie", jak to bywało dawniej, to przecież pozostał jakiś „osad", jakieś niedomówienie, jakieś zastrzeżenia, których nikt nie usiłuje sprecyzować.

3. Czy zmienić nazwę? Jaki powinien być stosunek do przeszłości?

Rys. Dariusz Romanowicz

Zarysowały się jakby dwa kierunki myślenia:

— pierwszy — całkowita zmiana nazwy partii, a co zatem idzie XI Nadzwyczajny Zjazd PZPR przekształcić w I Zjazd nowej partii. **Edmund Lewandowski** uważa na przykład, że powinna się ona nazywać: Polski Ruch Socjalistyczny. Kładzie on nacisk na słowo RUCH i uważa, że partia ta powinna zgłosić swój akces do Międzynarodówki Socjalistycznej. Powinna ona również zdecydowanie odciąć się od ruchu komunistycznego.

Jan Nosko natomiast proponuje nazwę: Polska Socjalistyczna Partia Reform i Demokracji. Inni są również za zmianą nazwy, ale nie mają żadnych konkretnych propozycji. Niektórzy godzą się że powinien to być ruch, a nie partia w dotychczasowym — marksistowsko-leninowskim — rozumieniu.

Ten kierunek myślenia skłania się do przekształcenia istniejącej PZPR w partię nowoczesną, która miałaby charakter ruchu socjalistycznego.

— drugi — który zaprezentował **Henryk Pawlak** zasadza się na dwutorowości przemian. Przeobrażenia dokonują się w PZPR, ale niezależnie od nich i z łona PZPR wyodrębnia się grupa ludzi, która tworzy nowoczesny ruch socjalistyczny. Taka droga budowy nowej partii nie zrywa dotychczasowych więzów organizacyjnych w państwie, prowadzi do wewnętrznych przeobrażeń w PZPR, a jednocześnie pozwala ludziom, którzy się już nie mieszczą w tych ramach na podjęcie nowego rodzaju działania politycznego, tworząc ruch socjalistyczny. Moim zdaniem jest to kierunek najbardziej racjonalny i realny.

— trzeci — który zaprezentował **Leszek Rudnicki,** sprowadza się do zachowania dotychczasowej nazwy. Sprzeciwił się on zdecydowanie przekształceniu XI Zjazdu w I założycielski oraz zmianie nazwy. Jego zdaniem odrodzenie PZPR uwarunkowane jest zamianą pokoleniową i koniecznością powstania ruchu intelektualnego, który przyczyniłby się do wewnętrznych przeobrażeń w PZPR.

Najpełniej stosunek do przeszłości — czyli do tradycji, na których ma się opierać przyszła partia — zarysował **Edmund Lewandowski.** Jego zdaniem Polski Ruch Socjalistyczny powinien nawiązywać do PPS, oraz częściowo PPR i „większości" KPP. Trzeba sięgnąć do dorobku wielu socjalistycznych myśliciel, w tym do dorobku Marii Koszulskiej (Wery Kostrzewy), nie wykluczając dorobku Karola Marksa, Fryderyka Engelsa czy Włodzimierza Lenina, a także do ideologii chrześcijańskiej, na przykład „teologii wyzwolenia" i do myśli społecznej Jana Pawła II. Uważa on bowiem, że Polska będzie kształtowała drogę pośrednią: między liberalnym kapitalizmem, a socjalizmem pozbawionym stalinowskiego kształtu.

W tym miejscu warto zwrócić uwagę na pewien pogląd **Edmunda Tulki,** któremu trudno odmówić racji. Jego zdaniem należy publicznie — jak się go publicznie potępiało — przeprosić **Adama Schaffa,** który nadal broni idei socjalizmu. Otóż zdaniem **Adama Schaffa** socjalizm skompromitował się w Polsce — i w innych krajach „realnego socjalizmu" — ale nie skompromitował się na świecie. Idea ta nadal jest żywa, a socjaliści odnoszą zwycięstwa w wyborach. Skompromitował się socjalizm obejmujący sferę produkcji, a nie było u nas socjalizmu w sferze podziału. To też jest stosunek do przeszłości.

Na marginesie tej dyskusji. Problem stosunku do przeszłości nie jest łatwy, już choćby dlatego, że brak dostępu do podstawowych dokumentów. Nie wszystko do tej pory ujawniono i nie sądzę, aby szybko tak się stało. Dlatego wszelkie dyskusje o przeszłości powinny być o tyle ostrożne, o ile autor ma świadomość, że nie wie do końca. Stać go więc na stawianie hipotez nawet najbardziej prawdopodobnych, ale hipotez, dopóki nie oprze ich w pełni o dokumenty. Dlatego dyskusje o przeszłości nie powinny zamieniać się w mowy oskarżycielskie. Coś takiego robił niestety **Wojciech Lizak** na łamach „Tygodnika Powszechnego" (nr 33 z 16 sierpnia 1989 r.) w artykule zatytułowanym: „Gomułka: kat czy ofiara?".

Nie sądzę, aby **Władysław Gomułka,** znajdował się poza wszelką krytyką i poza wszelką dyskusją. Taka dyskusja o nim jest konieczna, już choćby w myśl zasady, że sami powinniśmy powiedzieć tyle, aby nikt inny nie miał już nic do dodania. Pomijając fakty, których nie jestem w stanie zweryfikować i nie wiem na czym oparł się autor **Wojciech Lizak,** poza wszystkim grzeszy ahistorycyzmem. Z jego artykułu, w którym często argumenty zastępują inwektywy, wynika niezbicie, że była jakaś inna droga rozwoju Polski po 1944 roku, co przeczy faktom historycznym. Ale to już dotyczy dyskusji merytorycznej. Przypominam ten artykuł również i dlatego, że stwierdzenie, według którego nowa partia ma nawiązywać do tradycji PPS, PPR i „większości" KPP jest zbyt obszerne i ogólne. Nie byłbym na przykład skłonny nawiązać do ciągle nie wyjaśnionej wyprawy **„grupy Leona Kasmana"** do Polski w 1944 roku czy też do ciągle nie wyjaśnionego konfliktu **Bolesława Mołojca** z **Marcelim Nowotką** i tak dalej. Rozumiem, że są ludzie, którym nie zależy na rozgrzebywaniu przeszłości, ale nowoczesna partia, którą stanie się PZPR, czy która wyłoni się z PZPR, nie może przeszłości pozostawić niejasnej, pełnej niedomówień, domysłów i posądzeń, które łatwo zamienić w „akty oskarżenia".

4. Różne punkty widzenia.

Jako sprawozdawca zobowiązany jestem — w dużym skrócie wprawdzie — przedstawić różne punkty widzenia dyskutantów. Nie wszyscy wypowiadali się na wszystkie tematy, jakie były w dyskusji poruszane, ale wielu ustosunkowało się do zasadniczych problemów i taki kształt nadaję tej relacji.

1. Aktualna sytuacja partii. Mimo dokonanych zmian, a szczególnie na X Plenum KC PZPR, jest ona niekorzystna. Zmiany kadrowe dokonane na XII Plenum KC PZPR uznano tylko w części za korzystne **(Edmund Lewandowski, Zbigniew Antoszewski)** jeśli chodzi o wprowadzenie do kierownictwa ludzi młodych. Zdaniem **Edmunda Lewandowskiego** nowe w partii wcale nie musi się narodzić w obecnych partyjnych strukturach. Jego zdaniem wielce pożyteczny jest ruch „8 Lipca", który poszukuje nowych rozwiązań.

Trwający kryzys rządowy skłonił dyskutantów do zastanowienia się nad problemem władzy. **Lech Wałęsa** — wbrew decyzjom Sejmu PRL — dąży do stworzenia „Nowej Koalicji" z ZSL, i SD, ale bez PZPR. Równałoby się to — jak utrzymują niektórzy — oddaniu władzy. Co ma uczynić w tej sytuacji PZPR? **Andrzej Pasowski** zaprezentował zebranym opinie ludzi z ulicy. Niektórzy powiadają, że PZPR powinna oddać władzę, aby ludzie się przekonali, że stan gospodarki zależy nie tylko od poczynań PZPR. Inni obawiają się, że odejście PZPR z rządu mogłoby rozpocząć proces rozrachunków, co mogłoby okazać się bardzo niebezpieczne. **Andrzej Pasowski** zwrócił przy tym uwagę, że władza nie znajduje się poza społeczeństwem, ani ponad społeczeństwem.

Zbigniew Antoszewski prezentował odmienny pogląd. Jego zdaniem obecnie jest dogodny moment, aby partia z monopolistycznej stała się pluralistyczną, to znaczy z tej, która odpowiadała za wszystko, stała się jedną z partii parlamentarnych i ... przeszła do opozycji. Taka sytuacja pozwoliłaby też na poświęcenie większej uwagi sprawom wewnętrznym, co jest wręcz konieczne.

Leszek Rudnicki stał na stanowisku, że o jakimkolwiek „oddawaniu władzy" nie może być mowy, już choćby tylko z uwagi na uwarunkowania zewnętrzne. Zgadzał się z nim **Edmund Tulko.** Jego zdaniem żadna partia w swoich programowych założeniach nie może zakładać przegranej, gdyż działa to ujemnie na ludzi, nie mobilizuje ich do działania. Partii mogą przydarzać się porażki, wtedy szuka ona takich rozwiązań, które przynoszą sukcesy. Natomiast **Paweł Starosta** uważał, że zasłanianie się zewnętrznymi uwarunkowaniami w polityce partii działa hamująco, gdyż nie przyczynia się do przyśpieszenia koniecznego procesu przemian. Uwarunkowania zewnętrzne usprawiedliwiają jakby status quo partii, a nie zmuszają do walki o jej pozycję.

2. Jaka jest droga PZPR? Ogólnie rzecz traktując, jest to droga odchodzenia od stalinizmu ku nowoczesnej partii, która rysuje się jako ruch socjalistyczny. Tylko **Leszek Rudnicki** uważał, że powołanie — czy przekształcenie PZPR w ruch socjalistyczny — spowoduje reakcję części członków PZPR, którzy powołają Polską Partię Komunistyczną. Na pytanie: czy dziś istnieją warunki dla działania takiej partii? — **Leszek Rudnicki** odpowiedział, że jeśli potrafi wyciągnąć właściwe wnioski z przeszłości, zająć postawę twórczą wobec rzeczywistości, to takie warunki istnieją.

Jan Nosko stał na stanowisku, że konieczna jest rekapitulacja przeszłości nie tylko w sensie negatywnym. Stalinizm na przykład likwidował podstawowe niesprawiedliwości społeczne, stwarzał ludziom szansę i wielu z niej korzystało. Nie potrafił jednak stworzyć systemu demokratycznego i efektywnego systemu ekonomicznego. Jeśli więc chcemy odejść od stalinizmu skutecznie, to trzeba umieć stworzyć takie systemy: demokratyczny i gospodarczy. Systemy te muszą opierać się na takich wartościach, które ludzie uznają za swoje. Trzeba przez cały czas uczyć się od innych partii, w tym socjalistycznych i socjaldemokratycznych, przyjrzeć się ich drogom rozwojowym.

Zdaniem **Edmunda Tulki** droga rozwojowa PZPR dzieli się na trzy etapy: od 1956 roku był okres zamętu, który następnie przerodził się w fazę kryzysu, a ta z kolei przekształciła się w fazę zapaści. Zawiera to się w tym, że PZPR swoją działalność opierała na wierze, a nie na ideologii. Nie przypadkiem — zdaniem **Edmunda Tulki** — wielu byłych aktywistów partyjnych odeszło od partii i szybko znalazło się w zasięgu działania Kościoła, właśnie ze względu na wiarę, a nie racjonalizm. Dlatego dziś trzeba odrzucić wszelkie dogmaty, konsekwentnie i ostatecznie i zacząć działać pragmatycznie, zgodnie z potrzebami i warunkami.

5. Co dalej?

Padło kilka propozycji. Przede wszystkim, aby nawiązać kontakty z innymi grupami dyskutującymi nad przyszłością partii. A także, aby w najbliższej przyszłości sporządzić „protokół rozbieżności" i przedstawić go jako dokument do dyskusji w szerszym już gronie.

Marek Bartosik, który z powodów od siebie niezależnych nie mógł uczestniczyć w dyskusji, zapozna się z nagraniem i jeśli uzna za stosowne wypowie się osobno, co zostanie opublikowane.

Jeśli **Karol J. Stryjski** zechce zająć stanowisko na piśmie — ma takie same możliwości. (Już złożył swój tekst)

Inne spojrzenie na czasy II Rzeczypospolitej.

Czy Józef Piłsudski nie myślał o unowocześnieniu armii?

ANDRZEJ WILCZKOWSKI

Wielu licznych publikacjach opartych o relacje — m. in. wyższych oficerów okresu międzywojennego — podkreśla się dwie cechy charakterystyczne rządów marszałka Józefa Piłsudskiego po jego powrocie do władzy w maju 1926 roku.

Po pierwsze: marszałek Józef Piłsudski jest całkowicie odporny na wszelkie sugestie otoczenia i wyłącznie sam decyduje o wszystkim, co się ma dziać w armii.

Po drugie: nie rozumie i całkowicie lekceważy sprawy rozwoju techniki w wojsku. Tę tezę mocno wzmacnia często podkreślany fakt, że plan modernizacji armii powstał dopiero w 1936 roku.

Zamiast na sumie relacji oprzyjmy się na sumie faktów

Za sprawy wojskowe, a praktycznie za sprawy państwowe można obciążać Józefa Piłsudskiego odpowiedzialnością w okresach: od 11 listopada 1918 r. do 4 lipca 1923 r., a potem po nieomal trzyletniej przerwie od 12 maja 1926 r. do 12 maja 1935 r.

A. Morgała pisze: „Lata 1921—1922 były okresem stosunkowo szybkiej odbudowy przemysłu... W drugiej połowie 1923 r. nastąpiło zahamowanie wzrostu produkcji; przeszło ono następnie w recesję obejmującą lata 1924—1926. Od połowy 1926 r. zaczęło się stopniowe ożywienie, jego szczyt przypadł na przełom 1928—1929 r. W drugiej połowie 1929 r. zaczęło się głębokie załamanie gospodarcze. Jeszcze w 1936 r. nie osiągnięto przedkryzysowego poziomu produkcji przemysłowej".

Kryzys rozpoczął się dokładnie 24 października 1929 r. na giełdzie w Nowym Jorku. Spadaliśmy wtedy równo z innymi krajami, a dno osiągnęliśmy niemal równe z Niemcami i Stanami Zjednoczonymi — 55 procent produkcji przedkryzysowej. Jeżeli zdejmiemy z Józefa Piłsudskiego odpowiedzialność za światowy kryzys lat trzydziestych, to zauważymy wyraźną zbieżność okresów koniunktury i rządów Józefa Piłsudskiego. Daleki jestem od przypisywania mu pełni zasługi w tym względzie. Niemniej z całą pewnością można sformułować twierdzenie, iż rządy Józefa Piłsudskiego nie wpłynęły źle na polską gospodarkę.

W 1919 roku powstają **Centralne Warsztaty Samochodowe**, które stanowią zalążek rodzimej motoryzacji, **Wojskowy Instytut Geograficzny** i **Wyższa Szkoła Wojenna**. W 1921 r. — **Instytut Techniczny Lotnictwa** (Wojskowe Centrum Badań Lotniczych) i **Wojskowy Instytut Wydawniczy**. W 1922 r. dochodzi **Instytut Historyczno-Wojskowy**. Następne dwie placówki powstają dopiero w 1925 r., są to: **Wojskowy Instytut Przeciwgazowy i Instytut Badań Artylerii**. W 1927 r. Instytut ten rozrasta się w **Instytut Techniczny Uzbrojenia** i powstaje **Wojskowy Instytut Badań Inżynierii**. W 1928 r. dochodzą jeszcze: **Instytut Techniczny Intendentury** i **Instytut Medycyny Lotniczej**.

Na podstawie powyższego zestawienia można już z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że wsparcie zagadnień wojskowych przez naukę jest ideą Józefa Piłsudskiego.

Przyjrzyjmy się jak wyglądała praktyka

I. BROŃ PODSTAWOWA PIECHOTY I KAWALERII

1. Karabin. W 1922 r. zapada decyzja produkowania Mausera. Decyzję ułatwiło przejęcie niemieckiej fabryki. Niemniej jeszcze w roku 1925 wojsko było uzbrojone w broń niemiecką, francuską, austriacką i rosyjską. Dopiero od połowy roku 1926 potraja się produkcja karabinowa, co pozwala uzbroić pokojowe etaty armii w jednolitą broń w 1931 r. W tymże roku wprowadza się do produkcji wersję zmodernizowaną.

2. Pistolet. W roku 1929 myśli się o licencji. Inż. **Piotr Wilniewczyc** występuje z kontrpropozycją, władze anulują przedwstępne umowy i pod koniec 1930 r. Wilniewczyc kończy rysunki. W 1931 r. pistolet przechodzi pomyślnie wszystkie próby. Zostaje wprowadzony do uzbrojenia jako WIS wz 35.

3. Ręczny karabin maszynowy. Konkurs ogłoszono w 1924 r. Przez trzy lata komisja nie mogła zdecydować się, której ze światowych wytwórni dać zarobić. Dopiero na początku roku 1927 zakupiono po kilkanaście sztuk z różnych firm i rozesłano do pułków. W ten sposób konkurs rozstrzygnęli strzelcy. wygrał Browning pod nazwą rkm wz. 28. Produkowano go w Polsce po przystosowaniu do mauserowskiej amunicji.

4. Ciężki karabin maszynowy. Pierwszy konkurs ogłoszono w roku 1927, drugi w rok później. Wygrał znowu Browning. Polscy konstruktorzy dokonali zmian. Poza przystosowaniem do standardowej amunicji trzeba było przejść na system metryczny. Pierwsze ckmy ukazały się w roku 1930. Była to broń doskonała.

5. W 1930 r. przyjmuje się do uzbrojenia Hotchkiss kal. 13,2 mm.

6. W roku 1931 dochodzi **moździerz** kal. 81 mm produkowany w Polsce na licencji francuskiej. W 1931 roku skonstruowano dwa polskie granaty: zaczepny i obronny.

7. W 1932 r. inż. **Jan Werner** konstruuje granatnik 46 mm znany później jako wzór 36.

8. Zadbano również o **lekką broń przeciwpancerną**. Zespół polskich konstruktorów: Felsztyn, Maroszek, Szteke i Piotr Wilniewczyc konstruuje karabin ppanc. Była to na owe czasy rewelacja. Kiedy rozpoczęto prace studyjne i konstrukcyjne, niestety nie wiem. Uchwała o podjęciu produkcji zapadła 1 sierpnia 1935 r. A więc w niecałe trzy miesiące po śmierci Józefa Piłsudskiego.

9. Pistolet maszynowy „Mors" Piotra Wilniewczyca i Jana Skrzypińskiego oraz rewelacyjny nkm kal. 20 mm inż. Jurka to już opracowania późniejsze.

II. ARTYLERIA

Do wojny w 1939 r. Polska przystąpiła z dwunastoma typami armat. Sześć z nich przetrwało po pewnych modernizacjach od 1919 r. Pozostałe sześć to nowoczesne konstrukcje.

1. W 1928 lub w 1929 r. zakupiono w Czechosłowacji licencję na produkcję **haubicy 100 mm.** Została ona w Polsce zmodernizowana.

2. W 1932 r. zakupiono również w Czechosłowacji **moździerze 220 mm.**

3. W 1933 r. zakupiono w firmie Bofors cztery **działa nadbrzeżne kal. 152 mm** model z roku 1930.

4. O armacie ppanc myślano już od roku 1927 przeprowadzając pierwsze próby i lokując zamówienia na prototypy. Niemniej konkurs na takie działo ogłoszono dopiero w 1930 roku. Równolegle prowadzono prace nad polskimi działami o kalibrach 40 i 55 mm W efekcie wiosną 1935 r. zakupiono licencję Boforsa na działo 37 mm. Był to trafny wybór.

5. Również na początku lat trzydziestych zajęto się **artylerią przeciwlotniczą.** Ostatecznie w roku 1934 zakupiono w firmie Boforsa licencję na produkcję działa 40 mm, które mogło służyć zarówno do zwalczania samolotów jak i czołgów. W latach 1934—36 skonstruowano w Starachowicach i uruchomiono produkcję **dział plot 75 mm.**

III. BROŃ PANCERNA

Rozpoczęto od samochodów pancernych. W roku 1925 wyjechała w tej sprawie do Francji komisja i ustaliła założenia. Zbudowany na ich podstawie samochód pancerny wz 28 był sprzętem o niskich parametrach użytkowych. Toteż w roku 1929 wyszło ze Sztabu Głównego zamówienie na kolejną konstrukcję. „Sampanc" wz 29 również nie był udany. Następny model — wz 34 stanowił właściwie jedynie przeróbkę samochodu z roku 1928. Należy zwrócić uwagę, że nikt tu nie hamował myśli twórczej, a jedynie myśl ta była nie najwyższych lotów.

Od 1927 r. zaczynają się **prace nad czołgiem.** Do 1930 roku zbudowano **trzy wersje czołgów rozpoznawczych TK,** z których ostatnią skierowano do produkcji. Natychmiast też zajęto się daleko idącą modernizacją, która doprowadziła w roku 1933 do modelu **TKS.**

Następne konstrukcje — to **czołg pływający** PZInż 130 i czołg 4TP. Już w 1933 r. na deskach kreślarskich był **czołg 7 TP,** który wszedł do produkcji w 1935 r. Był on nadal modernizowany i ostatecznie w roku 1937 stanął w rzędzie najnowocześniejszych czołgów świata. Posiadał jako pierwszy czołg na świecie silnik diesla, uzbrojono go w działko 37 mm i ckm. Posiadał unikalny peryskop inż. Gundlacha i radiostację. Dodać należy, że produkowane w 1937 roku czołgi niemieckie jako najcięższą broń posiadały działko 20 mm, a co do radiostacji, to w wojskach pancernych ZSRR w 1941 r. były w nią wyposażone jedynie czołgi dowódców.

IV. MOTORYZACJA

Przemysł motoryzacyjny w kraju zainicjowało wojsko. Już w **1922 r. Centralny Zarząd Wytwórni Wojskowych zleca Centralnym Warsztatom Samochodowym** opracowanie pierwszego samochodu. **Tak** rodzi się CWS T1 skonstruowany przez Tańskiego, Gabaudę i Panczakiewicza. Od 1927 r. **Instytut Badań Inżynierii** i PZInż stymulują rozwój motoryzacji. Wymienię tylko te pozycje, które zostały wykonane na zamówienia wojskowe. A więc:

1. **Motocykle:** CWS, Sokół 1000 i Sokół 600 weszły do produkcji w 1932 r.

2. Sześć **ciągników artyleryjskich** kołowych i półgąsienicowych, z których co najmniej cztery rodziły się w latach 1930—1935.

3. Cztery **samochody terenowe** kołowe lub półgąsienicowe, z których dwa powstały przed rokiem 1935.

Twórcy to inżynierowie: Okołów, Cywiński, Habich, Dębicki, Horwatt, Dowkontt, Jan i Jerzy Wernerowie, Studziński, Rudawski. Poraziński — nie licząc twórców CWS. Tym ludziom dano wolną rękę i stworzono warunki do rozwinięcia talentu.

V. LOTNICTWO

Nie było w Polsce gałęzi przemysłu, gdzie myśl techniczna rozwijała się tak bujnie jak w przemyśle lotniczym. Od 1926 roku do wybuchu wojny oblatano 54 typy — własnej konstrukcji. Do 1926 r. sytuacja przedstawiała się wręcz tragicznie. Własnych konstrukcji nie rozwijano, cały zakupiony głównie we Francji sprzęt był niebezpieczny w użyciu i przestarzały. W 1924 r. ogłoszono konkurs, na który przysłano 15 projektów. Jury przyznało cztery nagrody (czwarta podwójna) ale żaden z projektów nie został zrealizowany. Doszło do tego, że pod koniec 1925 r. w 5 Pułku Lotniczym w Toruniu na 63 samoloty, w które pułk powinien być wyposażony — zdolnych do latania było 14, w tym jedynie dwa myśliwskie.

Pierwsze dwa samoloty polskiej konstrukcji wystartowały do lotu dopiero w początkach 1926 r. Jeden z nich WZ—X zamówiony był jeszcze w początkach 1923 r. ale do jego budowy CWL przystąpiły dopiero w trzy lata później. Drugi SP-1 został wykonany w 1925 r. z własnej inicjatywy przez prywatną wytwórnię „Samolot" w Ławicy koło Poznania.

W lipcu 1926 r. poszło do tejże wytwórni zamówienie wojska na samolot. Konstruktorzy i warsztaty uporały się z problemem w ciągu sześciu miesięcy. W początkach 1927 roku Bartel BM-2 już latał I tak się zaczęło. **Do końca 1931 r. oblatano już 25 typów samolotów polskiej konstrukcji.** W tym 10 myśliwskich, 7 szkolnych, 5 towarzyszących, 2 liniowe i wodnopłat. Ten stosunek — wysuwający na czoło myśliwca jest niezgodny z tezą, że polska doktryna wojenna przeznaczała lotnictwu przede wszystkim zadania obserwacyjne.

W następnych latach — **do 1936 r. oblatano jeszcze 17 typów,** w tym — niestety — tylko jeden myśliwski. Wypróbowany w 1931 r. **PZL P-11** okazał się bowiem taką rewelacją, że w następnych latach przede wszystkim doskonalono jego kolejne wersje. Do konstrukcji zupełnie nowej generacji myśliwca wrócono dopiero w 1934 r.

Inne dobre, lub nawet bardzo dobre na swoje czasy maszyny to oblatany w 1934 r. **„Karaś"** i skonstruowany w tymże roku **„Wilk"**, który miał być produkowany w dwóch wersjach myśliwskiej dalekiego zasięgu i szturmowej. Również w 1934 r. zaczęto konstruować **„Łosia"**. W tym samym czasie rodził się na deskach niemieckich konstruktorów Me-109 a w Anglii Hurricane.

VI. MARYNARKA WOJENNA

Jeżeli ktoś mógł czuć się pokrzywdzony niechęcią marszałka Józefa Piłsudskiego to marynarze O rozbudowie floty wyrażał się cierpko:

„Państwo nie posiada ani możliwości, ani jakichkolwiek środków do tego, aby tak drogą prawdę o swej sile, jak flotę wojenną, mogącą być użytą na wielkich morzach świata czy kreować czy zbudować. We wszystkich moich przemyśleniach operacyjnych nigdy nie wykraczam poza możliwość istotnie realnego panowania nad ruchem w Zatoce Gdańskiej".

Mimo to Polska zafundowała sobie **10 nowoczesnych okrętów wojennych.** Tylko zamówienia na niszczyciele: „Wicher" i „Burza" wyszły przed majem 1926 r. Trzy okręty wojenne zamówione zostały w grudniu 1926 roku — przypuszczam, że jeszcze w ramach tego samego planu rozbudowy floty, reszta zamówień dopiero w 1934 r. Przypomnę, że w 1933 r. powstał specjalny fundusz społeczny, z którego zakupiono „Orła". Myślę wszelako, że te duże pieniądze, które włożono w okręty ze znacznie lepszym skutkiem można było wykorzystać na zakup samolotów, czołgów czy w końcu na rozbudowę przemysłu zbrojeniowego. Flota polska odegrała wprawdzie w II wojnie niewspółmiernie dużą do swej wielkości rolę, co nie zmienia faktu, że na przebieg Kampanii Wrześniowej nie miała żadnego wpływu. Myślę też, że niezłomny marszałek Józef Piłsudski tym razem ugiął się pod presją społeczną. Społeczeństwo naprawdę pragnęło mieć marynarkę wojenną.

VII. PRÓBA UOGÓLNIENIA

Jeżeli przeprowadzimy analizę porównawczą parametrów technicznych uzbrojenia z okresu II Rzeczypospolitej, to okaże się, że nasze rozwiązania techniczne były w latach 1936—1937 równorzędne z rozwiązaniami stosowanymi w innych armiach, a nawet — mimo że startowaliśmy z ogromnym opóźnieniem do tego wyścigu myśli technicznej w pewnych sprawach wysuwaliśmy się na czoło. Dopiero w ostatnich latach przeciwnik nasz wyraźnie nas zdystansował. Czy to z naszej winy czy też tak mu pomógł poligon hiszpański — nie mnie rozstrzygać, Tak się stało. A ponadto mówimy tu ciągle o jakości a nie o ilości broni. Samą jakością wojny się nie wygrywa.

W sprawach ilości nie mieliśmy już z Niemcami żadnych szans. Z jednej strony Polska, która od 1914 do 1921 roku była ciągle polem bitwy, a jej niewielki i niespójny — pozostawiony po zaborach potencjał gospodarczy był wyniszczony w ok. 50 procentach. Z drugiej Niemcy, na których terytorium nie stoczono podczas I wojny żadnego boju, a których doskonale rozbudowany przemysł był w stanie uzbroić i wyposażyć 250 wielkich jednostek. W okresie pokryzysowym dosłownie wystarczyło podłożyć zapałkę, żeby ruszył na pełnych obrotach.

Musimy chyba dojść do wniosku, że dwa przytoczone na początku twierdzenia dotyczące Józefa Piłsudskiego są sprzeczne. Jeżeli bowiem w wojsku działo się tylko to, co sobie wymyślił, znaczyłoby, że doskonale rozumiał potrzebę unowocześnienia armii. Jeżeli przedstawiony przeze mnie bujny rozwój myśli technicznej w wojsku odbywał się za jego plecami świadczyłoby to, że nie miał nic do powiedzenia.

Warto to rozważyć, zwłaszcza że nie widać nikogo, kto mógłby to wszystko stymulować. Dlaczego poszukuję akurat jednego człowieka a nie dobrze rozumiejącej się grupy, względnie nie zakładam, że wszystko to były ruchy przypadkowe. Już założenie grupy byłoby ukłonem w stronę Józefa Piłsudskiego, natomiast zakładanie przypadku — takich rozwojowych ruchów Browna — w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Jedyny profit jaki wyciągamy dziś z tego, że II Rzeczpospolita miała ograniczony budżet wojskowy i nie można było rozwijać wszystkiego naraz — to widoczny jak na dłoni zamysł, jak byśmy dziś powiedzieli — plan modernizacji uzbrojenia. Bardzo wyraźne są kierunki priorytetowe. A więc najpierw wszystko to, co ma służyć obronie odsuwając na plan dalszy bronie ofensywne. Poza tym podstawowym założeniem dostrzec można kolejne preferencje. A więc przede wszystkim karabin jako broń podstawowa pozwalająca jednocześnie na unifikację amunicji na polu walki i... samolot.

W rozwoju lotnictwa kierunki są również ostro zarysowane: obrona to przede wszystkim poszukiwanie odpowiedniego myśliwca i szkolenie pilotów. Taki wybór działań wstępnych można sobie tłumaczyć rozmaicie, ale zawsze wychodzi, że był to wybór trafny.

Od 1927 r. zaczyna się opracowywanie kompletu podstawowej broni, piechoty i kawalerii, oraz myśli się o armacie ppanc i czołgu rozpoznawczym. Do roku 1932 mamy już: pistolet, kb, kbk, rkm, ckm, nkm, granatnik, moździerz, dwa typy granatów, czyli całą broń — nazwijmy „drobną" używaną w tym czasie na polu walki przez wszystkie armie świata. Jest również dobry myśliwiec i czołg rozpoznawczy.

W miarę kończenia tych prac wchodzą nowe problemy Około roku 1930 uruchamia się pieniądze na motoryzację, wzmaga się pracę nad bronią przeciwpancerną i przeciwlotniczą. Zwróćmy uwagę, że jest to ciągle broń defensywna. O ofensywnej zaczyna się myśleć dopiero w roku 1933—*1934* wówczas to na deskach kreślarskich pokazują się projekty myśliwca dalekiego zasięgu, bombowca i czołgu większego niż rozpoznawczy *Mimo że nie* znam żadnych dokumentów dotyczących rozwoju uzbrojenia w tamtym czasie, trudno przypuścić, aby taka sekwencja działań była dziełem przypadku.

Obraz tamtych lat byłby niepełny gdybyśmy nie wspomnieli jeszcze o dwóch inicjatywach. Pierwsza to zorganizowany w 1928 r. **kurs cyfrowy dla młodych matematyków z Uniwersytetu Poznańskiego** władających biegle językiem niemieckim. Do pracy zostali wbrani M. Rojewski, J Różycki i H. Zygalski co zaowocowało w 1932 r. złamaniem szyfru enigmy. Druga — to powołany w 1933 r. **Tymczasowy Komitet Doradczo Naukowy**. Członkami komitetu byli profesorowie: J. Groszkowski — radiotechnika, M. Huber — mechanika, C. Pawłowski — radiologia, M. Pożaryski — elektromechanika, J Roman — maszyny elektryczne, B. Stefanowski — termodynamika, spalanie, K. Smoleński — chemia, W Świętosławski — fizykochemia, C. Witoszyński — aerodynamika, M. Wolfke — fizyka Jak stwierdził prof. Jerzy Groszkowski zachowały się protokoły z ponad stu posiedzeń tego gremium. Nie znam jak na razie żadnej publikacji, w której by się na nich oparto. Ze słów profesora zanotowanych przez H. Nakielskiego wynika tylko, że już w 1936 r. zajmowano się w Polsce bronią rakietową zdalnie sterowaną.

W czyich rękach skupiały się te wszystkie nici — dziś można się tylko domyślać. Zebrane fakty wskazują że:

Działalność nad modernizacją armii w okresie 1926 -1935 i w stosunku do poprzedniego okresu była bardzo ożywiona. Była to działalność celowa, nie była hamowana, włączono do niej najtęższe umysły w Polsce.

ze str. 1

Łowczego Hermana Goeringa — wszystko to brzmiało raczej optymistycznie, uspokajająco. No i ta pogoda, flirt z Hanią i Irmą, szaleńcza jazda po serpentynach górskich!

Przedpołudnia spędzałem przeważnie na pieszych spacerach. Snułem się po deptaku z tradycyjną szklanką i wetkniętą w nią rurką, zachodziłem do pijalni wód mineralnych. Pragnienie gasiłem czym popadło: „Kryniczanką", „Zuberem", nie gardziłem też „Bocianówką", zalecaną przyszłym matkom. Nic mi nie szkodziło, ani nie mogło pomóc: byłem zdrów jak ryba w czystych wówczas rzekach.

Wśród tłumu spacerowiczów dojrzałem któregoś dnia znajomą sylwetkę. Kilka kroków przede mną kroczył mężczyzna o szerokich barach, z charakterystycznie uniesionymi ramionami, o kruczych, kręconych włosach. Poznałem go momentalnie. Maks Bornstein, osławiony „Ślepy Maks", niekoronowany król łódzkiego świata przestępczego! Jako reporter często przybiegałem do niego po informacje dla naszego „Expressu".

Król dwa razy wyświadczył mi przysługę. Gdy chodziłem jeszcze do szkoły, naraziłem się Lowie Karelickiemu, szefowi młodocianej szajki, terroryzującej młodzież szkolną. Kto się mu nie okupywał, zbierał cięgi, zadawane przeważnie ręką Lowy lub jego wiernych kompanionów — zezowatego Natka, czy Kostka grużlika, który w razie potrzeby sięgał i po nóż. Kastety tzw. fingle mieli wszyscy członkowie ferajny. Ja nie chciałem się opodatkować, mało tego — umówiłem się na randkę z Hanką Markowicz, sympatią Lowy. Ten zaciągnął mnie do bramy, rozkwasił mi nos i zapowiedział, że jak nie zostawię w spokoju jego dziewczyny, poprzetrąca mi gnaty. Mój starszy brat poprosił Maksa o interwencję, a że brat pracował w „Expressie", który stawał w obronie Bornsteina, gdy ten popadał w kolizję z prawem — król zadziałał szybko i skutecznie. Wezwał Lowę do siebie i powiedział:

Pamiętaj, jak jemu (to znaczy mnie) *coś się stanie, jak potknie się na schodach, czy ktoś podstawi mu nogę, albo złapie katar, skrócę cię o głowę!*

Od tej pory Lowa zostawił mnie w spokoju, zresztą po jakimś czasie wylądował w więzieniu za zabójstwo swego kolegi w salonie gier Hildeshajma przy ul. Piotrkowskiej.

Kilka lat później, gdy pracowałem w „Expressie", ktoś wpuścił mnie w maliny: wydrukowałem na pierwszej stronie sensacyjną wiadomość o wykryciu przez policję szulerni na Piotrkowskiej, co od początku do końca nie odpowiadało prawdzie. Właściciel cukierenki, w której rzekomo odchodziła ruleta i hazardowe gry, niejaki Neufeld, pseudo „Bucik", przydybał mnie w redakcji i kusząc dolarami nastawał, bym mu zdradził nazwisko informatora, a gdy odmówiłem, powołując się na tajemnicę redakcyjną, wyciągnął majcher sprężynowy. Spłoszony, zapowiedział, że mnie jeszcze dopadnie. „Ślepy Maks" i tym razem wybawił mnie z opresji.

— Panie Maks! Co za spotkanie!

Odwrócił się powoli, jego kamienną, posępną twarz okrasił lekki uśmiech.

— *A to pan... Może przysiądziemy gdzieś? Zapraszam pana na mały szmis. Na pogawędkę* — dodał, widząc, że nie znam tego słowa.

Po zdawkowych pytaniach w rodzaju: kiedy pan przyjechał, na jak długo, gdzie się pan zatrzymał itp., król zamilkł na chwilę, po czym rozkręcił się.

— *I co pan powiesz na to, co się na świecie dzieje? Niedobrze z nami, wojna wisi w powietrzu.*

— Przesadza pan, panie Maks. Zobaczy pan, wszystko rozejdzie się po kościach.

— *Taki wykształcony puryc, a gadasz pan jak dzieciak. Jak inni Żydzi. Pan wie, co oni mówili, gdy Hitler doszedł do władzy? Phi, głupi malarz pokojowy, co on może zrobić. Nazywali go a giten husyn. W naszej gwarze oznacza to początkującego, zielonego rzezimieszka. Ja od pierwszej chwili oceniłem go jako fotera — starego, wytrawnego bandziora. Podbija kraj za krajem, a co wyprawia z Żydami u siebie? Chyba pan słyszałeś o tych pogromach, o rabowaniu i niszczeniu żydowskich sklepów. U nas zrobi to samo!*

— Przecież nikt go do Polski nie wpuści!

— *To pan tak mówi. A ja panu powiadam, że on wejdzie do nas wcześniej, niż się ktokolwiek tego spodziewa. Ja widzę dla siebie i wszystkich naszych Żydów tylko jedno wyjście: waiwrach. Tego słowa też pan nie zna? Waiwrach to ucieczka. Trzeba jak najprędzej brać nogi za pas, póki jeszcze nie jest za późno. Pan masz bogatego teściá. Namów go pan, żeby uciekał z całą rodziną. Tutaj będzie tojwo wywojt, zagłada, koniec świata, obym nie dożył tej chwili.*

— A dokąd pan zamierza uciekać?

— *Do Rosji, do sowietów. Tam będę bezpieczny.*

— Próbowałem odwieść króla od czarnych przewidywań. Moje perswazje, nie poparte przekonywającymi argumentami, wywoływały coraz energiczniejszy sprzeciw.

— *Jestem prosty człowiek, ale mam swój rozum. Pan wie dlaczego nasi Żydzi nie chcą uciekać? Biedni nie mają z czym, a bogaci nie chcą zostawić swych majątków, fabryk, sklepów. Ja ich wszystkich dobrze znam. Wiem, że ludzie źle o mnie mówią, ale co ja im złego robiłem? Przeciwnie — pomagałem, jak kto był w potrzebie. Nieuczciwi dłużnicy nie wykupywali weksli, nie oddawali honorowych długów. To ja pośredniczyłem, inkasowałem należności, a że część zatrzymywałem dla siebie, to przecież za fatygę mi się należało, no nie? Wspieralem biedaków, niech się pan popyta na Bałutach, nikomu nie wyrządziłem krzywdy...*

— A Balberman? — wyrwało mi się.

— *Pan mówisz, Balberman... Pan wie kto to był? Maciornik, dziewczyny wypuszczał na róg. Chodził po ludziach i zbierał ofiary na posagi dla biednych panien żydowskich. Tak mówił, ale pieniądze zagarniał dla siebie. Wyrąbałem mu to przy świadkach. Wtedy pojechał na grób swego ojca do Konstatynowa i przy zapalonych czarnych świecach poprzysiągł mi zemstę. Miałem się odtąd na baczności, zawsze trzymałem w kieszeni nabity rewolwer. Na rogu Wschodniej i Pomorskiej, kilka kroków od tej knajpy „Kokolobolo", gdzie zbierała się dintojra, wpadliśmy na siebie, nos w nos. On sięgnął ręką do kieszeni, ale ja byłem szybszy. Zastrzeliłem go w obronie własnej, tak powiedział sąd i mnie uniewinnił...*

— Podobno napisał pan w więzieniu wiersze?

— *Jakie tam wiersze, coś nagryzmoliłem do rymu. Jak pan wróci do Łodzi i jeszcze mnie zastanie pokażę panu...*

Chciałem rozładować przykrą atmosferę. Zaproponowałem królowi drugie śniadanie w pobliskiej knajpce. Zamówił kanapki z wędliną i duże piwo.

— Panie Maks — roześmiałem się. — Co pan robi? Przecież to szynka, nie koszerne, jak wierzący Żyd może jeść chazer?

Mrugnął figlarnie zdrowym okiem, drugie przesłaniała mu martwa powieka, stąd jego przydomek.

— *Chazer nie chazer, grunt, żeby się człowiek nażer! Może to już ostatni raz przed długim postem? No, na mnie czas* — ścisnął mi dłoń aż do bólu. — *Pamiętaj pan, co panu radziłem...*

Szybko zapomniałem o przestrogach króla. Walnie przyczyniły się do tego obie aktywne siostrzyczki, a właściwie ta młodsza, bo druga w decydującym momencie stawiła nieoczekiwanie opór. Ostatniego dnia lipca spakowałem manatki, pożegnałem się czule z obiema paniami i wróciłem do Łodzi.

Nawet dzieci zapisywały się na „żywe torpedy"

Mego dobrego samopoczucia nie zakłóciła przygnębiająca atmosfera, jaką zastałem w redakcji. Zasępieni koledzy snuli się po pokojach, zbierali się w grupki, nikt już nie myślał o urządzaniu sobie wzajemnie kawałów, a ja trwałem w błogim nastroju, czekając na listy z Krynicy.

Z błogostanu nie wytrąciły mnie nawet wydarzenia w najbliższym otoczeniu. Pojawiły się pierwsze komunikaty o ćwiczeniach w zakresie obrony przeciwlotniczej. Na murach Łodzi rozlepiono biało-czerwone plakaty. „*Na podany sygnał wszystkie światła w mieście muszą być wygaszone... Reflektory pojazdów i numery domów mają być osłonięte niebieskim celofanem... Na oknach należy zawiesić czarny papier...*"

To tylko tak, na próbę — uspokajały łodzian komunikaty dowództwa obrony przeciwlotniczej. Próba wypadła dobrze. Łódź zdała ten egzamin na piątkę, o czym radośnie obwieściłem w „Expressie". Po kilku dniach zaimprowizowano w mieście wojnę lotniczą i obronę przeciwlotniczą. To też była próba, a próby powtarzano coraz częściej.

— *Dowódca ośrodka OPL Łódź zarządza alarm lotniczy. Halo, halo, dowódca ośrodka OPL Łódź...*

Nie tylko ja byłem krótkowidzem. Inni też nie przewidywali nadciągającego niebezpieczeństwa. „*Oni przecież tylko tak dla egzaminu*" — pocieszano się wzajemnie, a ja święcie wierzyłem w te próby i sprawdziany, bo mi było z tym wygodnie. Politycy na pewno dojdą do porozumienia, wszystko się jakoś ułoży.

A co mnie dziś najbardziej zastanawia, to reakcja większości Żydów. Mało kto spośród nich wierzył w możliwość wybuchu wojny, nie przewidywano następstw inwazji hitlerowskiej. Potomkowie narodu, który w swej ponad pięciotysiącletniej egzystencji przeszedł niewole, pogromy, tułaczki, ludzie znani z logicznego myślenia i roztropności postępowania, nie zdali absolutnie egzaminu. Byli i tacy, co powołując się na doświadczenia z I wojny światowej twierdzili, iż Niemcy to kulturalny naród, nie wyrządzą krzywdy ludności cywilnej. A może rację miał „Ślepy Maks" dowodząc, że biednym brakło odwagi wyruszyć w świat bez niczego, a bogaci nie chcieli rozstawać się ze swymi majątkami? Ja nie potrafię sobie tego do końca wytłumaczyć.

Gdy Starostwo Grodzkie zażądało wyznaczenia kogoś z redakcji „*w celu uaktywnienia w zakresie obrony przeciwlotniczej*", wybór padł na mnie. Byłem najmłodszy w zespole i tyle serca wkładałem w sprawozdania! Aeropag redakcyjny nagle dostrzegł we mnie uosobienie tężyzny i poniekąd przyszłość narodu, a że w dodatku naraziłem się któremuś z kolegów — sprawa została przesądzona.

Na odprawie w Starostwie zająłem skromnie miejsce w kącie sali. To pogrążyło mnie ostatecznie: przy typowaniu kandydatów moją osobę zgłoszono w pierwszej kolejności i tak oto zostałem komendantem blokowym OPL. Powierzono mi czworobok domów w mojej dzielnicy — na ul. Henryka Sienkiewicza (mieszkałem pod nr 73), od Nawrotu do Głównej, po nieparzystej stronie ulicy. Miałem sprawdzać czy w czasie alarmu wszystkie okna są zasłonięte, czy na strychach i w piwnicach nie walają się łatwo palne materiały, czy na podwórzach stoją beczki z piaskiem, a w razie nie daj Boże czego, natychmiast zawiadomić kogo należy.

Któregoś dnia przybiegłem do redakcji z nowiną: ludność cywilna otrzyma maski przeciwgazowe! Wiadomość opatrzyłem komentarzem, będącym wynikiem mojego udziału w OPL. Maska to jedyny ratunek na wypadek działań wojennych, kto ma maskę może śmiało spoglądać w przyszłość, bo maska...

Koledzy wymogli na mnie załatwienie poza kolejnością przydziału dla redakcji. Zrobiłem listę i z woźnym panem Franciszkiem Zdziechowskim pojechałem do Ubezpieczalni Społecznej na Wólczańską. Pobraliśmy kilkadziesiąt masek typu C2 oraz kilka indywidualnych pakietów przeciwiperytowych, bo i na nie reflektowało paru kolegów, pamiętających jak to w pierwszej wojnie światowej Niemcy pod Ypres użyli po raz pierwszy w 1917 r. środka trującego, gazu musztardowego, zwanego odtąd iperytem.

Po południu wpadł do mego pokoju goniec Edek.

— *Pan redaktor Polak powiedział, żeby pan natychmiast zszedł do niego!*

Przy sporządzaniu listy reflektantów na maski naczelnego nie było w redakcji. Kiedy zjawił się i stwierdził, że wszyscy poza nim są zaopatrzeni, wpadł w czarną rozpacz.

— *Panie Kiepura!* (tak mnie nazywano) — zaatakował mnie od progu. — *Gdzie moja maska? Jak pan mógł o mnie zapomnieć?!*

Sytuacja rzeczywiście była kłopotliwa. Cały personel redakcyjny, nie wyłączając woźnych i gońców, wyekwipowałem na wypadek wojny, tylko naczelny nie miał zbawiennego sprzętu ochronnego. Ale od czego znajomości? (dziś powiedziałbym: chody). Zadzwoniłem do Ubezpieczalni i tak długo maglowałem urzędnika, aż się zgodził wydać dodatkową maskę. Udałem się po nią z naczelnym dorożką — nasze trzyosobowe samochody redakcyjne już zmobilizowano. Po drodze redaktor z żelazną logiką udowadniał, że wojna, jeżeli nawet wybuchnie, nie potrwa dłużej niż kilka tygodni. Anglia i Francja nie pozostaną obojętne. Ja w ogóle nie dopuszczałem do siebie takiej ewentualności i wciąż nie traciłem spokoju.

Tematyka moich publikacji uległa zmianie. Przestawiłem się na informacje mające ścisły związek z aktualną sytuacją. Taki materiał wypierał ze szpalt wszystko inne. Gazetę wypełniała specyficzna treść. Wspomnienia walk legionowych, zapewnienia o pięści, chwale i rubieży.

„Express" drukował antyhitlerowski film rysunkowy „*Heil, Piffke!*". Ilustracje wykonywał Stanisław Dobrzyński, „Kos", przyjaciel redaktorów Ołtaszewskiego i Polaka, wierszowane teksty pisał Jerzy Bolski, nasz autor sensacyjnych powieści odcinkowych. Ogłosiliśmy ogólnokrajowy konkurs z nagrodami na najdowcipniejszą karykaturę Adolfa Hitlera. Nasz niezrównany rysownik poza konkursem uwiecznił w tuszu Hitlera jako agresora seksualnego, a jego ofiarą był kwiczący Benito Mussolini. Rycinę podarował dyrektorowi wydawnictwa, Aleksandrowi Goldbergowi, który zawiesił ją nad swym biurkiem.

Cała prasa zamieszczała codziennie komunikaty o utworzeniu Funduszu Obrony Narodowej i Funduszu Obrony Morskiej. Hasła i apele. Kto złoży ofiarę na FON? Kto wpłaci na FOM? Pierwszy ścigacz musi być darem Łodzi i województwa łódzkiego!

W tej atmosferze ogólnej gorączki i zamieszania opowiadano sobie jako antidotum okolicznościowe dowcipy. Oto próbka. Kupiec Rozenblat daje ogłoszenie do gazety:

„*Niniejszym zawiadamiam, że wpłaciłem na FON złotych pięć i wzywam mego b. wspólnika Rappoporta, żeby wpłacił na ten cel złotych dwieście*".

Wkrótce potem, gdy ludność żydowską zamknięto w getcie, zrodził się tam inny, makabryczny dowcip. W początkowym okresie za drutem kolczastym istniały restauracje, gdzie można było dobrze zjeść, oczywiście za ciężkie pieniądze. Nadziany bywalec zajął stolik przy oknie wystawowym i obżerał się tłustą gęsią. Przechodzący żebrak przystanął i poprosił o wsparcie. „*Nic się nie daje*" — mruknął gość, ogryzając smakowite udko. „*Szanowny panie, już dwa dni nie miałem nic w ustach*". „*Tu się nic nie daje*" — gość uderzył ręką w stolik. „*Żona i dzieci głodują, proszę, co łaska...*" — nie ustępował nędzarz. „*Psiakrew!* — wrzasnął konsument, zrywając się od stolika — „*Sami nie jedzą i innym nie dają jeść!*"

Powszechne zainteresowanie wzbudzały „żywe torpedy". Opowiadano sobie o skonstruowanych przez Japończyków pociskach do zatapiania łodzi podwodnych, sterowanych przez żywego człowieka, który podpłynąwszy pod nieprzyjacielską jednostkę powoduje eksplozję ginąc przy tym nieuchronnie. Gazety szeroko rozpisywały się na ten temat, wywołując powszechny podziw dla tak bezprzykładnego bohaterstwa i pogardy śmierci. Toteż łatwo można sobie wyobrazić, co się działo w naszej redakcji, gdy zjawił się pewien mężczyzna i oświadczył:

— *W obliczu niebezpieczeństwa postanowiłem poświęcić swe życie w obronie Ojczyzny. Proszę mnie zapisać na „żywą torpedę"!*

Informację tę podała do numeru Irena Weiss, z którą od pierwszej chwili darłem koty w obłędnym wyścigu o wiadomości do naszej popołudniówki. Byłem tego dnia na zebraniu OPL i nie mogłem sobie darować, że moja konkurentka znowu mnie ubiegła.

Nazajutrz po ukazaniu się gazety z tą rewelacją odwiedziło redakcję trzech kandydatów na „żywe torpedy", potem pięciu, dziesięciu. Niewątpliwie byli to szczerzy patrioci, z ich słów przebijała gotowość poniesienia największej ofiary dla zagrożonej Ojczyzny. Ale pierwsze wrażenie już osłabło, spowszedniało. Coraz mniej miejsca poświęcaliśmy kandydatom na „żywe torpedy". Znalazł się też ktoś, kto na fali powszechnego patriotyzmu...

Siedziałem sam w pokoju, nagle cicho otworzyły się drzwi i na progu stanął szczupły mężczyzna, trzymający za rękę kilkuletniego chłopca. Wybąkał słowa powitania i zwrócił się do malca:

— *No powiedz panu redaktorowi, po co przyszedłeś?*

— *Ja chce na żywą torpedę!* — wyrecytował chłopak jednym tchem.

To było wzruszające! Dotychczas tylko dorośli zgłaszali się na ochotników. Zanotowałem imię, nazwisko, adres i wiek chłopca, mającego chyba dziewięć dziesięć lat.

— A pan? — zwróciłem się do ojca.

— *Ja też. Przecież samego go nie puszczę.*

Ukłonił się i zawrócił w kierunku drzwi, ciągnąc za sobą małego, którego zafrapowały leżące na mym biurku kolorowe czasopisma. W pół drogi tata się zatrzymał.

— Chce pan jeszcze coś dodać? — zachęciłem go.

— *Hm... a jak będzie z tymi podatkami?*

— Z poda... nie rozumiem.

— *Widzi pan, chodzi o to czy oni mi je umorzą, ewentualnie rozłożą na raty. Jestem z branży handlowej, mam trudności, liczną rodzinę na utrzymaniu...*

Jak to dobrze, że nie napisałem wtedy o tym do „Expressu". Spłonąłbym dziś ze wstydu, przypominając owe dawne dzieje Czytelnikom...

ADAM OCHOCKI

ze str. 1

od Łodzi pojawiają się pierwsze trudności: nie można kupić chleba. Pracownicy placówek Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" protestują przeciwko narosłym przez lata zaszłościom, polegającym na chaotycznej polityce gospodarczej i płacowej GS. Sklepy zamyka się wcześniej, rozlepiono ulotki, wywieszono flagi i transparenty. Akcja objęła cały kraj. **Za Uniejowem**, w małej wiosce, stoją przed sklepem kobiety i krzyczą przez szybę do wnętrza: **Maryśka, nie wygłupiaj się, sprzedaj nam chleb.**

Maryśka wykrzykuje ze środka o proteście, ale wpuszcza „swoje" gospodynie do środka. Obcy nie wchodzi, drzwi zatrzaskują mu się przed nosem. Chleba nie będzie.

Nie zauważyłem natomiast, by gdziekolwiek po drodze zamknięto wcześniej gospodę czy piwiarnię, choć obwieszczenia o proteście wiszą nad bufetami, tuż pod wywieszką: **„pić, albo żyć — wybieraj sam"**. Piją więc włościanie na umór, topiąc w wódzi swoje smutki, tak, jakby je można było utopić. Klną przy tym siarczyście, głośno wyrzekając na bałagan i poniżające traktowanie chłopa przez władzę.

W województwach północnych (słupskie, koszalińskie, a później szczecińskie) protest przybrał bardziej radykalną formę. Uformowano kolumny pojazdów rolniczych, kombajnów, siewników, traktorów i wjechano do większych miast województw, z ich stolicami włącznie, by na parę godzin zablokować wjazdy i wyjazdy. Przekazano, po raz któryś z kolei, postulaty odpowiednim urzędom, zademonstrowano solidarność w sprawach wsi i zdesperowanie, które jest wynikiem braku reakcji na dotychczasowe skargi. Mówi się, iż niektóre decyzje i działania wręcz prowokują do podejmowania akcji protestacyjnych.

Oburzenie rodzi np. fakt zakupu żywności za dewizy, przy skąpieniu złotówek na godziwą opłatę pracy polskiego rolnika, przesuwanie w czasie decyzji o urynkowieniu gospodarki żywnościowej i czekanie, aż rolnicy sprzedadzą zbiory, zamrożenie cen po wywindowaniu opłat na środki produkcji, itd.

Sytuacja na wsi zaostrza się i grozi wybuchem — twierdzą uczestnicy blokady. Oprócz tak spektakularnej demonstracji, chłopi przestali płacić podatki, odstawiać mleko i żywiec. Mleko nie marnuje się jednak, jest wykorzystywane jako dodatek do paszy. W miastach pojawią się, z pewnością, kłopoty z kupieniem jego przetworów. Blokada odbywała się 25 lipca.

W **Słupsku**, Wojewódzka Rada Narodowa zareagowała „natychmiast", obwieszczając uroczyście w prasie, że specjalne, pilne jej posiedzenie na temat sytuacji w rolnictwie, odbędzie się już 2 sierpnia. A więc 8 dni trzeba w Słupsku, by zwołać rzeczywiście pilne posiedzenie Rady. Taki stosunek do spraw gardłowych, nie rokuje nadziei. Znów rutyna i formalistyczne przyzwyczajenia biorą górę nad potrzebami chwili, choć to chwila rzeczywiście dramatyczna. Choć miało się zmienić, nic się nie zmienia. Radni słupscy powinni nie móc zjeść śniadanka i obiadu, może pusty brzuch wpłynąłby na ostrość widzenia i jasność myślenia, zmuszając do decyzyjnego galopu czy choćby elementarnego wywiązywania się z pełnionych funkcji.

Chłopi lansują hasło: **„ile miasto wsi, tyle wieś miastu". W Słupsku** tej zależności nie rozumieją. Gdyby rozumieli, nadzwyczajne posiedzenie powinni odbyć nazajutrz po proteście, albo jeszcze w nocy. Tak zareagowano w **Szczecinie**, gdzie wojewoda spotkał się z naczelnikami gmin tuż po akcji protestacyjnej, a pewne decyzje powziął na dzień przed akcją, bo była ona zapowiadana wcześniej. Można więc...

3. Nie robić zdjęć... wiatrakom...

Parę kilometrów za sklepem z Maryśką stoi malowniczy, ale rozpadający się drewniany wiatrak ze szczerbatym kikutem śmigła. Świetny obiekt do fotografowania. Gdy zbliżałem się z aparatem do zrujnowanej budowli, jakiś babofon rozjazgotał się na pół gminy:

Antek, Antek, ktoś wiatrakowi zdjęcia robi!!.

W pobliskim obejściu ruch się zrobił, ktoś kogoś wołał i już biegli w moją stronę faceci w drelichach i gumiakach, choć upał piekielny, jakbym pończochę z dolarami zamierzał im wykraść z chałupy. O co chodziło, nie wiem, wolałem nie czekać na wyjaśnienia, bo mógłbym utracić zdolność do dalszej podróży, na przykład. Odjechałem bez zdjęcia. Wiatrakiem, co widać było aż nadto wyraźnie, nikt się nie zajmował. Jednak wara obcym od cudzej własności, choćby to była nawet kupa starych desek, widłami trzeba bronić swego, a co?!

4 Samotny umrzyk.

Widok z szosy: wielką połać łysej ziemi otacza ażurowy mur z białej cegły. Jej białość podkreśla zapadający zmrok. Pośrodku wielki, prosty, drewniany krzyż i jedna, świeża jeszcze mogiła, na nowo założonym cmentarzu. Niesamowity widok. Istnie księżycowy, bezdrzewny pejzaż i pierwszy, samotny człowiek w obcym otoczeniu.

5. Gdzie zaparkować... rower?

Gdy ktoś wybiera się w podróż rowerem, a nie ma z sobą namiotu, lub przyczepy kempingowej — i chce nocować, dajmy na to, w hotelach, będzie musiał zręcznie kombinować, choć nie zawsze skutecznie. Nie przewidziano u nas usług dla takich turystów, choć pojawia się ich na szosach coraz więcej. **W Bydgoszczy** rower stał na parkingu strzeżonym między samochodami. **W Bytowie**, na zamku, w recepcji, pod opieką recepcjonistki (za 1000 zł.), a i tak ktoś świsnął miedziany pręt, który, zabrany na wszelki wypadek, miał służyć do celów obronnych. Tylko **w Trzebiatowie** pozwolono (w tajemnicy przed kierownikiem hotelu) rower wstawić do pokoju, tak maleńkiego, że o tańczeniu walca, nawet w pojedynkę, trzeba było zapomnieć. **W Nowym Tomyślu** przechowali rower mieszkańcy pobliskiego hotelowi domku, bo w noclegowni nie znaleziono dlań miejsca.

6. W Łebie najlepiej mieć dużo pieniędzy.

Po trzech dniach jazdy — **Łeba.** W sezonie, 3600 mieszkańców tonie w morzu 160 000 przyjezdnych. Tę nieprawdopodobną liczbę ludzi (choć rozkłada się ona na dwa miesiące) widać i na ulicach i na plaży. Piotrkowska w godzinach szczytu jest miłym, luźnym deptakiem w porównaniu z ul. Tadeusza Kościuszki — łebskim corso. Tam trzeba się — dosłownie — przepychać w tłumie. Chodniki wąskie, a nieco tylko szerszą jezdnią suną gęsto samochody. Jest gorąco i śmierdzi, ale — widać — ludzie lubią taki wypoczynek, skoro z tłoku wielkich miast wyjeżdżają w jeszcze większy tłok tzw. kurortów.

Na ulicach luźno jest wtedy, gdy piękna pogoda wygania naród na plażę. Wtedy tam trzeba uważać, by nie wgnieść w piasek czyjegoś biustu, czyjejś ręki, nogi, nosa — nie potykać się o skwierczące w upale nieskończone rzędy ciał. Trwa wyścig o ciemniejszą opaleniznę. Czekoladowa skóra później, w czasie wieczornych spacerów, jest przedmiotem dumy, lub zawiści. Podziwu godną wytrwałość graniczącą z desperacją wykazują przedstawicielki płci nadobnej. Widać mękę na ich twarzach, wysuszone ciało domaga się choć kropli wody, a one nie — jeszcze o ton pociemnieją, przecież po powrocie do domu trzeba wzbudzić podziw. I efekty, owszem, są: gromady dziewczyn o brązowej, aksamitnej skórze, powabnych, gorących... Szkoda, że czas tak szybko ucieka.

Letni goście, to prawdziwa żyła złota dla przedsiębiorczych handlowców. Kioski, kramiki, stragany, lodziarnie, budki z zapiekankami, hot-dogami, smażalnie, salony gier elektronicznych, lunaparki i dziesiątki innych pokus zaspokajają nieprzepartą potrzebę wydawania pieniędzy przez urlopowiczów, napędzając je właścicielom, bo wymienione punkty handlowe są — oczywiście — prywatne.

Ktoś powiedział, że trzeba mieć z sobą walizkę pieniędzy, bo ceny są, w istocie, horrendalne. Nie przeszkodziło to mówiącemu wydać paru tysięcy na jakąś duperelę. Państwowy handel robi bokami, towaru mało (gdy u prywaciarzy jest wszystko), sklepowe półki i lady zapełnione w ćwierci powierzchni „wystawienniczej". Poza tym w placówkach państwowych bardzo skrupulatnie przestrzega się przerwy obiadowej w handlowaniu i kończy pracę o 17. Prywatni zarabiają bez przerwy, a zamykają swe kramy, bywa — i po 22 — gdy jeszcze są klienci. Nazajutrz, skoro świt, znów zachęcają kolorowymi zagranicznymi i pierwszej świeżości krajowymi towarami, jak w Warszawie, na Polnej.

Powiedziałem miejscowemu notablowi, że powinno się oddać państwowe, zdychające punkty handlowe w ręce prywatne — skoro oni lepiej wiedzą jak wygląda właściwa organizacja pracy i są bardziej przedsiębiorczy, na czym skorzystaliby wszyscy. Spojrzał na mnie jak na heretyka i lekko ochłódł. Jest to dość typowa i — niestety — jedyna reakcja na krytykę. Nie widać bowiem, by cokolwiek robiono dla poprawy sytuacji. Obrażanie się nie załatwia niczego, świadczy jedynie o wierności pryncypiom. Pożytku jednak żadnego nie przynosi.

Niedaleko Łeby, na terenie Słowińskiego Parku Narodowego trwa od 5 tys. lat unikatowe na skalę światową zjawisko: **ruchome wydmy na** mierzejach. Polega ono na tym, że wyrzucany na plażę piasek, osuszany przez słońce i wiatr, wywiewany jest dalej w głąb lądu. Największy obszar wydmowy (ok. 600 ha) jest na Mierzei Łebskiej. Wydmy osiągają wysokość 30 m i przenoszone wiatrem wędrują z szybkością ok. 10 m w ciągu roku. Wszystkie przeszkody po drodze zostają zasypane. Niezwykły to iście widok, ogromna pustynia piaskowa otoczona wodami morza i jeziora. Ludzie gromadnie odwiedzają ten osobliwy zakątek, oddalony 7 km od Łeby. Wśród nich mnóstwo cudzoziemców, głównie Niemców z RFN.

Podjechać na miejsce nie można, bo Park Narodowy, autobus, który może, jest zwykle przeładowany. Pozostaje spacer, całkiem zresztą przyjemny. Tylko: porządna droga betonowa została wybudowana jeszcze przez Niemców i prowadzi do terenów dawnych wyrzutni pocisków V2, gdzie dziś mieści się Instytut Meteorologii. Dalej wiedzie leśny dukt: lepszy, gorszy, jak popadnie. Nie ma po drodze żadnego kiosku z napojami, a w dzień upalny pić się chce każdemu. Gdziekolwiek w świecie okolice takiego miejsca obrosłyby budkami, kioskami i czym tam bądź jeszcze, zarabiając pieniądze na turystach. A pieniądze można by przeznaczyć na utrzymanie Parku i wydm. Ludziom mającym pod opieką wydmy wydaje się, że UNESCO zrobi to za nich. Myślą się jednak — niestety. Może byłby to pomysł?

7. Powitanie dla Pana Mareczka.

W Inowrocławiu wielki napis czerwonym sprayem na murze: „Witamy pana Mareczka". O kogoś innego chodzi, rzecz jasna, ale przyjemnie, co jest niewytłumaczalną bzdurą.

8. Jak jeżdżą Polacy?.

Obserwacja kierowców w czasie jazdy, to temat, kto wie, czy nie pracy naukowej z zakresu socjologii. Polski kierowca nie jedzie, ale walczy, mając w bagażniku powstańczą kosę oprawioną na sztorc. Ponieważ jednak jakość polskich samochodów nie dorasta ambicjom ich właścicieli, skutki są śmieszne, karykaturalne, a często żałosne. Gdy cudzoziemiec prowadzi swój lśniący pojazd na luzie, jednym palcem, oparty łokciem o otwarte okienko, polski kierowca, „uczepiony" jego zderzaka jak ścigacz, wczepia się kurczowo w kierownicę, jakby chciał wycisnąć z niej krew, żyły mu nabrzmiewają na skroniach, czerwony, spocony, stara się dotrzymać mu tempa. Przedostatni i ostatni jęk polskiej myśli technicznej łomocze, gruchocze, rzęzi, gubi części, klekocze, jakby tuż przed agonią — a tamten Niemiec, Szwed czy Holender wciska pedał i bezszelestnie odrywa się od swego „ogona", lekką mgiełką z rury wydechowej machając mu na pożegnanie.

Polski kierowca, z prawie zatartym silnikiem, bliski apopleksji, upatruje sobie inną ofiarę i nie ustaje w walce. Zabawne są potyczki między np. „Syreną" a „Trabantem", gdyby nie potworny hałas, jaki czynią „zawodnicy", a raczej ich auta. Zachodnie, szybkie wozy klaksony mają wyciszone, łagodne, choć donośne. Polscy kierowcy, im mniejszym „sraluchem" powożą, tym klakson bardziej jazgotliwy, przenikliwy, histeryczny. I często, włączają je znienacka, bez powodu, tuż za plecami rowerzysty. A nuż się przewróci, jeśli bardziej nerwowy, to byłoby śmichu! No i ktoś byłby wreszcie pokonany.

Jeżdżą nasi rodacy niebezpiecznie, brawurowo, często po chamsku. Zajeżdżają sobie drogę, wymuszają pierwszeństwo, oślepiają światłami. A lubią przyozdabiać swoje auta (niech już zostanie ta umowna nazwa) różnymi światowo brzmiącymi napisami nalepianymi gdzie się tylko da, jak pewna „Syrenka" z wielkim napisem „turbo" w poprzek maski. Nieopisaną wesołość budzi we mnie zawsze widok kierowcy wyjącej, jadącej nieco tylko szybciej od roweru „Syrenki", opiętego pasami bezpieczeństwa, choć wiem, że obowiązuje taki przepis. Niech się „syreniarze" obrażają, trudno, w ich przypadku jest to przepis komiczny, tak, jak cały ten „samochód".

9. Kto uratuje zabytki Trzebiatowa?

Trzebiatów. Typowe miasteczko z rynkiem, ratuszem i malowniczymi, zabytkowymi kamieniczkami w czworoboku. Niezbędny w tym pejzażu kościół i knajpa z całym kolorytem przed i wewnątrz. Dużo budownictwa pruskiego, hanzeatyckiego, z widocznymi drewnianymi konstrukcjami, wypełnionymi otynkowanym murem z cegły. Jeszcze mury obronne i baszta. Wszystko to, prócz kościoła, w bardzo kiepskim stanie, a mury obronne, wręcz w skandalicznym. Blisko rynku, a jakby zapomniane, niszczeją zasypywane śmieciami. Nawet dzieci nie chcą się na nich bawić. Smród i wstyd dla władz miasta. Jedna wszakże kamieniczka budzi szczególnie emocje światłych mieszkańców miasteczka. Oddajmy jednak głos architektowi, **Tatianie Balcerzak:**

Trzebiatów, miasto bogate w zabytki hanzeatyckiej przeszłości, niemal cudem ocalałe z pożogi ostatniej wojny, teraz jest systematycznie niszczone. Proces ten, świetnie znany w całym kraju, w Trzebiatowie znalazł się w punkcie krytycznym. Tym ważniejsze więc i ciągle możliwe jest ratowanie przyrynkowej, zabytkowej zabudowy zawierającej m.in. obiekt starej apteki. Istniała ona od XVI wieku do roku 1985. Obiekt ten był jedynym na Pomorzu zachowanym przykładem pełnego programu posesji aptekarza z kamienicą mieszkalną i oficynami mieszczącymi zielarnię, magazyny i laboratoria. W roku ubiegłym rozpoczęto roboty budowlane. Podczas prac przygotowawczych, runęły dwie spośród trzech oficyn (!-MK). Prace zostały przerwane i to, co z obiektu zostało, wystawione zostało na dewastacyjne działanie czasu i ludzi, gdyż właściciel — miasto — wycofało się z dalszego finansowania robót.

Ciężkie pieniądze wydaje się na budowanie różnych nowoczesnych szpetot, które stanowią powód do (wątpliwej) dumy tzw. czynników. Zapomina się, lub nie chce pamiętać o pamiątkach historii. Wiekowe zabytki mają tę, wadę, że ich powstanie nie zostało zadekretowane przez dzisiejszą władzę. Ale ochrona takich obiektów, utrzymywanie ich w stanie świetności, czy choćby używalności — to jest rzeczywisty powód do chwały i honorów dla ambitnych decydentów. Polskie osiedla z betonu runą za 50 lat, a Wawel będzie zawsze. Warto o tym pamiętać.

10. Biedronki kontra wczasowicze.

Międzyzdroje, oprócz normalnej w czasie wakacji plagi turystów, zaatakowały biedronki, zwane również bożymi krówkami. Te lubiane przez człowieka, opiewane w dziecięcych wierszykach owady, pojawiły się w ilościach niespotykanych. Czegoś takiego najstarsi rybacy nie pamiętają. Miliardy biedronek zaścielają czerwonym, puszystym kobiercem pobocza szos dojazdowych, fruwają rojami w powietrzu i oblążą człowieka w mgnieniu oka. „Złocista szarańcza", jak ją tu nazwano, szczególnie ulubiła sobie plażę i na trzy dni wyłączyła ją z używalności. Nieliczni śmiałkowie wycofywali się w popłochu, bo — okazało się — te boże stworzonka dość boleśnie potrafią kąsać, nie wspominając o tym, że pożerają się wzajemnie. Widok otrzepujących się z biedronek przechodniów byłby dość zabawny, gdyby samemu nie trzeba było tego robić.

Plagi nie można zniszczyć chemicznie, bo owad ten jest w Polsce prawnie chroniony, a i skutki uboczne byłyby zbyt niebezpieczne. Trzeba przeczekać, lub uciec. Kilka kilometrów za **Międzyzdrojami** nie ma już śladu po biedronkach, ale ostatnią wydłubałem z chleba w **Stargardzie Szczecińskim.**

11. Kazania najlepiej się słucha w niedzielę rankiem w... knajpie.

Nowy Tomyśl. Niedziela. Knajpa „Słoneczna" otwarta od 8 rano, ale piwo podaje się od 10. O 9.30 sala pełna jest skacowanych, wysuszonych amatorów „klina". Dwa głośniki na full transmitują niedzielną mszę z radia. Skurczeni w sobie, przestraszeni faceci słuchają kazania o zdrowiu fizycznym i moralnym, o regenerowaniu sił, o słońcu, o mocy płynącej z modlitwy. Sala słucha w całkowitej ciszy. Czyżby była to zemsta bufetowej za sobotnie ekscesy? Pokuta przez obowiązkowe wysłuchanie mszy?

Podobnej, choć przecież nieporównywalnej sytuacji byłem kiedyś świadkiem na oddziale zamkniętym szpitala psychiatrycznego w Łodzi. Tam mszy słuchali siedząc w dwóch rzędach krzeseł menelicy, ludzie z pełną demencją, prawdopodobnie niewiele rozumiejący, lecz przyduszeni do krzeseł mocą wielowatowego wzmacniacza. Wydaje się, że słowo głoszone przez duchownego w takich właśnie miejscach nabiera właściwego sensu, treści, zderza się z prawdziwym życiem, cierpieniem, nieszczęściem. Nie w zimnym, zbyt uroczystym kościele, miejscem — dla wielu — zaprezentowania najmodniejszych i drogich ciuchów, którzy idą na mszę bardziej „bo wypada", niż z rzeczywistej potrzeby ducha.

29 lipca 1989 r.

MAREK KOPROWSKI

PS. Ciąg dalszy zapowiada się!

Maryśka! Nie wygłupiaj się!

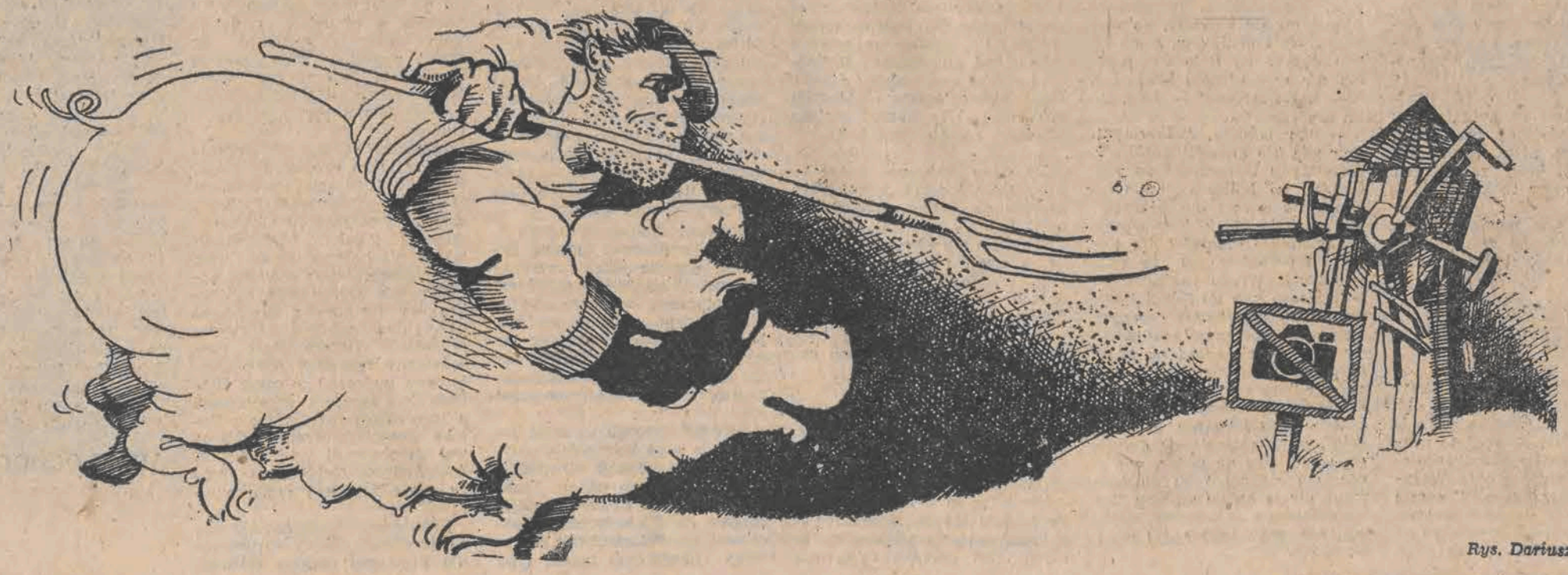

Rys. Dariusz Romanowicz

Nad Morzem Czarnym i z powrotem do kraju przez Bułgarię, Rumunię i ZSRR (2)

Zmieniła się Bułgaria

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Do Złotych Piasków pozostało mi już niecałe 100 kilometrów, więc nawet niesympatyczny celnik bułgarski nie jest mi w stanie zepsuć humoru. W Durankulak jestem jedynym Polakiem, jeśli nie liczyć kilku sprawdzanych precyzyjnie przez Rumunów 200 metrów wcześniej. Nie wiem więc przed kim się „popisuje", rzucając w moją stronę klasyczne „czakaj małko", po czym siedzi za szybą i ostentacyjnie dłubie w zębach.

Tu pierwsza uwaga wjeżdżając do Bułgarii musisz się Drogi Turysto przestawić na

bałkański styl życia

ospały, leniwy, taki „senno-ciężcy", jak określił to trafnie jeden z naszych biznesmenów. To prawda. Bułgar nigdy nie biegnie — on idzie, a nawet się wlecze; kelnerce się oczy zamykają gdy przyjmuje zamówienie, a i tak przyniesie co innego, a spróbuj w czasie sjesty, czyli gdzieś między godziną 12 a 16 namówić kogoś do roboty.

Godziny otwarcia wielu sklepów (może z wyjątkiem spożywczych) to fikcja. Zamiast turystę przyciągać, wiele punktów z napojami, pamiątkami, drobnymi zakąskami wprost odpycha gości nonszalanckim, niedbałym, wręcz aroganckim zachowaniem sprzedawców. Obserwowałem kiedyś z przerażeniem pracę personelu w „Corecomie" (bułgarski „Pewex) w Złotych Piaskach. Przecież powinna to być kopalnia waluty! Środek lata, w sklepie sporo Niemców, Szwedów, jakiś Anglik. Cóż z tego! Wyfiokowane dziewczyny są opryskliwe, wrzeszczą na przerażonych Niemców w swym narzeczu (po niemiecku czy angielsku nikt nie zna ani słowa...), gadają między sobą całe kwadranse kompletnie ignorując ludzi, potrafią zatrzasnąć drzwi przed nosem klienta i z sobie tylko wiadomych powodów go nie wpuścić... Na moich oczach nobliwa Niemka, nie tając oburzenia, podarła rachunek na ponad 30 dolarów i opuściła sklep „Corecomu". Dlaczego? Czekała przed okienkiem kasowym chyba z pół godziny, panienki obradowały zaś na zapleczu...

Lekceważenie turysty

— tak można by te sceny podsumować najłagodniej. Ale jak określić fakt, iż w kasie nie ma „drobnych" fenigów czy centów, aby wydać ci resztę?! Bułgarzy opanowali więc nie spotykany nigdzie chyba na świecie „patent": zaokrąglają sumy, a na otarcie łez rzucają kilka paczek papierosów. Takie 3,20 dolara to zawsze jest 4 i paczuszka gumy do żucia. Niewiarygodne, ale prawdziwe...

Jeśli przewyciężysz w sobie gorycz, iż zawsze jesteś intruzem, ale łagodnie postraszysz „narodną militią" — być może zaliczysz ten urlop do udanych. Jeśli kobitka na stacji benzynowej w Złotych Piaskach weźmie talony na 40 litrów, wleje 32 i nie chce oddać reszty ani w talonach ani w gotówce (fakt!), to nie trzeba zaraz przystawiać jej do gardła noża typu „finka" ani puszczać z dymem stacji. Inna sprawa — nie ma też sensu przekonywać dziewczęcia, dlaczego w USA w usługach zatrudnionych jest 30 procent wszystkich pracowników, a w niektórych krajach Europy jeszcze więcej. Nie zrozumie. Po prostu zostawiamy samochód pod dystrybutorem, skutecznie blokując dojazd innym, i w pięć minut przybiegną inni kierowcy, w tym większość Bułgarów i murowane naskoczą na „pompiarę" by oddała ci pieniądze...

Zmienia się Bułgaria w ostatnich latach bardzo

Niestety, na niekorzyść. Jeśli wybierasz się tam Drogi Czytelniku po kilkuletniej przerwie, będziesz rozczarowany: jakby ciaśniej, drożej, nerwowo i mniej sympatycznie też. Namnożyło się wręcz gangów handlarzy walutą dwojga narodowości, którzy z propozycjami kupna bądź sprzedaży włażą ci wręcz na plażowy koc. Czasem wynikają przy okazji niejako zabawne sytuacje: oto na pięknej plazy Słonecznego Brzegu cwaniak w obowiązkowych czarnych okularach podpytuje nas skąd jesteśmy. W ramach konwersacji sugerujemy po angielsku by zgadywał. Zabawa jest wspaniała, po paru minutach facetowi skończyła się Europa. Zdradzamy naszą narodowość. Facet natychmiast proponuje łamaną polszczyzną marki zachodnie po siedem lewów. Odpalam, że sprzedam mu parę złotych po sześć lewów. Przenosi się na sąsiedni kor...

Nasi też szaleją

W Drużbie młodzieniec z „malucha" na krakowskiej rejestracji zastosował wręcz nowatorską metodę: auto z podniesioną maską i włączonymi awaryjnymi światłami ustawił na skrzyżowaniu, podbiega do każdego wozu z ojczystą rejestracją i dopytuje się, czy nie potrzeba marek lub funtów...

W tejże samej Drużbie życie zmusiło mnie do wykonania innego nieco, ale też klasycznie polskiego numeru. Gwoli wstępu zaznaczyć trzeba bowiem, że w Bułgarii zaczyna brakować alkoholu...

Stoją co prawda na sklepowych półkach miętówki, cienkie wina, bułgarskie pseudo-szampany, ale nie ma rakiji „grozdowej"!

Nie ma koniaków (ponoć Polacy wykupują wszystko...). Nie ma dobrych jakościowo win ani radzieckich czy innych wódek (też na naszych zwalają...). No i nie ma rakiji. Gdy zbliżały się imieniny u zaprzyjaźnionych rodaków, a zapasów alkoholowych nie było żadnych, przeprowadziłem krótką rozmowę z kierownikiem sklepu w Drużbie właśnie, no i pół godziny po zamknięciu obiektu wypuszczony zostałem z zaplecza z pudłem po wafelkach (dla niepoznaki), w którym pobrzękiwały smętnie trzy „grozdowe". Jeszcze musiałem lekko przepłacić, dając po pięć lewów za butelkę, gdy normalnie stoi bodaj cztery dwadzieścia.

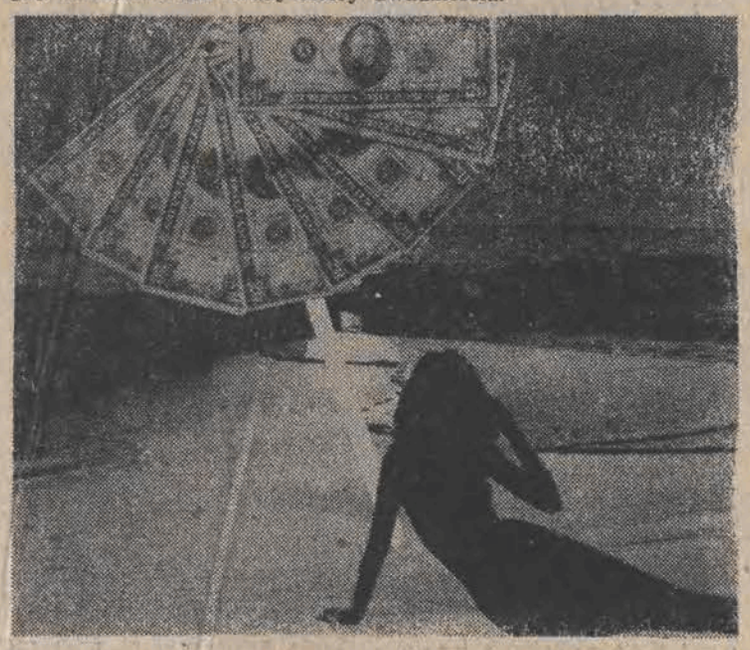

Collage: Grzegorz Gałasiński

Zniknęły definitywnie wspaniałe, orzeźwiające „szwepsy", gazowane napoje produkowane na licencji w kilku smakach, sprzedawane w różnej wielkości butelkach. Skończył się koncentrat, a konkretnie „normalne" nań pieniążki. Pozostała woda mineralna i jakieś mdło-słodkie napoje.

Piwa jeszcze są, w kilku odmianach, na ogół niezłe, ale — droższe niż przed rokiem. Zmieniły się tylko nieco nalepki na butelkach, przybyło jakichś złotych medali, gdzieś tam niby zdobytych — i cena lekko w górę poszła.

Inny przykład. W sezonowej knajpce pod gołym niebem w Słonecznym Brzegu, za kawałek kurczaka z grilla, dwa małe kotlety z frytkami, dwa piwa i dwa napoje — zapłaciłem, lekko przerażony, ponad 18 lewów. Dwa, trzy lata temu za te pieniądze w dobrej restauracji zjadały rzetelny obiad cztery osoby...

Pozostały głównie słońce i ciepłe morze.

W bezpośredniej bliskości portowej Warny, ale także w Złotych Piaskach były dni, kiedy na przybrzeżnej fali kołysała się jakaś niecickawa, żółta substancja upstrzona zdechłymi krabami i meduzami. Miejscowi, mimo lejącego się z nieba żaru, mimo parzącego stopy piachu — nie ryzykowali pchając się wyłącznie pod plażowe prysznice.

Szanowne Czytelniczki uprzedzam lojalnie, że atakując sklepy branży odzieżowo-obuwniczej stracą tylko czas i niepotrzebnie się zdenerwują. Tam naprawdę nic ciekawego już nie uświadczysz, skończyły się dawno dostawy atrakcyjnych wyrobów z importu, nie można liczyć na kulturalną obsługę, a upał okropny. Może więc lepiej iść na lody...?

Tylko sympatyczny Iwan zapewniał bieżące dostawy „damaszniej" rakiji, która znakomicie smakowała wieczorem na plaży do świeżo na blasze upieczonych muli, czyli łowionych w ciągu dnia małży. Błogie lenistwo na rozgrzanym piachu musiało się jednak kiedyś skończyć, czas wracać do domu. Niecałe 2 tysiące kilometrów — to niby żadna odległość, ale wkalkulowane w całą zabawę „przejścia na przejściach" skutecznie psują sympatyczną wizję szybkiego przejazdu.

W drodze powrotnej

Po małej sesyjii udaje mi się kupić paliwo i już spokojnie pędzę w kierunku przejścia w Durankulak. 60 litrów, czyli zbiornik auta plus kanister wystarczą w zupełności by przeskoczyć Rumunię bez realizacji idiotycznego voucheru paliwowego, a zainwestowane pieniądze (jest obowiązkowy!) odzyskam w kraju. W Durankulak, po bułgarskiej stronie, typowo i spokojnie. Celnik, ziewając (nic dziwnego, było około godziny 13) zajrzał niechętnie do bagażnika i wskazał na rumuński szlaban. Rumuni — też sympatyczni, jeden ze źle skrywanym uznaniem w głosie wspomniał m.in. wygrane przez „Solidarność" wybory.

— *A u nas, widzisz sam...* — zakończył bezradnym rozłożeniem rąk.

— Może uruchomimy filię w Bukareszcie i Constancy? — rzuciłem zza kierownicy.

Ze śmiechu klepał się po kolanach.

A my wypróbowaną metodą — szybciutko wzdłuż kurortów nadmorskich i nocleg w znanym Ovidju. Rano — wcześnie, bo spory szmat drogi — przez Ciucurovą, Horię, Macin do Braili (przeprawa promowa tym razem w nienagannym porządku, choć od natarczywych propozycji handlowych opędzić się nie można). Z Braili na Tecuci. 20 kilometrów za tą miejscowością przeżywam chwile grozy: „mostul na Siretul remontul" i albo poczekam parę godzin (ciekawostka, w remoncie, ale co jakiś czas puszczają samochody), albo — objazd. Ryzykuję i prawie trzydzieści kilometrów objeżdżam przez jakieś zabite dechami Buciumeni, Homorea, Lespezi. Ale chociaż nie ma tych żebrzących ekip przy drodze...

Zmordowani upałem, kurzem, ciągłymi dyskusjami z handlarzami dyżurującymi pod szlabanami, na skrzyżowaniach i innych miejscach, gdzie musisz zwolnić nieco — wczesnym wieczorem meldujemy się na przejściu w Siret — Porubnoje. Sama odprawa — bez problemów, sympatyczny celnik o imieniu Rościsław głównie chciał oglądać opaleniznę żony, a nie bagaże, pożartowaliśmy nieco, żegnając się wręcz jak starzy znajomi. Idę jeszcze tylko odebrać pozostawione w depozycie ruble. W jednej kasie — nie, bo tylko cło, w drugiej — też nie, bo coś tam znowu, okazuje się, że tylko celnik wydaje gotówkę.

Patrzę, siedzi jeden taki w zamkniętym zresztą dla innych gości baraku, popija wodę i umizga się do dziewczęcia, też w mundurze. Podchodzę, przepraszam i nieśmiało sugeruję, by mi oddał „moje" ruble. A on, szutnik, zaczyna się popisywać przed panienką, odsyła mnie gdzieś po piętrach, do jakiegoś Koli, którego chyba nie ma i tak dalej. A zaśmiewają się oboje... Zagotowało mi się lekko w środku, jakieś czerwone plamy zaczęły przed oczami latać. Walnąłem o stół legitymacją prasową, wygłosiłem też głośny dość monolog o pieriestrojce, Gorbaczowie, tutejszej „tamożni", stylu ich pracy i jeszcze parę rzeczy... Musiałem chyba krzyczeć, bo w rozległym hallu wszyscy tylko na nas patrzyli...

Tamożnik pokraśniał (koleżanka zniknęła niczym upiór), grzecznie poprosił o paszport, błyskawicznie wypełnił jakiś papierek, odliczył kilkadziesiąt rubli i nawet bąknął „izwinitie"...

Potem było już bez niespodzianek. Pod obstawą radzieckich przyjaciół wjechałem bez przeszkód do Czerniowiec, a następnego dnia, wyspany, po dobrym śniadaniu, zatankowanym „po dach" samochodem udałem się swoją ulubioną trasą, czyli przez Kołomyję i Iwano-Frankowsk w kierunku Lwowa. Pewnym rozrywkowym akcentem był tylko prawie filmowy pościg za nami w wykonaniu tajemniczej czarnej „Wołgi". Ja śpieszyłem się do domu, więc gdzie było można z licznika 120 nie schodziło. Kierowca „Wołgi" dopadł mnie wreszcie w jakiejś „dieriewni" i dopiero wówczas zobaczyłem na jego niebieskiej bluzie szerokie, charakterystyczne epolety. Rozjuszony wyskoczył do mnie — jak się okazało — sam szef GAI całej iwanofrankowskiej „obłasti"!

Spokojnie mignąłem mu przed oczami przepustką na parking z domu dziennikarzy w Złotych Piaskach tłumacząc z uśmiechem, że to *„mieżdunarodnyj propusk żurnalisty na cieluju Jewropu..."* i nigdzie wcześniej nie miałem najmniejszych kłopotów z przejazdem. Lekko stonował, mówiąc, że nie ma nic do mojej „marszruty", ale on mnie prosi, choć ja *„charoszij rukawaditiel"*, abym zmniejszył nieco *„skorost"*. Przyrzekłem, pożegnaliśmy się jak dobrzy znajomi.

Jeszcze tylko objazd Lwowa zatłoczoną, rozpływającą się w słońcu (dosłownie) obwodnicą, jeszcze jedno tankowanie (znów przydały się prezerwatywy!) i — wyścig do przejścia granicznego w Szegini — Medyce, by zająć jak najlepszą pozycję. I cóż z tego, że wyprzedziłem ponad czterdziestu rodaków; o godzinie 20 naszego czasu stanąłem w kolejce jako dokładnie 284...

A w przyszłym roku pojadę na Mazury...

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Mknie wesoły pociąg...

ANNA KAMIEŃSKA

Śmieszne

Jak to jest być człowiekiem
spytał ptak

Sama nie wiem
być więźniem swojej skóry
a sięgać nieskończoności
być jeńcem drobiny czasu
a dotykać wieczności
być beznadziejnie niepewnym
i szaleńcem nadziei
być igłą szronu
i garścią upału
wdychać powietrze
dusić się bez słowa
płonąć
i gniazdo mieć z popiołu
jeść chleb
lecz głodem się nasycać
umierać bez miłości
a kochać przez śmierć

To śmieszne odrzekł ptak
wzlatując w przestrzeń lekko

Pytanie

I nic z tego już się nie powtórzy
pamiętaj nic, nic, odrywaj się jak ptak
i niech ziemia jak gałąź za tobą się chwieje
nic nie stanie w blasku powtórzonych źrenic
żadna godzina jak wół nie ukęknie
i tam gdzie idziesz nie ma już słabości
pod gradem pocałunków tych dziwnych chmur
żadne usta nie wypowiedzą słowa zrozumienia
pochłonie nas pytanie otwierające się jak noc
a iluż z nas nie zazna ochłody odpowiedzi

Na kolanach

Z oczu odłupał się błękit
z języka starła się słodycz
z palców zdarła się czułość
suche usta słów
nie szukają pocałunku rymów
studnia jest zatruta
woda martwa
samotność pusta
a jednak ktoś tam we mnie
niezmordowanie klęczy na kolanach

Którzy dźwigają

Którzy dźwigają fortepiany
na dziesiąte piętro szafy i trumny
staruszek co z wiązką drewna kuśtyka za
horyzont

kobieta z garbem pokrzyw
wariatka pchająca wózek dziecinny
pełen butelek po wódce
oni wszyscy są uniesieni
jak piórko mewy jak liść suchy
jak skorupka od jajka strzęp ulicznej gazety

Błogosławieni dźwigający
bo oni będą podniesieni

(Wiersze pochodzą z ostatniego tomu poezji ANNY KAMIEŃSKIEJ, pt. „DWIE CIEMNOŚCI I WIERSZE OSTATNIE", wydanego przez wydawnictwo „W drodze" w Poznaniu, 1989 r.)

Odchodzenie od stolika

Ostatni tomik poezji **Włodzimierza Słobodnika**, wydany nakładem „Iskier", nosi tytuł **„Eleonora"** i jest poświęcony pamięci żony poety. Zbiór kilkudziesięciu wierszy zamykają dwa wspomnieniowe teksty **Eleonory Słobodnikowej: „Fragment pamiętnika"** z 1982 r. i **„Odchodzenie od stolika"**. W tym drugim wraca autorka pamięcią do spotkań (od 1958 r. — kiedy to Słobodnikowie zamieszkali w Warszawie) grupki ocalałych w wojnie byłych kwadrygantów. Pisze jak przy stoliku w kawiarni ZLP, gdzie zbierali się w każdą sobotę, robiło się z upływem lat coraz puściej „... w 1968 r. zmarła Sabina Sebyłowa (...) i stolik z jej odejściem zupełnie opustoszał."

W związku z tym przypomniał mi się inny stolik — w jadalni Domu Pracy Twórczej w Oborach pod Warszawą. Późnym latem 1985 r. siadało przy nim na pogawędki pięć osób: **Eleonora i Włodzimierz Słobodnikowie, Andrzej Szalawski i ja z mężem, Janem Czarnym.** Przy herbacie i poobiednim deserze spędzaliśmy czas na wspomnieniach, żartach, przekomarzaniach, opowiadaniu anegdot i dowcipów. Pierwszy odszedł od stolika Szalawski, którego w ciężkim stanie zabrało do szpitala pogotowie. Pamiętam, że była to słoneczna wrześniowa niedziela. Wszystkimi wstrząsnęło to zdarzenie, zwłaszcza że, gdy Szalawski leżał nieprzytomny w jadalni na rozstawionych krzesłach — nagle, złamała się i runęła z hukiem stara lipa w otaczającym pałac oborskim parku... Jednak na zawsze odszedł pierwszy — już w dwa miesiące później — mój mąż Szalawski, po wyjściu ze szpitala napisał wtedy do mnie (używając metafory, którą wcześniej podszepnęła natura): „Czuję się jak drzewo, z którego znowu odpadła wielka gałąź". Niedługo potem odszedł i on sam, i Eleonora Słobodnikowa... „Stolik" prawie opustoszał.

I dziś, gdy trzymam w ręku książkę poety, wspomnienia odżywają. Jeszcze widzę Słobodników na pałacowym podjeździe wracających ze spaceru. Jeszcze słyszę głos Loni, kiedy mówi do mnie: „Spróbuj! My z Włodkiem robimy to od lat" — rzuca mi pod nogi białe kulki śnieguliczki i śmieje się, gdy pod moimi stopami pękają z trzaskiem.

W swoich Dziennikach Gombrowicz napisał, że utwór całkowicie przejęty śmiercią nie może być autentyczny. Nie obawa przed śmiercią — jego zdaniem — jest problemem, ale starzenie się, które powoduje, że człowiek czuje się „odcięty od piękności". Zgadzam się z tym zdaniem. Ale są przecież przypadki, gdy utwory przesiąknięte śmiercią są równocześnie autentyczne. Tak, myślę, jest właśnie z wierszami Słobodnika. Śmierć nie jest tu już bowiem tym, czego poeta się lęka, czymś, co czai się i zagraża. Ona „zadomowiła się" w nim, wśliznęła się w jego myśli i uczucia — kieruje jego życiem, jego spojrzeniami, gestami, snem. Przez nią patrzy poeta na świat, na przedmioty, rośliny, zdarzenia. I może właśnie dlatego, że zniknął strach przed śmiercią, wiersze te wyrażają prawdziwe uczucia. Umarła żona jest stale obecna w najdrobniejszych przedmiotach: maszynce do golenia, komodzie, stole, krześle, jej bluzkach, pantoflach. Objawia się też w tym, co piękne i wieczne — jest światłem, różą, muzyką. Bardzo szczególne wydaje mi się w tych wierszach połączenie prościutkiej formy i języka codzienności z retoryką. Codzienność, którą dzieli? poeta z umarłą, zostaje powołana na świadka jego zagubienia i bezradności. Wiersze są bardziej rozmową niż monologiem, bowiem „tamta strona" wydaje się realniejsza, „po tamtej stronie" jest ta, która była sensem życia. Jednak okazuje się, że na tym etapie „rozmowy z żoną" codzienność nie wystarcza — trzeba odwołać się do obrazów i pojęć tradycyjnych, powtarzających się w poezji od wieków, wspólnych zmarłym i żywym. Loci communes — oto słowa, do których sprowadza się język tej „rozmowy — komunikowania się dusz": Nie ma Cię,/ ale jest światło,/ które jest Tobą./ Nie ma Cię/ ale jest róża,/ która jest Tobą./ Choć nie ma Cię,/ jesteś. To „porozumienie" sprawia też, że autentyczność (opozycje: ja — ty, światło — mrok, żywe — martwe) ulega złagodzeniu. Przeciwieństwa stapiają się w jedno. Umarła żona istnieje i nie istnieje równocześnie. Żyje we wszystkim, jest wszędzie, to znaczy — nigdzie. Jest, bo żyje we wspomnieniach poety. Nie jest — bo życie osamotnionego starego człowieka jest bez niej bezsensowne: „Bez Ciebie i mnie nie ma".

Kilka miesięcy temu, w czasie rozmowy telefonicznej, Włodzimierz Słobodnik przypomniał mi, że we wrześniu kończy 87 lat. Powiedziałam wtedy kurtuazyjnie: Piękny wiek! Odparł żartobliwie, ale nie bez smutku: Znam piękniejsze — czterdzieści, pięćdziesiąt...

LUCYNA SKOMPSKA

W. Słobodnik, „Eleonora", W-wa 1988.

Książka nieobojętna

Nakładem Młodzieżowej Agencji Wydawniczej ukazała się książka **Adama A. Zycha** (znanego czytelnikom „Odgłosów" poety i tłumacza) pt. **„Być sobą nawet przeciw sobie"**. — Szkice o młodzieży współczesnej, jak określa swoją pracę sam autor. „Jest to cykl esejów czy też szkiców naukowych o charakterze popularno-dydaktycznym, z których każdy stanowi zamkniętą tematycznie całość, związaną jednak z pozostałymi rozdziałami.

Krąg tematów, które omawiam — pisze Adam A. Zych — jest w miarę różnorodny: od zagadnień miejsca i roli młodzieży w społeczeństwie, przez próby rozpoznawania stanu świadomości młodego pokolenia (jego orientacji, a może dezorientacji w sferze wartości i spraw światopoglądowych) i charakterystykę problemów patologii życia społecznego ludzi młodych oraz zagadnień wyboru stylu życia i przystosowania, do kwestii natury psychologicznej (wewnętrzne mechanizmy regulacyjne, w postaci sprawiedliwości wewnętrznej i samoświadomości, oraz proponowany typ osobowości), a nawet filozoficznej (refleksja nad sensem i kształtem życia).

Można by z tego wnosić, że jest to praca adresowana do ludzi nauki, zajmujących się problematyką młodzieży. Książka Adama A. Zycha tymczasem adresowana jest — ze swoimi treściami i przystępnością ich przekazywania — zarówno do samej młodzieży, jak i rodziców, wychowawców, ukazując, podkreślam: w formie przystępnej stan wiedzy o młodym pokoleniu przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, stawiając przed czytelnikami niezwykle istotne pytania odnoszące się do „niepokojów, rozterek i wahań między pewnością a niepewnością".

Swoje rozważania, osadzone na rzetelnej wiedzy, autor ilustruje nadto rezultatami badań empirycznych a także przykładami wybranych sytuacji, wypowiedziami samej młodzieży poszukując na tej podstawie głębszych uogólnień i powszechnych prawd o współczesnej generacji ludzi młodych. Już sam zestaw tytułów poszczególnych szkiców jest wielce wymowny: „Za naszych czasów młodzież była inna" „Bogactwo to mądrość". „Nic bez zmian". „Równo, ale czy sprawiedliwie?", „Młodzi w świecie wartości", „Światopoglądy" „Czy i jak żyć?" „Rzeczywistość i fasady". „Zabijanie rozwoju — zabijaniem siebie". „Do diabła z kulturą!?" czy też „Być sobą nawet przeciw sobie" Są też zawarte w książce dwie interesujące tabele ilustrujące wyniki badań nad typami postaw światopoglądowych młodzieży szkolnej i wojskowej (1960—1983) oraz wyniki badań nad typami postaw światopoglądowych młodzieży akademickiej i wojskowej (1958—1985).

Słowem jest to książka głęboko mądra. Powinna zainteresować wszystkich, którym nieobcy jest nie tylko stan wiedzy o młodzieży lecz i jej przyszłość.

MAREK BRUK

PESTKI DYNI

Podczas Długiego Weekendu przyszedł mi do głowy pomysł. Dlaczego by nie ogłosić Jeszcze Dłuższego Weekendu — aż do Lepszych Czasów? Może w trakcie jego trwania umrą śmiercią naturalną kryzys inflacja, narkomania, prostytucja, rozbój i grabież w biały dzień i w nocy, złodziejstwo, biurokracja, pederastia, pijaństwo, łapówkarstwo, łupiestwo, piłka nożna, źli piekarze, źli mleczarze, źli sędziowie, źli wodzowie, źli planiści, humanitarni sadyści, przeciwnicy legalnych skrobanek, i wszystko inne parszywstwo i doskwierające świństwo, a Cesarz Zulusów zadecyduje nareszcie kto ma u nas rządzić (może będziemy mieli na przykład czarnego premiera i żółtego prezydenta ?!).

Jakież to byłoby wspaniałe! Powracamy z tego Baaaaaaaaardzo Długiego Weekendu i mamy wszystko z głowy: zalewamy oto kraj nasz czystą wodą, mlekiem, miodem, komputerami, robotami i samochodami pędzącymi, a złotówka bije dolara na taaaaki wielki łeb, że to się w pale nie mieści. Proponuję przeforsować to w Senacie, choć może lepsze byłoby referendum, bo Senat by gadał, gadał, gadał, a trawa wydaje się być pilna. Póki co, wracajmy do strajków.

Kilka słów w sprawie serów, tej śmierdzącej poezji podniebienia. Otóż we Francji powstało pierwsze w świecie muzeum serów, produkowanych wszak tam w tylu gatunkach, że sami Francuzi nie potrafią się ich doliczyć. I znowu Żabojady wyszły na swoje. Nie dosyć, że mieli rewolucję, którą lubią do ej pory, po 200 latach, to jeszcze mają w bód na przykład... serów.

Jeszcze raz potwierdza się nasza polska teoria, że czy się stoi, czy się leży, czy się tyra jak kto głupi — i tak ciek na swoje nie wyjdzie. Gdzieś znalazłem taką ponurą statystykę: pewien profesor uniwersytetu w Harwardzie przeanalizował życiorysy tysiąca autorów wielkich i średnich wynalazków. Spośród nich tylko jeden zrobił wielki majątek, trzech żyło w dostatku zapewnionym im przez spółki i twarzystwa, które wykorzystały ich wynalazki, następnych dwóch dobrze sprzedało swój patent, 39 sprzedało go za niewielkie sumy, 47 zupełnie ogobcono z korzyści 116 popadło w ruinę wydając wszystko co posiadali na realizację swoich pomysłów, a 792 umarło w nędzy często popadając w szaleństwo. Faktycznie nie warto się wysilać.

Jak już jesteśmy przy naukowcach, dowiedziałem się niedawno, dlaczego nie ma Nagrody Nobla w matematyce. Otóż Nobel uderzał w konkury do pewnej panny do które smalił również cholewki pewien znany matematyk (nazwiska nie zapamiętałem)

Ustanawiając nagrodę, Nobel zasięgnął dokładnych informacji u fachowców, czy by ów konkurent nie miałby czasem szansy na laury i pieniądze. Powiedziano mu, że tak, że oczywiście i to w pierwszym rzędzie. No i nie ma Nobla dla matematyków. Wcale się Noblowi nie dziwię. Ja też matematyków nie lubiłem nigdy i nie lubię nadal.

ANDRZEJ GRUN

P.S. Profesor psychologii na California State University w Long Beach **Robert E. Thayer** zaleca krótkie, dziesięciominutowe spacery jako znakomity sposób regeneracji psychicznej i fizycznej.

„Za sprawą krótkich, szybkich spacerów różne problemy osobiste mogą się wydać mniej ważne; spacery takie mogą też powodować wzrost optymizmu. Przeprowadzone eksperymenty wykazały, że oznaki poprawy były początkowo nieznaczne, ale po trzech tygodniach różnica była oczywista" — pisze profesor Thayer.

I ja jestem za spacerami. Panie profesorze i mój pies też: on zresztą jest badaczem i propagatorem teorii spacerów długich. Jeno że gdybyśmy — ja i mój pies — zaprosili Pana i Pańskich studentów, z którymi Pan eksperymentuje do kilku łódzkich parków i skwerów i na kilka łódzkich ulic, gdzie przychodzi nam spacerować — to by Pan nam zakazał tych spacerów raz na zawsze.

A. G.

Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

D. OLBRYCHSKI O SOBIE I INNYCH

— Francuscy aktorzy, którzy grali ze mną w **„Przeminęło z wiatrem"** na Champs Elyssee, nie zazdrościli mi, że ja zarabiam więcej od nich. Byłoby to najzwyczajniej nielogiczne — wiedzieli, gdzie występują, kto gra „lokomotywę", i mogli mieć nadzieję, że zostaną dostrzeżeni. Niektórzy z nich w tej chwili grają już główne role — mówi **Daniel Olbrychski** w tygodniku **„Wprost"**. Na pytanie: czy chciałby zasiąść w ławie poselskiej, odpowiedział: — nie chciałbym być posłem, bo mam zupełnie inne sprawy na głowie. Jednak mimo wszystko życzyłbym sobie, żeby ci, którzy już się tam znaleźli, czuli się odpowiedzialni za to, co robią. Obojętnie czy to będzie mój kolega, czy jakiś członek partii... Ja nie bardzo wiem, co to znaczy profesjonalny polityk. Skoro **Jerzy Urban** uważa się za profesjonalnego polityka, i pewnie nim jest, to dlaczego nie nazwać fachowcem **Andrzeja Łapickiego?** Urban odgrażał się przed ogłoszeniem wyborów, że wygra z Łapickim... Okazało się, że Łapicki wygrał nie w stosunku 7:1, jak przypuszczano, ale w niektórych okręgach stosunkiem głosów 12:1... Niedawno czytałem list Jerzego Urbana do byłego sekretarza partii, **Stanisława Kani** i muszę przyznać, że Urban był wówczas bezkonkurencyjny w swej dziedzinie. Jako autor polityki propagandy PZPR nie miał sobie równych, ale nie zmienia to faktu, że później popełnił wiele błędów. Zmieniły się czasy, a Urban — nie. Taka jest dola polityka. Trzeba umieć przyznać się do przegranej... A poza tym ci, którzy zasiadają w parlamencie, niezbyt już interesują się swym fachem aktorskim. Oni w ostatnich latach udowodnili, że bardzo dobrze znają się — nie powiem: na polityce, ale — na odczuciach społecznych... — stwierdził i na koniec uczynił uwagę: — ...jeśli chcemy być prawdziwymi Europejczykami, musimy pamiętać, że do Europy nie wchodzi się kuchennymi drzwiami, bo takich po prostu nie ma...

PO 18 LATACH

Po tylu latach nieobecności zawitała do kraju (najpierw z delegacją prezydenta Francji **Francois Mitterranda**, potem by wziąć udział w obchodach 200-lecia Rewolucji Francuskiej!), wybitna aktorka i piosenkarka — **Anna Prucnal**, dając piękny recital na dziedzińcu Zamku Królewskiego. Od chwili wystąpienia (1974 r.) w filmie „Sweet Movie", opowiadającym m.in. o wydarzeniach katyńskich, artystka długo znajdowała się na cenzorskim indeksie, a jej nazwisko zniknęło ze społecznego obiegu w Polsce, choć odnosiła w tym czasie liczne sukcesy filmowe i teatralne. O tych — nieprawdopodobnych już dzisiaj — praktykach najwymowniej świadczyło to, że przez jakiś czas nie tylko że nie pozwolono jej przyjechać na pogrzeb matki, lecz nie chciano nawet zakupić słynnego filmu **Felliniego — „Miasta kobiet"**, w którym Anna Prucnal występowała...

KCIUK FREDRY

Cóż począłby **hr Fredro** gdyby przyszło mu żyć w naszych czasach? Czyż zdobyłby się na komediopisarstwo poznawszy los swoich szczątków w sto lat po pochówku?

Pochowany został w 1876 r. w kościele w Rudkach, niewielkiej miejscowości położonej ok. 30 km od Lwowa. Został tam pochowany wbrew jego woli: autor **„Zemsty"** — jak pisze **„Wprost"** — chciał spoczywać na cmentarzu lwowskim. Świątynia w Rudkach przechodziła różne koleje losu. Gdy na początku lat 70. dotarł tam **prof. Bogdan Zakrzewski**, w kościele mieścił się magazyn artykułów spożywczych, a w kaplicy fredrowskiej usytuowano dział monopolowy. Z grobowca zniknęły metalowe trumny zabrane na złom, zmumifikowane ciała Fredry i jego rodziny leżały odkryte. Od magazyniera profesor otrzymał... kciuk Fredry. Przewiózł go do Wrocławia, gdzie w kościele św. Maurycego symbolicznie go pochowano. W końcu ub.r. minister kultury i sztuki powołał komisję, która ma dzierżyć pieczę nad grobami Fredrów w Rudkach. Kieruje nią prof. B. Zakrzewski.

O ACHMATOWEJ

„Tygodnik Kulturalny" zamieścił rozmowę z **Eugenią Siemaszkiewicz**, tłumaczką **„Zapisków o Annie Achmatowej" Lidii Czukowskiej.** Oto fragmenty: — Czu-

Znamieniem naszych czasów jest, jak sądzę, pomieszanie pojęć, gra pozorów. Wychowaniem nazywamy to, co jest jego zaprzeczeniem, kulturą — klasyczne chamstwo, miłością nazywamy to, co jest jej upodleniem, pracą — co pozorem pracy, walką z inflacją to, co nakręca inflację. Młodzieżą określamy zarówno małolatów jak i łysych dżentelmentów z brzuszkiem, mogących (wedle wieku) być już dziadkami, którzy — nie doczekawszy wieku męskiego — rychło stają się staruszkami, staruszków zaś obdarzamy awansami i tytulaturą, jaką wszędzie na świecie zdobywają ludzie młodzi, w sile wieku. No i dziwimy się, że ten świat ogłupiał do cna, stał się schizofreniczny.

W różnych czasach różne słowa robią dziwną karierę. W obecnych największą popularność zdobyło słowo „młodzież". Właśnie słowo, bo młodzież jako taka kariery nie robi, a jeśli to w wieku podeszłym. Wszędzie słyszy się: młodzieży trzeba dać szansę, młodzież się buntuje, młodzież emigruje, młodzież to, młodzież tamto, jakbyśmy słowami chcieli pokryć, albo okryć, odkurzyć całą złożoność zjawiska kryjącego się pod tym pojęciem, przez wiele lat nie zauważanego, nie docenianego. Im więcej słów tym mniej czynów. Zawsze bowiem wielkość słów jest odwrotnie proporcjonalna do czynów.

Podobnie jest ze słowem „kultura", które w różnych latach doposażano w różne słowa-wytrychy. Ostatnio z tym słowem stało się coś tak nieprawdopodobnego, że nawet ludzie zarabiający pisaniem na życie używają go w najdziwniejszym kontekście. W jednej z gazet przeczytałem ni mniej ni więcej, że dzisiaj „NIKT NIE MA GŁOWY DO KULTURY!" Po takim dictum człowiek zaczyna się zastanawiać, jakim musi być to słowo przepastnym workiem pojęć i odczuć. Do tej pory wiedziałem, że albo ktoś jest kulturalny, albo niekulturalny, albo ktoś myje ręce (a więc przestrzega pewnych zasad kultury sanitarnej), albo nie, ma potrzeby duchowe, jakie niesie ze sobą kultura teatralna, muzyczna, plastyczna albo i nie ma, słowem jest się wyposażonym w pewne wartości, albo nie, żyje się sprawami kultury albo i nie. Jednakże nigdy nie sądziłem, że doczekam czasów, w których trzeba będzie mieć „głowę do kultury". Maluczko a doczekamy się, że trzeba będzie mieć do kultury specjalną głowę...

Przy słowie „kultura" pojawia się ostatnimi czasy nierozdzielnie słowo „pieniądze" jakby dawniej kultura obywała się bez pieniędzy. Nikt tymczasem nie dostrzega, że na naszych oczach rozpadają się pewne stereotypy, mechanizmy nawyki, i że przezwyciężenie obecnego stanu w największym stopniu zależy od nas samych. W „Tygodniku Kulturalnym" Jacek Wojciechowski, pisząc o sprawach pieniędzy na kulturę mówi: „Cała sztuka w wyłuskiwaniu środków na zadania kulturalne sprowadzała się do trzech przykazań: wstaw do planu kwotę trzykrotnie zawyżoną — broń tego planu tak chytrze żeby skreślono ci tylko połowę — następnie wydaj pieniądze co do złotówki. I już.

Jasne że po takich doświadczeniach i z takimi przyzwyczajeniami trudno funkcjonować teraz — kiedy klesa jest jak sito i jeszcze wszystko zżera inflacja. A funkcjonować trzeba..."

No właśnie. W ub. roku na remont jednego z teatrów który błąka się po wynajmowanych salach wyasygnowano 50 mln zł. Oczywiście suma ta była ledwie częścią środków „NA REMONT tyle że w teatrze wydatkowano ją na inne cele — budowę zaplecza magazynowego. W innym zaś 20 mln zł. miast przeznaczyć na urządzenia preciwpożarowe, od których zależy funkcjonowanie teatru, także wydatkowano na coś innego, a teraz szuka się kolejnych milionów bo inaczej teatr zostanie zamknięty... Rzecz więc w nawykach, które trzeba przezwyciężyć, by odnaleźć się w nowych warunkach.

Różnie się różni ludzie odnajdują. Nie znajdując pieniędzy u dotychczasowego mecenasa coraz częściej zaczynają się odwoływać do społecznej ofiarności. W Rzeszowie np. zwrócono się do licznych przedsiębiorstw i instytucji z apelem o finansowe wsparcie Funduszu Kultury. W rezultacie ten „wzbogacił się" o... 9 tys. złotych! W Gdańsku zaś w odpowiedzi na podobny apel w ciągu miesiąca zgromadzono... 100 mln złotych!

A może rzeczywiście trzeba mieć „głowę do kultury"?

MARIAN ZDROJEWSKI

Myśleć i grać

Rozmowa z prof. TADEUSZEM CHMIELEWSKIM, kierownikiem Katedry Fortepianu w łódzkiej Akademii Muzycznej.

Foto: L. Myszkowski

— Jako pianista poświęca się pan kameralistyce i grze solistycznej. Na czym polegają wzajemne relacje między tymi dziedzinami?

— Przede wszystkim na uwarunkowaniu jednej dziedziny przez drugą. Otóż, aby zostać wytrawnym kameralistą, trzeba być najpierw dobrym, mającym znakomicie opanowany warsztat, skrzypkiem, pianistą itd. Jest to warunek konieczny, lecz nie wystarczający. U kameralisty liczą się bowiem jeszcze specjalne predyspozycje dotyczące współdziałania z innymi muzykami. Natomiast doświadczenia wyniesione z muzykowania w małych zespołach rozwijają z kolei solistę. Wiadomo, że wielu najwybitniejszych pianistów uprawia równolegle grę solową i kameralną — wymienię choćby **Richtera, Darenhoima, Argerich, Zimermana.** W dzisiejszych czasach oczekuje się od artysty wszechstronności. Konkurencja jest ogromna.

— Pan profesor jest szczególnie silnie związany z kameralistyką, a ściśle z jej działem — akompaniatorstwem. Mimo, iż koncertuje pan solo w filharmoniach i na różnych festiwalach, dla wielu pozostaje pan akompaniatorem Wiłkomirskiej, Brodskiego, Grabarczyka, Danczowskiej czy japońskich laureatek Konkursu im. H. Wieniawskiego, na którym 3 razy z rzędu otrzymywał pan specjalne nagrody przeznaczone dla najlepszego pianisty towarzyszącego skrzypkom. Zresztą współdziała pan nie tylko z wiolinistami.

— Ponieważ zawsze lubiłem akompaniować, już na studiach uczestniczyłem w festiwalach wyższych szkół muzycznych zarówno jako solista, jak i akompaniator. Współpracując potem z różnymi klasami instrumentalnymi w Akademii Muzycznej jeździłem na występy i międzynarodowe konkursy także z oboistami, waltornistami, śpiewakami. Ostatnio związałem się z robiącym karierę w RFN basem **Januszem Niziołkiem** — wychowankiem łódzkiej uczelni muzycznej. Ze śpiewakiem tym, specjalizującym się w repertuarze oratoryjnym i pieśniarskim, mam niebawem nagrać na Zachodzie płytę zawierającą pieśni **Brahmsa** i **Musorgskiego.**

— Czy akompaniowanie śpiewakowi różni się od towarzyszenia instrumentaliście?

— Istota problemu jest taka sama, lecz na ogół inne trzeba ustalić proporcje dynamiczne, ponadto w trakcie akompaniowania wokaliście bardziej elastycznego traktowania wymaga fraza (nieraz solista po prostu skraca ustalony oddech).

— A jak — w wypadku muzykowania kameralnego — wygląda budowanie interpretacji? Czy opiera się na kompromisie między indywidualnościami?

— Na pewno. Podstawą jest wyczucie intencji partnera i dostosowanie się do nich. Jeśli gra się przypadkowo z jakimś wybitnym muzykiem, który ma zupełnie inne spojrzenie na dzieło — a jest to przecież w ramach zapisu nutowego możliwe —zachodzi wręcz konieczność zrezygnowania z własnej koncepcji odtwórczej i grania poniekąd „wbrew sobie". W tym sensie kameralistyka pomaga nawet przezwyciężyć egoizm, bowiem uczy rozumienia cudzych zapatrywań i sposobu odczuwania. Przyzwyczaja także do współodpowiedzialności za dzieło. Najlepsze rezultaty osiągają wszakże ansamble stałe, zharmonizowane pod względem temperamentów i oparte na wzajemnej akceptacji. Udział w pracy koncepcyjnej nad repertuarem jest wtedy jednakowy, nie prowadzi do dominacji żadnej ze stron, zaś gra partnera jest zbieżna z własną wizją. Chyba tak właśnie układała się moja praca z **Wandą Wiłkomirską.**

— Zupełnie inaczej przebiega opracowywanie repertuaru solistycznego — tu jest się właściwie nieskrępowanym. Ale czy także niezależnym np. od wpływu nagrań innych wirtuozów?

— Określony wpływ istnieje, lecz nie może on powodować kopiowania, gdyż wówczas nie byłoby własnej interpretacji (skądinąd wiem, że postępują tak często studenci). Ja nawet świadomie przesłuchuję nagrania, jednakże dopiero po opanowaniu tekstu utworu i stworzeniu jego pierwszej wizji wykonawczej. Nagrania inspirują mnie jedynie do retuszów, dzięki którym powstaje wizja ostateczna.

— Czy nie bardziej spontaniczne działanie ma miejsce wtedy, gdy nagrania są niedostępne, a więc w wypadku kompozycji mało znanych?

— Niewątpliwie wówczas można polegać wyłącznie na doświadczeniu, wykształceniu muzycznym, a także intuicji. Tak było np. gdy grałem w Czechosłowacji, nie znane u nas utwory **Smetany, Dworzaka i Janaczka** i zyskałem pełną aprobatę odbiorców. Sądzę zresztą, że szanujący się pianista stale powinien poszerzać repertuar i to nie tylko o pozycje „obiegowe". Osobiście bardzo lubię grać nowe utwory, lubię się ich uczyć. Za granicą staram się wykonywać jak najczęściej muzykę polską — poza popularnymi kompozycjami **Chopina** lub **Paderewskiego,** również **Szymanowskiego, Serockiego** czy **Grudzińskiego,** będącego jednym z naszych nielicznych współczesnych kompozytorów piszących na fortepian. Niedawno przyjąłem zaproszenie na olsztyński festiwal poświęcony **Nowowiejskiemu,** w związku z czym muszę opanować jego nie znany mi koncert.

— W ubiegłym sezonie wielkie uznanie przyniosło panu w Łodzi wykonanie z tamtejszymi filharmonikami niemal nie pojawiającego się w krajowych programach Koncertu fortepianowego Dworzaka. Ciekawe, w czym łódzcy melomani usłyszą pana w nadchodzącym sezonie?

— Tym razem repertuar będzie akurat trochę bardziej „typowy". Prawdopodobnie grać będę koncerty **Beethovena.**

— Czynne uprawianie pianistyki daje kapitał doświadczeń do pracy pedagogicznej. Czy ma pan własną metodę pracy ze studentami?

— Wolałbym tego tak nie określać. Przede wszystkim uczę ich warsztatu, a w tej dziedzinie jest na ogół dużo do zrobienia. Jeśli idzie o interpretację, o której dziś już sporo mówiliśmy, to zaczynam od uzyskania poprawności, wyeliminowania błędów tekstowych dotyczących frazowania, artykulacji itp. Nie wszyscy jednak mogą pójść dalej, szczególnie gdy się im nie pomoże, nie ukierunkuje.

— W muzyce fortepianowej niebagatelną rolę odgrywa czynnik konstrukcyjny. Wymaga on od pianisty doświadczenia muzycznego, a zarazem umiejętności „obiektywnego" słyszenia swojej gry i kompleksowego programowania wszystkich parametrów.

— Właśnie dlatego nie wystarczy, jeśli student ma dobre pomysły co do szczegółów, a nie potrafi ich scalić pod kątem formy. **Za Wandą Wiłkomirską** powtarzam, że często trzeba więcej myśleć o utworze, aniżeli go grać. Gdy student ma trafną wizję wykonawczą — ograniczam się do korygowania, usuwania przerysowań. Orientuję się zazwyczaj szybko, czy w ogóle ma on coś ciekawego do powiedzenia. Praca z najzdolniejszymi polega na pobudzeniu ich twórczej inwencji i wyobraźni. W tym celu demonstruję np. różne sposoby wykonania. Bywa, że student przekonuje mnie do swojego sposobu odczytywania kompozycji. Taka współpraca jest frapująca. Spośród moich 10 aktualnych studentów do najzdolniejszych należą **Witold Holtz** i **Tomasz Bartoszek,** przygotowujący się do **Konkursu Chopinowskiego.** Utalentowanych uczniów mam też w średniej szkole muzycznej. Uczę i tam, bo jest dla mnie ciekawe kształtowanie osobowści pianisty poprzez wszystkie fazy wtajemniczenia.

— Jak wiem, z muzyków składa się cała pańska rodzina. Czy w sytuacji, gdy „głowa rodziny" jest pedagogiem i znanym kameralistą nie powinno to mieć określonych konsekwencji także dla melomanów?

— Podobno w tym roku ma być zainicjowany w Łodzi cykl koncertowy z udziałem muzycznych rodzin. Niewykluczone, że weźmiemy w nim udział.

— Z zainteresowaniem wybiorę się i na ten występ. Dziękuję panu za rozmowę.

JANUSZ JANYST

Kronika

DLA UCZCZENIA przypadającej w tym miesiącu **45. rocznicy likwidacji łódzkiego getta —** 30 sierpnia br. w **Muzeum Historii Miasta Łodzi** odbędzie się uroczysta akademia (początek o godz. 18). Tego samego dnia, w godzinach przedpołudniowych, **na Cmentarzu Żydowskim** na Dołach odprawione zostanie w hołdzie pomordowanym, **nabożeństwo AZKARA,** w miejscach pamięci złożone zostaną kwiaty.
Protektorat nad tymi uroczystościami sprawuje **Społeczny Komitet Obchodów 45. rocznicy Likwidacji Getta Łódzkiego.**

PRODUCENTEM FILMU „DIABELSKI LAS", nakręconego w Polsce przez **Henryka Kostrubca** — młodego amerykańskiego reżysera polskiego pochodzenia — **jest prywatna łódzka spółka filmowa z o.o. „Bravo". film powstał w ciągu trzech tygodni w angielskiej wersji językowej.** Jego akcja rozgrywa się w 1943 r. na Zamojszczyźnie.

POD AUSPICJAMI STAREGO TEATRU W KRAKOWIE i KRAKOWSKIEJ PWST odbędzie się w przyszłym roku w podwawelskim grodzie festiwal sztuk Sławomira Mrożka. (Autor „Tanga" będzie obchodził wtedy 60-lecie swoich urodzin). Planuje się udział w przeglądzie wielu renomowanych zespołów zagranicznych.
Oby tylko fiskus nie stanął na przeszkodzie ambitnym zamierzeniom organizatorów.

ROTMISTRZ JAN ROMANOWSKI adiutant generała Władysława Sikorskiego, **przyjechał do Polski na zaproszenie Warszawskiej Wytworni Filmów Dokumentalnych.**
Będzie on **konsultantem** przy realizacji filmu **Krzysztofa Szmagiera o generale Andersie** (pisaliśmy już o nim w „Kronice").
W filmie tym wykorzystane zostaną m.in. unikatowe zdjęcia, nigdzie dotąd nie publikowane, znajdujące się w posiadaniu Jana Romanowskiego.

TRZYTOMOWĄ POWIEŚĆ JERZEGO NASIEROWSKIEGO — pod zapierającym dech tytułem **„Seks, zbrodnia i kara"** — wyda oficyna **„Omnibus", mająca swą siedzibę w... Kościanie (woj. leszczyńskie).**

WARTO ODNOTOWAĆ niekonwencjonalną, wielce szokującą **wypowiedź Edwarda Dwurnika, jednego z czołowych naszych artystów plastyków — o oddziaływaniu sztuki**
„Zdarzyło się już kiedyś — powiedział — że jakiś widz przed moim obrazem wymiotował, ponieważ zrobiło mu się źle. Chciałbym, aby ktoś patrząc na moją sztukę zasłabł albo przeżył orgazm. Dlaczego nie? Jeśli polityka doprowadza do agresji, stanów skrajnych, to dlaczego sztuka nie może".

TYGODNIK „DIE ZEIT" zamieścił informację, że w moguncim urzędzie stanu cywilnego odmówiono Polce urodzonej w naszym mieście **wpisania w dokumencie nazwy polskiej miasta Łódź, zastępując ją niemiecką nazwą Litzmannstadt.**
Cóż począć, jeśli niektórzy wciąż żyją w świecie iluzji?

W BAŁUCKICH BIBLIOTEKACH — z inicjatywy **Terenowej Komisji Przeciwalkoholowej — zorganizowano kąciki przeciwalkoholowe.**
Znajdują się w nich wydawnictwa o sposobach zapobiegania i leczenia alkoholizmu.

W PIWOWSKIEJ SERII KLUBU INTERESUJĄCEJ KSIĄŻKI ukazała się powieść egipskiego laureata literackiej Nagrody Nobla z 1988 r. **Nadżiba Mahfuza pt. „Opowieści starego Kairu".**
Cechująca się walorami poznawczymi oddaje w sposób niepowtarzalny mentalność, obyczaje i życie drobnych kupców, urok i lokalny koloryt starych kairskich uliczek, zaułków, bazarów.

DZIEŁA SZTUKI I WYROBY RĘKODZIELNICZE Z NOWEJ GWINEI mogą podziwiać sieradzanie na wystawie otwartej w tym mieście.
Prezentowane eksponaty pochodzą ze zbiorów warszawskiego Muzeum Azji i Pacyfiku.

TEGOROCZNY FESTIWAL W SPOLETO zainaugurowany został wystawieniem opery **osnutej wokół burzliwego życia i tragicznej śmierci Marylin Monroe** W partii tytułowej wystąpiła amerykańska śpiewaczka **Emily Rowlins.**
Muzykę skomponował **Gastoa Compere.**

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ ŁODZI — w ramach bardzo ciekawych i pouczających **zarazem imprez organizowanych pod hasłem „Z łódką w herbie" — zainaugurowało w miniony poniedziałek cykl spotkań poświęconych łódzkim parkom.**
Uczestnicy spotkania które odbyło się w parku „Źródliska" **zapoznali się z dziejami tego najstarszego z łódzkich parków — zwanego też dawniej Kwelą.**

Opracował: JAK

„Głowa do kultury"

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

kowska nie próbowała wydać tej książki oficjalnie — mówi Eugenia Siemaszkiewicz — znam ją via Zachód. Ja lubię tłumaczyć to, co naprawdę lubię. Przetłumaczyliśmy, mój mąż **Seweryn Pollak** i ja, **„Requiem"** Achmatowej, które ukazywało się w wydaniach oficjalnych tylko we fragmentach — całość przez całe lata była niecenzuralna — i wydaliśmy ją w NOW w 1981 roku. Książka Czukowskiej była dla mnie integralnie związana z „Requiem" i było jakby oczywiste, że należy ją przetłumaczyć... Zżymam się często, kiedy oglądam telewizyjne programy o Achmatowej lub Cwietajewej. Cwietajewa, która na emigracji żyła w nędzy, upozowana jest w nich na panienkę z dobrego domu. Książka Czukowskiej chroni Achmatową przed zrobieniem z niej kogoś w rodzaju frejliny odsuniętej od dworu Tu istnieje materia codzienności, złożona zarówno z biedy, strachu, jak pełnej świadomości wydarzeń... Stalinizm był demaskowany od dawna i ta praca musi być dokończona Istnieje jednak cała warstwa ludzi mających grzechy późniejsze niż stalinizm, więc bardzo dla nich dziś kłopotliwe. W tej sytuacji nie bronią oni grzechów ojców poprzestając na samoobronie. Stalinizm został złożony w ofierze i groby z tego cmentarza można rozkopywać bez przeszkód. Do tej strasznej roboty rzucają się teraz bardzo różni ludzie. Na przykład do budowania pomnika katyńskiego zabierają się teraz skwapliwie osoby, które zatrzaskiwały drzwi przed nosem tym, którzy siedzieli w rosyjskich obozach — na sam dźwięk słowa „Katyń"... Zajmują się tym często ludzie, którzy traktują to jako sensację, chcąc na tym zrobić interes. Nadchodzi pora nie tylko odsłaniania prawdy, ale nadużywania efektów w tej strasznej dziedzinie, co sprawi wkrótce, że dla młodego czytelnika wszystkie te książki staną się bezładnym nagromadzeniem rewelacji. Będzie tak, jak z reakcją na temat obozów koncentracyjnych. Za jakiś czas ludzie będą mówić: dość, już nie chcemy. I słusznie. Będzie to jednak zarazem okres oczyszczenia, po którym znów wyłonią się książki wartościowe, tak jak z byle jakiej literatury obozowej na nowo wychodzą **Borowski** czy **„Medaliony"** Nałkowskiej...

POD ZNAKIEM FESTIWALU

Miniony tydzień upłynął nam w telewizji pod znakiem XXVI Międzynarodowego Festiwalu Muzyki w Sopocie, który — jak zapowiadano — miał całkowicie zmienioną formułę. Organizatorami imprezy byli w tym roku Biuro Usług Promocyjnych w Sopocie, Fundacja Kultury Sopockiej oraz londyńska firma ULA Ltd. Sprawami marketingowymi zajęła się firma reklamowa Saatchi and Saatchi Comunitations z Wlk. Brytanii, a patronat nad sopockim festiwalem sprawował — oprócz prezydenta miasta — generalny dyrektor Światowych Targów Płytowych MIDEM w Cannes **Xavier Roy.** Dyrektorem artystycznym był, oczywiście, **Jerzy Gruza.** Zakładano także zmiany w programie, zaś nagrodą w konkursie międzynarodowym o Grand Prix jest wydanie 1 mln płyt oraz koncertowe tourneé po ZSRR. Festiwalowi towarzyszyły Międzynarodowe Targi Muzyczne.

Tyle zapowiedzi. Jak było — widzieliśmy.

Galeria pisarzy

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

Rys. Sławomir Arabski

Z kroniki powojennej Łodzi

STYCZEŃ 1945

Przyjęcie Archiwum Miejskiego (10.I.1945) przez zarząd polski Dyrektor: **L. Waszkiewicz** (od roku 1935), kustosze: **dr J. Warężak. mgr R. Kaczmarek.**
Archiwum było instytucją Zarządu Miejskiego, zorganizowaną w 1926 r na zasadach naukowych. Do 1939 r. zgromadziło **94 000 teczek akt.** Przed wojną Archiwum **wydało 3 tomy „Rocznika Łódzkiego".**

Ukazanie się 24.I.1945 r. pierwszego numeru pisma **„Wolna Łódź".** Wyszło ogółem **6 numerów.**

Zawiązanie się 26.I.1945 r. **Stronnictwa Demokratycznego** w Łodzi, ukonstytuowanego w 1944 r. w Lublinie. **Prezes K. Gallas** — wiceprezydent m. Łodzi.

Przeniesienie 30.I.1945 r. z Lublina do Łodzi Spółdzielni Wydawniczej **„Czytelnik".** Prezes: **Jerzy Borejsza.**

Przyjazd do Łodzi 21.I.1945 r. z Lublina delegacji Ministerstwa Oświaty celem zorganizowania **Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego.**

Rozpoczęcie pracy 25.I 1945 r., **Wydziału Szkolnictwa Średniego w Kuratorium Łódzkim.** Od 10.II.1945 r. do 1.III.1945 r. uruchomienie **20 szkół ogólnokształcących** (16 państwowych i 4 prywatnych).

Zainstalowanie pod koniec stycznia 1945 r. **głośników ulicznych Polskiego Radia.**

Przeniesienie, 30.I.1945 r., z Lublina do Łodzi **dziennika „Rzeczpospolita".** Ukazywał się w Łodzi do 5.VII.1945 r., pod red. **Jerzego Borejszy.**

Opracował: JAK

Czy Józef Stalin był antysemitą? (Post Scriptum)

Życie przynosi coraz więcej szczegółów

RYSZARD BADOWSKI

Już po wydrukowaniu przez „Odgłosy" mego cyklu „Czy Józef Stalin był antysemitą?" natknąłem się na kolejne ciekawe materiały, rozwijające i uzupełniające wątki tej publikacji.

Stalin miał trzech wnuków.

JOSIF, syn Swietłany Alliłujewej i Grigorija Morozowa, jej pierwszego męża, Żyda, nie był — jak się okazuje — jedynym wnukiem Stalina. Męskiego potomka miał również nielubiany syn Jakow, który zginął w obozie jenieckim w Sachsenhausen.

Jakow pochodził z pierwszego małżeństwa Józefa Stalina z Gruzinką Jekatieriną Swanidze i nosił rodowe nazwisko ojca: Dżugaszwili. Przypomnę, że ożenił się również z Żydówką, tancerką Julią Melcer. Ich córka Gala była pierwszą wnuczką Józefa Stalina. Dowiedziałem się obecnie, że Jakow Dżugaszwili także miał syna. Stalin odtrącił go, chłopiec wychowywał się w korpusie kadetów i podobnie jak ojciec został wojskowym. W latach 1947—1954 uczył się w Kalinińskiej Szkole im. Aleksandra Suworowa. Nie zdołałem ustalić jego imienia. Rozpoczyna się na literę J., a dokładniej na rosyjską literę Je. Może mieć brzmienie rosyjskie, np. Jegor, Jemielian, ale równie dobrze gruzińskie.

JE. DŻUGASZWILI został pułkownikiem, docentem, kandydatem nauk historycznych. Udało mi się znaleźć jego zdjęcie w ciekawym towarzystwie potomków legendarnych postaci — wnuka bohatera wojny domowej Wasyla Czapajewa i syna słynnego lotnika Nikołaja Gastello, który w czasie II wojny światowej skierował swój płonący samolot na kolumnę niemieckich czołgów i cysternę z benzyną. Zdjęcie zostało wykonane w 1983 roku na zjeździe byłych „Suworowców".

Drugi wnuk Stalina dochował się własnych synów. Starszy, mający dziś 23 lata, nazywa się tak, jak gruziński szewc, ojciec Stalina, a jego pradziadek — Wissarion Dżugaszwili. Drugi, 17-letni, nosi imię pierworodnego syna Stalina, a swego dziadka, Jakowa Dżugaszwili.

Od Aleksieja Adżubeja, dziennikarza i literata radzieckiego, zięcia Nikity Chruszczowa, uzyskałem informację, że istniał także trzeci wnuk Stalina, WASYL, który przeżył niewiele ponad

„Zapomniany" wnuk Józefa Stalina, J. J. Dżugaszwili w towarzystwie wnuka Wasyla Czapajewa i syna słynnego lotnika Nikołaja Gastello (Dżugaszwili pierwszy z lewej).

dwadzieścia lat. Aleksiej Adżubej natknął się na Cmentarzu Nowodziewiczym w Moskwie, niedaleko od nagrobka Nadieżdy Alliłujewej, na szarą betonową płytę z napisem „Wasilij Wasiliewicz Stalin, 1919—1972".

Trzeci wnuk Stalina był potomkiem jego syna Wasyla, generała lotnictwa, który zmarł nie dożywszy pięćdziesięciu lat w ataku białej gorączki. Słynął z licznych skandali. O jego potomku Aleksiej Adżubej mógł niewiele powiedzieć. Odesłał mnie do swej książki o Chruszczowie „Tamte dziesięć lat", tłumaczonej przez Wydawnictwo „Alfa" z rękopisu (książka nie ukazała się jeszcze w ZSRR, w której zawartych jest wiele informacji „zza kulis Kremla". Zaczął się o nie ocierać jeszcze zanim ożenił się z córką Nikity Chruszczowa, Radą. Jego matka, znana w Moskwie krawcowa, ubierała córkę Józefa Stalina, żony Henryka Jagody, Nikołaja Jezowa i Ławrientija Berii. Książkę otrzymałem od autora wraz z wywiadem dla „Odgłosów", który wkrótce przedstawię. O trzecim wnuku Józefa Stalina tak pisze:

„Nie wiem, która z żon Wasyla urodziła tego tak wcześnie zmarłego chłopaka. Pamiętam, że w 1949 roku równocześnie z nami w Liwadii (na Krymie — R.B.) *wypoczywała Jekatierina Wasiliewa, jedna z nich, pływaczka, rekordzistka. Wychodziła na skrawek plaży, wypływała daleko w morze. Czekista z ochrony rzucał się do łodzi, towarzyszył jej z daleka, ubezpieczał śmiałą pływaczkę"*

Wnuk Wasyl urodził się na trzy lata przed śmiercią Józefa Stalina, który z coraz to większym rozdrażnieniem reagował na opilstwo jego ojca, a swego jedynego już żyjącego syna. Czy Józef Stalin zaszczycał uwagą wnuka? Aleksiej Adżubej mówi, że po śmierci Nadieżdy Alliłujewej dzieci jeszcze odczuwały jego miłość i troskę, ale nie trwało to długo. Zaczął widywać je z rzadka, a z wnukami spotykał się — „na palcach można policzyć".

Od Aleksieja Adżubeja dowiedziałem się również, że córkę Swietłanę rozwiódł z jej żydowskim mężem Grigorijem nie kto inny jak Stalin.

„Nie chciał oczywiście, żeby akt ten — pisze Aleksiej Adżubej — *rozpatrywany był przez społeczeństwo jako antysemicki, ale wielu domyśliło się prawdziwej przyczyny. Wiedzieli, wyczuwali nastawienie Stalina w tym względzie".*

Józefa Stalina drażniły małżeństwa rosyjsko-żydowskie ludzi z jego otoczenia. Henryk Jagoda ożeniony z krewniaczką Jakowa Swierdłowa, Wiaczesław Mołotow z Poliną Żemczużiną, wielu innych. Aleksiej Adżubej podaje, że żona Waleriana Kujbyszewa nazywała się Jewgienija Kogan. Była sekretarzem propagandy moskiewskiego miejskiego komitetu partii, gdy Nikita Chruszczow piastował stanowisko I sekretarza KM WKP(b) w Moskwie.

Wiele żydowskich żon represjonował. Między innymi własną synową Julię Melcer.

Losy Swietłany Alliłujewej

Spośród trojga dzieci Swietłany Alliłujewej syn Josif i córka Jekatierina, żyją w ZSRR, a najmłodsza Olga, córka amerykańskiego architekta Williama W. Petersa, która urodziła się w Stanach Zjednoczonych, mieszka w Anglii. Swietłana uzyskała dla niej w 1984 roku obywatelstwo radzieckie, kiedy po 17 latach wróciła z emigracji do pozostałych dzieci i wnuków. Została przyjęta przez rodzinę źle i powtórnie opuściła Związek Radziecki, zabierając ze sobą Olgę, liczącą wówczas 16 lat.

Pięć lat temu Swietłana Alliłujewa oznajmiła dziennikarzom, że jej decyzja powrotu do ojczyzny, jak podkreśliła z naciskiem, *„do moich dzieci, wnuków, bliskich i niezapomnianych przyjaciół"* jest *„decyzją prywatną, decyzją czysto ludzką, a nie polityczną"*. Dodała do tego wyznania oświadczenie zgoła polityczne, mówiąc: *„Dostawszy się do tzw. wolnego świata nie zaznałam tam ani jednego dnia wolności. Znalazłam się w rękach biznesmenów, adwokatów, polityków i wydawców, którzy to ludzie przekształcili imię mego ojca, moje imię i moje życie w sensacyjny towar. Posunięto się do tego, że zaczęto mi mówić, co powinnam pisać, o kim i w jaki sposób".*

Swietłana powiedziała, że zamierza odtąd prowadzić ciche życie prywatne *„Dzisiaj po raz ostatni spotykam się z przedstawicielami prasy. Po tym spotkaniu zostawmy się nawzajem w spokoju".*

Co działo się z nią dalej?

Aleksiej Adżubej: zamieszkała w Tbilisi, gdzie poświęcano jej wiele uwagi. Miała dobrą rentę, mieszkanie, jej dziewczynka szybko uczyła się rosyjskiego. Mniej więcej po roku *„ta niespokojna natura zerwała się, podkręcając do granic wytrzymałości nerwy najbliższych i przyjaciół, i odleciała do Ameryki"*. Zapamiętał ją jako piękną, z jasnymi rudoziotymi włosami, mądrym spokojnym spojrzeniem wielkich czarnych oczu. Dodaje jednak: *„U nas nie wspomina się o niej. Cóż to — człowiek? Ziarenko piasku".*

Zdaniem Aleksieja Adżubeja do pierwszej emigracji Swietłany, która była właściwie ucieczką, przyczyniła się głupota radzieckich władz. Podczas urlopu w Estonii, na złotych piaskach Piarnu, szczegóły pozostania Swietłany za granicą opowiedział mu pracownik ambasady w Indiach. Przebywała tam od kilku miesięcy, po zawiezieniu nad Ganges prochów trzeciego męża, indyjskiego komunisty Radża Bridge Singha, który zmarł w Moskwie. Odwiedziła jego ójczyste strony, zaprzyjaźniła się z rodziną. W tym czasie skończyła się jej wiza. Poprosiła o przedłużenie zgody na pobyt w Delhi. Moskwa odmówiła i zażądała natychmiastowego powrotu. Ambasador Benediktow nic nie mógł zrobić. Pewnego wieczora Swietłana wyszła z ambasadorskiego mieszkania i nie wróciła. Zaczęło się jej tułacze życie.

Tyle Aleksiej Adżubej. Dodam, iż poszła do ambasady Stanów Zjednoczonych, mieszczącej się niedaleko ambasady ZSRR i oznajmiła: *— Jestem córką Stalina, proszę o azyl i zgodę na wyjazd do USA.*

Dalej znów powołuję się na Aleksieja Adżubeja:

— Ambasador Benediktow został skierowany na emeryturę. Przewodniczącego KGB, Siemiczastnego, pozbawiono urzędu i wysłano do Kijowa na stanowisko zastępcy przewodniczącego Rady Ministrów Ukrainy".

Wiele spraw w życiu Stalina i jego rodziny otaczały tajemnice.

Odsłania je nie tylko Aleksiej Adżubej. Radziecki historyk Roj Miedwiediew zastanawiał się, ile Józef Stalin miał nieślubnych dzieci *„Stalin nigdy ich nie widział i nie życzył sobie oglądać".*

Z różnych źródeł dowiadujemy się obecnie o jego przelotnych związkach z kobietami. Jewgienij Jewtuszenko w jednej z publikacji wspomina jako *„bliską Stalinowi"* śpiewaczkę Wierę Dawydową-Mczedlidze. Była Rosjanką, urodzoną w Niżnim Nowgorodzie. Na początku lat trzydziestych Stalin usłyszał jej piękny mezzosopran. Miała wówczas 24 lata. W 1932 roku stała się solistką Teatru Wielkiego w Moskwie.

Józef Stalin przydzielił jej samochód z kierowcą. Pewnego razu kierowca poprosił Wierę Dawydową o wstawiennictwo u Stalina za swego rozkułaczonego ojca. Więcej tego szofera Wiera Dawydowa nie widziała.

Po śmierci Józefa Stalina Wiera Dawydowa przeniosła się do Tbilisi. Była deputowaną Rady Najwyższej RSFRR, Ludową Artystką RFSRR, laureatką Nagrody Stalinowskiej. Drugi człon nazwiska, Mczedlidze, był nazwiskiem jej męża — Gruzina.

Tragiczną rolę w życiu Józefa Stalina odegrała żona wysokiej rangi wojskowego, nazwiskiem Gusiewa. To ona stała się przyczyną śmierci jego drugiej żony. Nadieżdy Alliłujewej. Wkrótce napiszę o tym obszerniej, przywodząc sensacyjne świadectwo Nikity Chruszczowa. Chruszczow wspomina także zagadkową kobietę

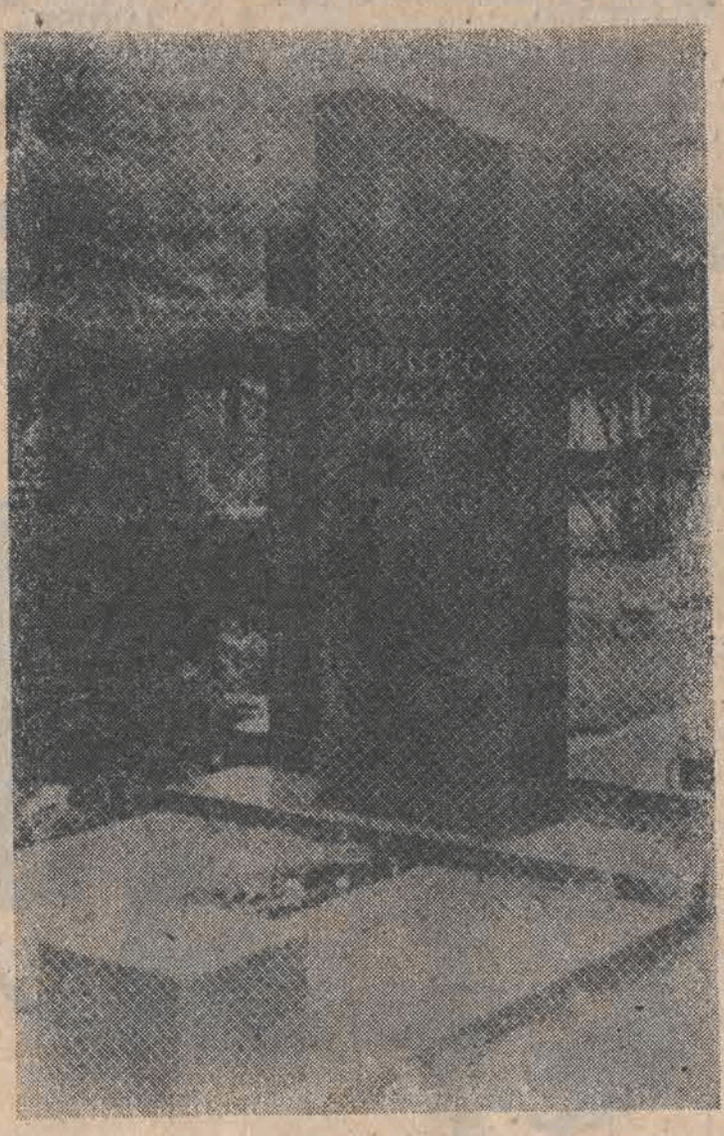

Mogiła mordercy Lwa Trockiego — Ramona Mercadora, pochowanego w Moskwie pod nazwiskiem Ramon Lopez.

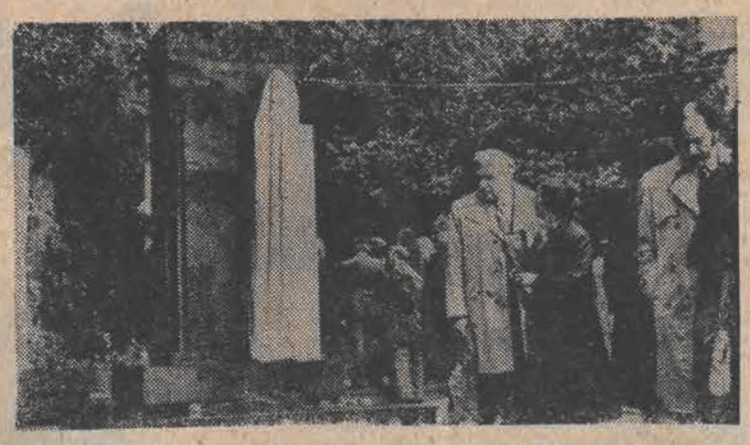

Pomnik matki Józefa Stalina. Jekatieriny Dżugaszwili, na stoku góry Mtacminda w Tbilisi.

południowej urody podstawioną Stalinowi przez Ławrientija Berię. A ja przypomnę jeszcze przelotny romans z Rozą Kaganowicz.

Sprawa lekarzy-morderców

Niedawno zmarła radziecka dziennikarka Jelena Kononienko. „Prawda" pożegnała ją ciepłym wspomnieniem przyjaciół. Obruszył się na to jeden z czytelników tygodnika „Ogoniok", przypominając, że to właśnie artykuł Jeleny Kononienko zapoczątkował ostatnią antysemicką hecę Józefa Stalina, a raczej Ławrientija Berii, znaną jako „sprawa lekarzy-morderców".

Aleksiej Adżubej dobrze to pamięta. Lekarz kremlowskiego szpitala Lidia Timoszuk, która zdemaskowała *„bandę lekarzy-szkodników, zabójców i szpiegów winnych śmierci szeregu wybitnych działaczy partyjnych i państwowych"* oskarżyła o zamierzone „zaleczenie na śmierć" Stalina, wybitnego uczonego radzieckiego profesora Winogradowa. Bywał on w domu Nikity Chruszczowa, leczył jego żonę, zostawał na obiadach, sypał anegdotami z praktyki lekarskiej. W klinice, gdzie dosłownie tuż przed ogłoszeniem komunikatu o „lekarzach mordercach" urodził się pierworodny Aleksieja Adżubeja, noszący na cześć dziada imię Nikita, współpracownikami Winogradowa byli profesorowie Kogan, Feldman i Wowsi, którzy razem z nim znaleźli się na liście skrytobójców.

Przywołuję te nazwiska dla uzupełnienia mojej relacji o drugiej powojennej kampanii antysemickiej w ZSRR. Aleksiej Adżubej, który był wówczas początkującym dziennikarzem „Komsomolskiej Prawdy", popełnił artykuł wstępny „Być przenikliwym i czujnym". Wręczono mu niewielką papierową teczkę, kazano zapamiętać, co w niej powiedziane i wieczorem oddać wstępniak, który miał się ukazać jednocześnie z komunikatem o aresztowaniu lekarzy. W dokumentach, które otrzymał, zalecano wykorzystanie cytatu Józefa Stalina ze słynnego przemówienia na lutowo-marcowym plenum KC WKP(b) w 1937 roku, gdzie Stalin wysunął tezę o zaostrzeniu się walki klasowej w miarę rozwoju i sukcesów komunizmu w ZSRR. To przemówienie miało usprawiedliwić „procesy moskiewskie" i terror rozpętany przeciwko resztkom stalinowskiej opozycji.

„Wstyd przeważa wszelkie usprawiedliwienia" stwierdza dziś Aleksiej Adżubej, choć wstępniak ukazał się bez jego podpisu. Za okoliczność łagodzącą jego owczesną głupotę uważa, że nie wymienił żadnych nazwisk. Przypomina, że w oficjalny komunikat powszechnie wierzono. Nawet pielęgniarki szpitala kremlowskiego uznały że ich zwierzchnicy byli potworami. Rozpętała się ogólnokrajowa histeria. Do gazet napływały listy od czytelników, wskazujące „podejrzanych" lekarzy w różnych szpitalach i klinikach, przede wszystkim noszących żydowskie nazwiska.

Dwa groby

W swoim cyklu wspomniałem, że Józef Stalin nie darzył miłością ojca ani matki. Nie przyjechał do Tbilisi na jej pogrzeb. Jekatierina Dżugaszwili, prosta gruzińska chłopka, zmarła w 1937 roku. Miała 81 lat. Pochowano ją na świętej górze Mtacminda, na cmentarzu najbardziej zasłużonych dla Gruzji postaci. Józef Stalin zajęty był wówczas czystkami w partii.

Piękny pomnik, jaki wzniesiono nad mogiłą matki, znał jedynie z fotografii. Z wydanej za jego życia i autoryzowanej przez niego biografii dowiedzieć się można jedynie, iż matka pochodziła z rodziny pańszczyźnianego chłopa Geladze, który mieszkał we wsi Gambareuli. Józef Stalin wcześnie rozstał się z domem rodzinnym i po rozpoczęciu działalności rewolucyjnej nigdy do niego nie wracał.

Kiedy po raz pierwszy byłem w Gruzji, tuż po śmierci Stalina, moi przyjaciele — Gruzini mówili o tym z wielkim zażenowaniem. Usłyszałem wówczas słowa: *„Naród czci bardziej pamięć tej kobiety, niż jej syn".*

W 1961 roku, za Nikity Chruszczowa, nie znalazłem najmniejszej wzmianki o mogile Jekatieriny Dżugaszwili na górze Mtacminda. W 1983 roku, za Leonida Breżniewa, w przewodniku po Tbilisi mogiłę „odtajniono". Meandry polityki informacyjnej powtarzały linię partii wobec postaci Stalina. Gruzini nie zważali na zygzaki tej linii i oddawali hołd jego matce.

Chcę wspomnieć o jeszcze jednej mogile, ujawnionej po napisaniu pierwszych odcinków mego cyklu, a związanej z wymienionymi w niej postaciami. Radziecki historyk Michaił Pantielejew odnalazł i rozszyfrował grób zabójcy Lwa Trockiego na Cmentarzu Kuncewskim w Moskwie. Wspomniałem, że był nim hiszpański komunista Ramon Mercador, którego matka przebywała na emigracji w ZSRR. Za swój czyn otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Potwierdza to nagrobek z czarnego granitu z napisem po rosyjsku: *„Bohater Związku Radzieckiego Lopez Ramon Iwanowicz"* i rokiem urodzenia oraz śmierci. Na zdjęciu wydrukowanym w tygodniku „Moskowskije Nowosti" cyfry trudne są do odczytania.

Pod przybranym nazwiskiem Lopez ukrywał się człowiek, który przedtem podawał się za Kanadyjczyka Franka Jacsona i Belga Jacquesa Mornarda, a był prawdopodobnie agentem NKWD, któremu Józef Stalin polecił zgładzić swego największego wroga. Po odsiedzeniu dwudziestu lat w więzieniu meksykańskim Ramon Mercador mieszkał jakiś czas w ZSRR, potem wraz z żoną — Meksykanką (poślubioną w czasie pobytu w więzieniu) wyjechał na Kubę, której klimat i język obojgu lepiej odpowiadały. Zgodnie z jego ostatnią wolą żona pochowała go w Moskwie.

Nie potwierdza się zatem przypuszczenie „Przeglądu Tygodniowego" z 23.II 1989 r. (nr 9), że *„być może (?) żyje do dziś"* w Pradze, gdzie miał się osiedlić i pracować jako mechanik radiowo-telewizyjny. Tak podawały źródła zachodnie.

Życie Ramona Mercadora było zagadką. Zagadką stała się także jego śmierć. Nawet napis na mogile.

Andrzej Makowiecki

Pięćdziesiąt melonów

(35)

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Widownia zamarła. Powiało ciszą. Nie chrząknął sędzia, nie zakaszlał prokurator. Dziennikarze czekali w napięciu ze znieruchomiałymi w palcach długopisami. Wszyscy zadawali sobie pytanie: komuż on przyłoży, kogoż on przygwoździ, ten szaleniec?

Szaleniec wbił wzrok w uśmiechniętego niewyraźnie prokuratora i powiedział:

— Ojciec!

Stary, siwy, ostrzyżony przy samej skórze mężczyzna zadygotał w ostatnim rzędzie, a szaleniec powtórzył jak echo:

— Ojciec. Nikt inny, tylko ojciec. Jego należałoby oskarżyć i sądzić. Jego należałoby skazać. Inteligentny, wykształcony człowiek, opuszczający bezstrosko rodzinę, żonę i dzieci, aby uciec niefrasobliwie z rządzonego przez reżim kraju, zdawał sobie doskonale sprawę, jakie konsekwencje poniosą jego najbliżsi. Niechęć w szkole, na uczelni, w pracy. Na każdym kroku szykany i utrudnienia, zaświntuszona opinia, zachlastane papiery. O wyjeździe za granicę nie ma mowy. Krótko rzekłszy: egoista wybiera wolność na Zachodzie kosztem długoletniej, często dozgonnej niewoli tych, którym dał życie, których powołał na świat, którzy być może kochają go i potrzebują... (pojedyncze oklaski) ...a których perfidnie zdradził!

Reporterzy:

— Zgadzam się z nim.

— Ja też.

— Świetny temat na osobny artykuł.

— Gość wie, co robi.

— Doskonałą linię obrony przyjął.

Sędzia:

— Apeluję o zachowanie spokoju!

Andrzej W.:

— Powinien odpowiadać za nich przed Bogiem i ludźmi do ostatniego tchnienia. Powinien troszczyć się o żonę; uczyć, wspomagać i wychowywać synów, dzielić z nimi reżimowy chleb...

Mężczyzna w ostatnim rzędzie płakał bezgłośnie, ukryty za plecami tych, którzy siedzieli przed nim i którzy coś tam musieli usłyszeć i zrozumieć, bo zwrócili ku niemu swoje groźne, surowe twarze.

— ...Tysiące, dziesiątki tysięcy takich wyrodnych ojców i pozbawionych skrupułów matek wyemigrowało w ten sposób z Polski łamiąc życie swoim dzieciom, druzgocąc im kariery i odcinając wszystkie drogi do świata. Nas nie obchodzą jednak w tej chwili te tysiące i dziesiątki tysięcy, nas obchodzi w tej chwili wyłącznie jeden człowiek — ojciec Jacka i Bernarda T., samolub, którego dezercja pchnęła w końcu opuszczonych synów do zbrodni.

Mężczyzna z ostatniego rzędu twardych, kanciastych ławek złapał się za serce i upadł na zdeptaną setkami nóg podłogę. Woźny i jakiś jegomość w jaskrawoniebieskiej marynarce wywlekli go na korytarz. Przywołano lekarza. Lekarz zbadał pobieżnie Jana T. i polecił wezwać pogotowie. W momencie, kiedy karetka wiozła powalonego zawałem karykaturzyste do szpitala, mecenas Andrzej W. kończył swoją płomienną mowę, apelując w dramatycznych słowach o złagodzenie kary.

Po naradzie, o godzinie czwartej wieczorem, sąd wyższej instancji ogłosił prawomocny tym razem wyrok. Jako się rzekło, Jacek T. skazany został na dwanaście lat więzienia z zaliczeniem dotychczasowego aresztu. Do chwili ukończenia dwudziestu jeden lat miał przebywać na oddziale dla młodocianych.

Wyrok na Bernarda został utrzymany w mocy. Śmierć. Nie dopatrzono się w wystąpieniu mecenasa Andrzeja W. okoliczności pozwalających zredukować karę. Sędzia uzasadnił wyrok lakonicznie: gdyby każdy, komu z takich czy innych powodów zabrakło ojca, chwytał za broń, aby rabować i zabijać, kraj zmieniłby się w gniazdo przestępstwa. Skazanemu powodziło się stosunkowo dobrze — nie brakło mu pieniędzy; miał mieszkanie i samochód, prowadził interes na rynku. Czyn, który popełnił z premedytacją i okrucieństwem, nie znajduje żadnego usprawiedliwienia i żadnego wytłumaczenia poza żądzą zdobycia pieniędzy w nieuczciwy, zbrodniczy sposób. Dla takich jednostek nie może być miejsca w praworządnym społeczeństwie. Takie jednostki są dla społeczeństwa stałym zagrożeniem i rozprzestrzeniającą się zarazą, czego najlepszym dowodem jest fakt, iż Bernard T. wciągnął w swoje kryminalne plany młodszego o ponad dwadzieścia lat brata.

A więc śmierć! Śmierć! Pozostał już tylko ostatni promyk nadziei — prosić Radę Państwa o łaskę.

•

W kilkanaście dni później, w czwartek trzydziestego marca osiemdziesiątego dziewiątego roku Gejsza powiła szczęśliwie syna. Przyjechał z tej okazji ojciec i zabawił w Łodzi dwa tygodnie roztaczając nad córką i wnukiem opiekę — najpierw w szpitalu, potem w domu. Piętnastego kwietnia odwiedził nieoczekiwanie Gejszę Francis James Moliński. Była to już jego trzecia wizyta u Gejszy po aresztowaniu Jacka i po raz piąty czy szósty Szkot zaproponował Barbarze małżeństwo. Dziecko nie przeszkadzało mu; gotów był zaadoptować je i uznać za swoje. Chwilami nawet wmawiał Gejszy, iż malutki Jack może naprawdę pochodzić z jego nasienia. Terminy zgadzały się przecież... Kobieta jest niby w tych sprawach nieomylna, ale kto wie? Dobrze byłoby im razem w Glasgow. Mieszkaliby osobno, z dala od rodziców, którzy zaakceptowali już zresztą Barbarę jako przyszłą synową i chcieliby jak najszybciej ujrzeć wnuka.

Gejsza zaczęła z wolna wahać się i ulegać. Nie, oczywiście, że nigdy nie zapomni o Jacku — będzie do niego pisać, będzie wysyłać mu paczki i pieniądze, co jakiś czas przyleci do Polski i odwiedzi go w więzieniu, a kiedy Wicher po jedenastu latach i dwóch miesiącach wyjdzie na wolność, będą jeszcze obydwoje wystarczająco młodzi, aby do siebie wrócić (nie wierzyła w to specjalnie), aby się pobrać (James nie odmówi jej przecież rozwodu) i wychowywać wspólnie dziecko. Tymczasem jednak trudno wymagać od niej skrajnych poświęceń — całkowitej rezygnacji z uciech tego wspaniałego świata, wyrzeczenia się miłości i wyjazdów, alkoholu, strojów, zabaw, muzyki i tańca. Nie ma zamiaru krążyć jedenaście lat w pokutniczej siermiędze między domem a więzieniem. Poza tym synek nie powinien wzrastać bez ojca. Zmiana powietrza wyjdzie małemu i Gejszy na zdrowie. Zapomną o niej trochę w tym mieście i w tej kamienicy; nikt nie będzie dokuczał dziecku na podwórku i w szkole, że jest synem bandyty. Mieszkanie odstąpi rodzicom albo wynajmie jakiemuś cudzoziemcowi i zarobi na tym dziesięć-piętnaście tysięcy dolarów. Ostatecznie może je sprzedać.

Wszystko przemawiało za wyjazdem. Moliński sprawdził się, nie zawiódł w trudnych chwilach, nie robił jej wymówek, przestał urządzać sceny zazdrości, trudno natomiast przewidzieć, jaki będzie Jacek po odsiedzeniu kary. Może uznać, że Gejsza jest dla niego za stara. Może wyrzec się dziecka. Może popełnić kolejne przestępstwo. Kocha go, nie zdradziła go dotąd, ale czas poczynił w jej uczuciach wyłomy. Tęskniła za mężczyzną. Odzyskała już równowagę duchową i smak życia. Wiedziała, że szybko wróci do urody i formy — schudnie, strenuje brzuch, zacznie chodzić do solarium i do sauny.

Przyrzekła oniemiałemu ze szczęścia Jamesowi, że rozważy jego ofertę. Był delikatny: nie rzucił się na nią, nie próbował jej uwodzić. Siedział jak skamieniały w głębokim, skórzanym fotelu i patrzył na dziewczynę z miłością. Szepnął cicho, jakby się bał spłoszyć łaskawy uśmiech losu:

— Przysięgam, że nie będziesz tego żałować.

— Wierzę. Muszę jednak zrobić kilka zastrzeżeń, James.

Zbladł i zapytał:

— Jakich?

— Formalnych. Wyjdę za ciebie i pojedziemy do Szkocji, gdybym jednak zechciała odejść, nie będziesz mi tego utrudniał. Zrozumiałeś mnie?

— Tak.

— I co?

— Zgoda.

— Nie będziesz także próbował zatrzymać dziecka.

Moliński odetchnął, bo spodziewał się innych zastrzeżeń. Powiedział skwapliwie:

— Nie będę, Barbaro.

— Dasz mi to przed ślubem na piśmie.

— W każdej chwili.

— Great, wystąpię jutro o paszport.

Cierpiał lecz milczał, kiedy jej smutne, zamyślone oczy uciekły nagle w jakiś inny, nieznany mu świat. Postanowiła zobaczyć się z Jackiem i uprzedzić go o swoim wyjeździe. O tym, że wychodzi za mąż, nie wspomni, żeby go nie ranić. Biedny głuptas! On też nalegał, aby wzięła z nim ślub w więzieniu i dała dziecku jego skompromitowane nazwisko. Wykluczone! W tej grze synek był najważniejszy; Jacek nie stanowił już mocnej karty w talii zamiarów i planów. Będzie rozpaczał; straci jednocześnie dziecko, kochankę i brata. Wzdrygnęła się. Potworne przeznaczenie. Tak czy owak, ma wobec Jacka powinność. Trzeba go namówić, aby nie marnował czasu, który można przecież zainwestować w naukę języków, w lekturę, w samodzielne studia. Kto wie, może mógłby nawet coś napisać? Nie wątpiła w jego talent i zdolności. Musi dbać o siebie — gimnastykować się, ograniczyć palenie, myć trzy razy dziennie zęby elmexem, który dostarczy mu podczas najbliższego widzenia i który będzie mu stale wysyłać z Glasgow wraz z czekoladą, gumą do żucia i witaminami.

Nieszczęsny chłopak — pomyślała i uśmiechnęła się serdecznie do Francisa Jamesa Molińskiego.

Po wyroku Bernard przewieziony został z aresztu śledczego do zakładu karnego w pewnym dużym wojewódzkim mieście. Karcer usytuowany był przy ulicy, której patronował znany bojownik o niepodległość kraju, lecz ludzie mówili, że jest to po prostu ulica Wisielców. Nawet dureń mógłby wysnuć wniosek, że w więzieniu tym kat miał sporo roboty, a to z tego powodu, iż pod murem okolicznego cmentarza leżało wielu sławnych morderców, których mrożące w żyłach zbrodnie stanowiły kiedyś żer dla środków masowego przekazu i bulwersowały społeczeństwo.

Ten sam wniosek wysnułby również dureń w Łodzi, gdyby zestroił sobie więzienie przy Stokowskiej z cmentarzem na Dołach. Spoczywa tu między innymi Stasio Modzelewski, osławiony wampir z Gałkówka, Dębiński, który w latach siedemdziesiątych tworzył parę z Federem, Lech oraz Zakrzewscy, groby tych ostatnich wszelako zostały pewnej nocy zdewastowane przez rodzinę ofiar, które Zakrzewscy usunęli bestialsko ze świata.

Nie jest więc dla środowiska przestępczego tajemnicą, gdzie się wiesza: w Łodzi, w Warszawie, w Tarnowie, we Wrocławiu i w kilku innych miastach, z których jedno miało być dla Bernarda ostatnią ziemską przystanią.

Siedział w drugim pawilonie na oddziale dla skazanych — nie sam, jak to sobie wyobrażają niektórzy nasi filmowcy i pisarze; człowiek czekający na śmierć nigdy nie jest sam, zawsze ma towarzystwo dwóch, trzech albo i czterech doświadczonych recydywistów, którzy za niego odpowiadają, pilnując, aby nie popróbował ucieczki, aby nie popełnił samobójstwa, aby nie okaleczył się, nie zranił, nie nadmuchał sobie policzków, nie wtarł w udo czy łydkę jadu z zębów i tak dalej. Odsiadujący długie kary więzienia recydywiści dbają o skazanego na śmierć kamrata jak o faworytne dziecko.

Przebywał zatem Bernard w czteroosobowej celi z niejakim Cwajbratem (dziesięć lat za włamania i rozboje), z Michą (dwanaście lat za uduszenie żony, którą przyłapał w łóżku z kochankiem) i z Pietruchem (piętnaście lat za znęcanie się nad rodziną i wyłupanie oka jedynaczce). Straszni owi panowie byli początkowo wobec Bernarda nieśmiali i zakłopotani. Patrzyli na niego jak w tęczę, i jak w tęczę patrzyli na niego podczas spacerów wszyscy więźniowie — raz, że był gościem inteligentnym i wykształconym: magistrem, doktorem, wkrótce nazwali go Profesorem; dwa, że dokonał głośnego i nieprawdopodobnego zamachu na konwój bankowy, że strzelał, że zabił, że zrabował pięćdziesiąt milionów, że zdążył jakoś dwanaście milionów przepuścić, że otrzymał kaes (czapę, krawat, pętelkę, sznurek) i że w obliczu tej przerażającej perspektywy trzymał się dzielnie i godnie.

Z czasem nawiązała się między nimi nić porozumienia i sympatii. Cwajbrat, aby pocieszyć Bernarda, wyraził któregoś dnia opinię, iż przeniesienie skazanego na czapę więźnia z aresztu śledczego do regularnego mamra nie rokuje wcale tak źle, jakby mogło się wydawać.

— Jest szansa — powiedział. — Gdyby nie było de la szasa, to by pana w ogóle nie ruszali i skrócili na miejscu.

Micha, biegły w kryminalnej rutynie, przytaknął Cwajbratowi:

— Na miejscu! Ciach i do podziemia, byle tylko nie robić sobie kłopotu, bo na każdy transport kaesiaka z aresztu do pudła trzeba mieć zgodę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Nie poskąpił również Bernardowi pokrzepy trzeci współlokator, Wincenty Pietruch:

— Jak by nie brać, panie kolego, nie pociągną pana wcześniej niż za dziewięćdziesiąt dni. Do tego czasu możesz pan spać spokojnie. Rada Państwa bada każdą prośbę o gardło i trwa to zwykle trzy miechy.

Informacje te zdawały się nie robić na Bernardzie większego wrażenia. Był pogodny, chwilami nawet wesoły. Nie stracił apetytu, dobrze trawił, grał z Cwajbratem w warcaby. Sposępniał dopiero w końcu kwietnia, po otrzymaniu od żony listu z szeregiem czarnych doniesień: babka zmarła, ojciec z trzecim zawałem w szpitalu, ta stara (skreślenie) Gejsza wyjechała do Anglii z jakimś ciulem, a ona, Haneczka, ukochana jego połowica, byłaby wdzięczna, gdyby Narduś dał jej PRZEDTEM rozwód.

Ojca i babki żałował, żona była mu obojętna. Najbardziej poruszyła go wiadomość o wyjeździe Gejszy, wyobrażał sobie bowiem, jak głęboko przeżywa to brat. Ostrzegał go, do czego zdolna jest kobieta. Kretyn! Kto wie, czy nie sypnęła? Obliczył, że Jacek wyjdzie w najgorszym razie na wolność przed trzydziestką, a może nawet dużo wcześniej. Będzie miał jeszcze przed sobą kawał życia.

Otrząsnął się w tydzień z apatii, co Cwajbros, Micha i Pietruch przyjęli z zadowoleniem:

— Nie trza martwić się z góry.

— Czas jeszcze, czas!

— Niech pan, panie kolego, zrobi coś, żeby wzięli pana PRZEDTEM do szpitala.

W celi oprócz dwóch piętrowych łóżek był kwadratowy stolik, cztery krzesła, umywalka, ogrodzony mrożonym szkłem sedes z bieżącą wodą i głośnik radiowy, dzięki któremu mogli wysłuchiwać codziennie wiadomości. Ponadto każdy więzień miał własną szafkę, a w niej łyżkę i widelec (bez noża), metalowy garnuszek, przybory do pisania, papeterię, mydło, ręcznik i wiktuały z paczek, które nadesłała rodzina. Jeśli o kimś nie pamiętali najbliżsi, zaopatrywał się w żywność w kantynie więziennej a jak nie miał pieniędzy, bo mu się, dajmy na to, nie chciało pracować, to pomagali mu kumple.

Niby wszystkich obowiązywała robota — społeczna (radiowęzeł, biblioteka porządkowanie i sprzątanie) oraz odpłatna, na tak zwaną wypiskę (krawiectwo, szewstwo, stolarka i tak dalej). Społeczna była przez władze więzienne niżej notowana (garnęło się do niej wielu wałkoni) niż odpłatna, którą obowiązkowo musieli podjąć ludzie obciążeni finansowo. Cwajnos zatem, chcąc nie chcąc, pracował w introligatorni, a Micha i Pietruch obijali się w kuchni lub w magazynie. Bernarda nikt nie agitował do roboty. WIADOMO. Na tym kończyły się jednak przywileje skazanego na śmierć. Jadł to samo, co inni. Mógł palić, ale wszyscy mogli palić. Mógł czytać, korzystać z łaźni i usług fryzjera, mógł chodzić na telewizję do świetlicy na spacery, na widzenia, na mszę, nie stanowiło to przecież żadnego wyjątku — każdy więzień miał te same prawa.

C.D.N.

Wideonotes

FILM TV WIDEO

Bojownik IRA, mający na sumieniu wiele terrorystycznych zamachów, który — kiedy ofiarami kolejnej akcji, zamiast żołnierzy, przypadkowo padają dzieci — postanawia więcej nie zabijać, a na dodatek gra na organach jak sam J. S. Bach; Gangster prowadzący luksusowy dom pogrzebowy specjalizujący się w kremacji i pośmiertnym makijażu, który to makijaż z prawdziwą pasją wykonuje zresztą sam właściciel. Brat gangstera, typ psychopatycznego sadysty, albo sadystycznego psychopaty — jak kto woli. Mały, gruby ksiądz z przeszłością komandosa, który wprawdzie zajmuje się przede wszystkim odbudową kościoła, ale doprowadzony do ostateczności potrafi także rozprawić się z całym garniturem goryli. Młodziutka, niewidoma siostrzenica księdza zakochana w byłym terroryście. I wreszcie tropiące głównego bohatera aż dwa niezależne oddziały policji oraz dwoje dawnych towarzyszy broni, przy czym zadaniem pierwszych jest go aresztować, natomiast drugich skłonić do powrotu do IRA, albo zabić...

Już sama ta galeria postaci sugeruje, że **„Modlitwa o śmierć" Mike'a Hodgesa** jest pozycją co najmniej osobliwą na naszym rynku wideo. A to jeszcze nie wszystko: chociaż bowiem autorzy filmu rzetelnie dbają o atrakcje fabularne — na naszych oczach ginie aż pięć osób, nie licząc statystów, i to każda w inny sposób — tak naprawdę interesuje ich jednak zupełnie co innego. I to nie byle co: sens ludzkiego życia i możliwość jego odmiany na lepsze w zgodzie z Bogiem i ludźmi. Nie tylko toczą się na te tematy długie i zawiłe rozważania teoretyczne, ale są one również najważniejszym motorem krwawych wydarzeń. Jednym słowem: istny „biały kruk"!

Oglądanie czegoś takiego sprawia miłośnikowi kina coraz rzadszą dzisiaj przyjemność. Na ekranie zamiast manekinów oglądamy myślących i czujących ludzi. Pokazywane fakty są zaledwie wierzchołkiem góry lodowej uzasadniają je pytania znacznie bardziej zawiłe niż „jak by tu się z nią przespać?", czy „jak wykończyć faceta?". A przede wszystkim prawie stuletnie doświadczenia warsztatowe sztuki filmowej wreszcie nie są lekceważone; Hodges przykłada sporą wagę do plastycznej kompozycji kadru, tempa montażu i wielu innych drobiazgów powodujących, że świat na ekranie nie jest byle jaki. Kumuluje to przywaleniem bohatera w finale olbrzymim krucyfiksem.

Niestety, nic co dobre, nie trwa długo. Mniej więcej po pół godzinie spijania tego miodu, czuć w nim coraz więcej dziegciu, aż w końcu pojawia się niemiłe wrażenie, że mamy do czynienia z tzw. przegięciem pały, czyli zamiast „Rambo" czy „Bonda" oglądamy ich negatyw.

Już **Lew Tołstoj** nauczał, że postaci dzieła sztuki nie powinny być zbyt jednostronne, zaczynają bowiem wówczas podejrzanie szeleścić jakby zrobiono je z papieru, stąd między innymi takiego łajdaka jak Dołochow opatrzył pięknym uczuciem do matki. Głównym grzechem „Modlitwy o śmierć" wydaje się brak szacunku dla wskazówek autora „Wojny i pokoju", co skutkuje kreacją w miejsce żywych bohaterów, rachitycznych majaków idei.

Zamiast więc Jacka, mamy Zimnego Gangstera, zamiast Anny, Skromną Zakochaną Dziewczynę, a zamiast księdza, Nawróconego Grzesznika. Najgorsze jednak, że także główny bohater z Martina zmienia się szybko w Pełnego Rezygnacji Poszukiwacza Sensu Życia. A to już tylko jeden krok do Rambo (Niezwyciężonego Pogromcy Zła) i Bonda (Superszpiega) — różnice mają charakter jedynie ilościowy. To trochę tak, jak ze stojącymi po obu stronach barykady przeciwnikami: jeden wprawdzie krzyczy „nie", a drugi „tak", ale może to zwieść tylko rozgorączkowany tłum. Znawcy wiedzą, że w istocie obaj przemawiają tym samym językiem i w razie czego łatwo im przyjdzie zamienić się miejscami. W życiu nazywa się to polityką, w filmie natomiast grożącym poważnymi konsekwencjami błędem. Jedną z tych konsekwencji jest łatwość odgadnięcia zakończenia, tyle tylko, że w wypadku Rambo czy Bonda wiadomo, że bohater przeżyje, Martina zaś, że zginie. W końcu nawet Isaura musiała połączyć się z Leonciem, chociaż zużyła na to aż kilkadziesiąt odcinków.

Oprócz tego zasadniczego defektu „Modlitwa o śmierć" ma jeszcze jeden, mały minus: wydaje się nie na czasie, co w wypadku filmu nie będącego arcydziełem ma niebagatelne znaczenie. Film Hodgesa dotyczy bowiem metafizyki, a metafizyka znikła ostatnio nawet z filozofii. Kreuje bohatera defensywnego, a począwszy od panien na wydaniu do prezydentów wszyscy opowiadają się dziś za ofensywą. Skłania do medytacji, tymczasem zaś gwałtownie rośnie sprzedaż gumy do żucia i przedmiotów o najwyższym standarcie — środek nie ma wzięcia.

Na szczęście „Modlitwa o śmierć" ma także co najmniej dwa atuty nie do pogardzenia. Po pierwsze, daje od dawna nieobecną na rynku wideo możliwość wyboru. Po drugie zaś można w niej zobaczyć jedną z najciekawszych, męskich gwiazd (czy, jak chcąc inni, antygwiazd) współczesnego kina, **Mickeya Rourke**, pamiętnego bohatera **„9 i 1/2 tygodnia"**.

Nie słychać jednak jakoś aby w kostiumie defensywnego straceńca wzbudzał takie namiętności wideomanek, jak w elegancko skrojonym garniturze i z szerokim repertuarem erotycznych pomysłów. Duch duchem, ale bez ciała ani rusz...

RYSZARD NAKONIECZNY

MODLITWA O ŚMIERĆ, scen. Edmund Ward i Martin Lynch, zdj. Mike Garfath, muz. Bill Conti, reż. Mike Hodges, aktorzy: Mickey Rourke, Bob Hoskins, Alan Bates, Sammi Davies, Christopher Fulford, Lian Neesom.

Farbowany biały kruk

Muzeum Kinematografii bogatsze

Czy film mógłby zaistnieć bez żywych aktorów? Oczywiście — Disney i inni rysownicy udowodnili to raz na zawsze. Czy bez kamery? Bez potężnych jupiterów? Bez aparatury dźwiękowej? Naturalnie. Galopujący kowboj narysowany na kartkach zeszytu, które się bardzo szybko wertuje, jest już filmem. Zamiast jupiterów wystarcza tu zwykłe światło dnia. Dźwięk? Przypomnijmy sobie zawód trapera, robiącego podkład muzyczny na pianinie, podczas projekcji niemych filmów... Ale czy mógłby istnieć film bez plakatu? Nigdy. Bez niego wszak nikt by o nim nic nie wiedział, niezależnie od tego, jakim by był i w jaki sposób został zrobiony.

Uciekłem się tu do groteskowego dość żartu, aby uzmysłowić Wam i sobie samemu w całej pełni, jak bardzo ta zadrukowana obrazkami i słowami płachta papieru związana jest z filmem, z jego najgłębszą istotą i również z jego historią, a też i z przyszłością — bo niezależnie od całego nowoczesnego systemu reklamy i informacji, jaki pojawić się może za lat tam lat, plakat będzie istniał. Jest on wszak elementem nobilitującym dany film, uszlachetniającym go w sposób, który w pełni zrozumieć mogą i docenić jedynie ludzie o duszy bibliofilów: jest on rodzajem szlachetnego exlibrisu — jeśli pojmuje się, co owa szlachetność i to porównanie oznaczają. Ktoś zaraz powie, dlaczego nie podkreślam handlowych, merkantylnych funkcji plakatu, dla których przede wszystkim został on stworzony, począwszy od pierwszych afiszy reklamujących wynalazek braci Lumiere? Ano, bo są one oczywiste. Ale oczywistym jest dziś też fakt, że plakaty — obok obrazów i grafik — wiszą na ścianach mieszkań. Lecz o tych przeróżnych funkcjach, związkach i zależnościach plakatu filmowego zapisano całe już strony.

Pozwoliłem sobie na tych kilka uwag z tego względu, że łódzkie Muzeum Kinematografii wzbogaciło się o nowy, ze wszech miar wartościowy zbiór eksponatów, za sprawa otwartego w maju br. **Międzynarodowego Salonu Plakatu Filmowego**, którego owo Muzeum jest organizatorem. Dodam, że impreza ma mieć charakter cykliczny. Po prezentacji w Łodzi ekspozycja wyruszyła w świat najpierw do Bułgarii, odwiedzi następnie inne kraje, będzie też pokazywana w różnych miastach Polski.

W jednym z punktów regulaminu napisano, że nadesłane plakaty przechodzą na własność organizatorów i znajdą się w zbiorach Muzeum Kinematografii. Nadesłano 371 plakatów 96 autorów z 25 krajów. Do konkursu i wystawy międzynarodowe jury zakwalifikowało 245 plakatów 93 artystów. Wydano też staranny, dwujęzyczny katalog kolekcji.

Jak wiadomo, samo Muzeum Kinematografii w dawnym pałacu Scheiblera wciąż adaptuje ów gmach do nowych celów, odnawia go i rekonstruuje. W istnych bólach i mękach — bez przesady. Nie mogąc pozbyć się przez cztery lata niewygodnego lokatora w postaci Szkoły Muzycznej, zajmującej cały osobny budynek, Muzeum cierpi na niewyobrażalne kłopoty z właściwym magazynowaniem swoich, grubo ponad 30 tysięcy sztuk, liczących zbiorów. Dobrze zatem, że nowa kolekcja wędruje po świecie...

ANDRZEJ GRUN

A może do kina?

Dziś proponujemy francuski obraz **Jacquesa Deraya — „Chora z miłości"**. Dziewczyna, zmysłowa, naturalna w odruchach i gestach, szukająca w partnerze nie tylko miłości, ale i siły, oparcia — jest przedmiotem zainteresowania dwóch mężczyzn. Pierwszy z nich do doświadczony mężczyzna w sile wieku, bogaty i ustawiony życiowo. Drugi zaś młody lekarz startujący dopiero w życie. Nad miłością zawisa cień choroby i śmierci: po perypetiach charakterystycznych dla miłosnego trójkąta, dziewczyna dowiaduje się, że jest nieuleczalnie chora na raka...

Warto dodać, że pomysłodawcą filmu był **Andrzej Żuławski**, który początkowo sam przymierzał się do jego realizacji. W rolach głównych występują m.in. **Nastassija Kinski, Jean Hugues Anglade, Michel Piccoli** i inni.

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na twój telefon czekają redaktorzy:

24 sierpnia — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

31 sierpnia — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godzina 10—15.

SPRAWOZDANIE Z DYŻURU REPORTERA z dnia 17 sierpnia 1989 roku.

1. Pan **Tadeusz Pocicjewski** z ul. Abramowskiego jest zdegustowany fotoreportażem Grzegorza Gałasińskiego przedstawiającym kolejkę po odżywki dla dzieci, a jeszcze bardziej zirytował go podpis pod fotosami. Pan T. P. odczytał to, jako wezwanie do świadomego ograniczania urodzin dzieci, co kłóci się z jego przekonaniami moralno-etycznymi.

2. Pan **Andrzej Majewski** z ul. Powstańców Wlkp. 4 blok 40 powiadomił, że na tejże ulicy od miesiąca jest zapchana studzienka ściekowa i smród, szczególnie teraz, latem, jest bardzo dokuczliwy. ADM z osiedla Żubardź była powiadamiana wielekroć, ale jakoś nikt nie zjawia się, by studzienkę ową przepchać.

3. Pan **Ireneusz Barański** z ul. Podgórnej zawarł umowę ze spółdzielnią „Zarzew", że będzie korzystał z parkingu spółdzielczego i wpłacił wadium 32 tys. zł. Po niecałym roku wyrzucono go stamtąd. Od maja pan I. B. usiłuje odebrać swoje pieniądze. Bez skutku. Zarząd jakoś nie kwapi się z ich oddaniem, choć pan I. B. zdarł zelówki odwiedzając urzędników wspomnianej spółdzielni.

4. Pan **Jan Pakuła** z ul. Pabianickiej róg Staroruzkiej podał, że od roku nikt nie kosi trawnika znajdującego się przy tych ulicach. Teraz tam wybujały już spore chwasty, co wcale nie przydaje otoczeniu uroku.

5. Pan **Bogdan Sawicki** z ul. Dzierżyńskiego żali się, że jest pechowcem, gdyż ilekroć chce zapisać się na kolejną przedpłatę na jakieś wydawnictwo w księgarni, zawsze okazuje się, że zapisy już były. Pan B. S. pyta: czy księgarnie nie mogłyby w swoich oknach umieszczać wywieszki, że zapisy na taki a taki tytuł będą odbywać się od tego dnia do tego? Przecież to niewielki wysiłek, a on wreszcie miałby encyklopedię lub zbiór sztuki świata.

6. Pan **Tadeusz Poksiński** z ul. Mieszczańskiej 15 pragnie lokal po swojej matce przekazać Urzędowi Dzielnicowemu Łódź-Górna. W trakcie załatwiania różnych (nie z jego winy zaistniałych) przeszkód, był niegrzecznie potraktowany przez urzędniczki z tegoż urzędu. Więc 4 lipca br. złożył do naczelnika skargę, a odpis przesłał do Urzędu m. Łodzi. I do dzisiaj nic, cicho, na jego pismo nikt nie odpowiedział. Dlaczego?

7. Pan **Zygmunt Walczak** z ul. Marchlewskiego 68 złożył w Urzędzie Gminnym w Pęczniewie, woj. sieradzkie podanie na przydział działki nad Zalewem Jeziorsko. Było to w 1987 r. Zresztą chętnych nabycia działek było wielu. I dotąd nie otrzymał odpowiedzi czy działki będą sprzedawane czy nie. Myślę, że Urząd Gminny w Pęczniewie miał dość czasu na podjęcie decyzji, a zwykła przyzwoitość nakazuje udzielić odpowiedzi tym, którzy złożyli opłacone znaczkami skarbowymi podania.

8. Pani **Jolanta Kieliszkiewicz** z ul. Kilińskiego pyta dlaczego właściciel budki stojącej obok dworca Łódź-Fabryczna bierze za paczkę papierosów „Benstar" aż 1.500 zł, skoro kosztują one w sklepie 500 zł? Czy ma do tego prawo? Też chciałbym to wiedzieć.

EUGENIUSZ IWANICKI

OGŁOSZENIA DROBNE

PLAC 10 000 m, dwie bocznice kolejowe, telefon, waga samochodowa, biura w centrum Łodzi — do wynajęcia 36-31-76. 4056-g

MURARZY, cieśli, pomocników zatrudnię 15-60-23. 3958-g

USG-SERCA, brzucha, ciąży. Test zagrożenia zawałem. Specjaliści „Damed", 57-79-44, Julianowska 20. 45344-g

ZE SLAJDÓW — negatywy, odbitki na materiałach zachodnich — wykonuje „STUDIUM" Łódź, Wacława 9 (od Tatrzańskiej). Rycel. 43618-g

OGŁASZAJ SIĘ W „ODGŁOSACH"

SPÓŁKA (jgu) KUPI, WYDZIERŻAWI POWIERZCHNIĘ BIUROWĄ (nieruchomość) na cele biurowe o pow. 300—500 m kw.
Oferty: Łódź 1, skr. poczt. 369.
2513-k

Markus

UZUM „MARKUS" SA w Łodzi, ul. Kraszewskiego 22 posiada do sprzedaży SAMOCHÓD marki „ROBUR", rok prod. 1983, LD 3000, nr silnika 331-15032, nr podwozia 29324/11248, zużycie 60 proc., ład. 2.600 kg, cena: 2.400.000, — zł.
Oferty: Łódź 1, skr. poczt. 369.
2510-k

KOMBINAT BUDOWY ELEKTROWNI
Zakład Sprzętowo-Transportowy Budownictwa w Bełchatowie
ul. Przemysłowa 10 tel. 215-60 Dział Techniczny

ogłasza

PRZETARG OGRANICZONY

na sprzedaż następujących

CIĄGNIKÓW ROLNICZYCH

Lp.	Nazwa i typ	Nr rej.	Rok prod.	Stop. zuż.	Cena
1.	**URSUS C-360**	**PTA-545B**	**1980**	**65 proc.**	**1.130.000, —**
2.	**URSUS U-902**	**PTB-535E**	**1983**	**65 proc.**	**2.450.000, —**
3.	**URSUS U-1201**	**PTB-401E**	**1981**	**65 proc.**	**2.940.000, —**

Pojazdy można oglądać codziennie w godz. 8—14.

Przetarg odbędzie się w siedzibie zakładu w Bełchatowie, **w dn. 6.09.1989 r., o godz. 10.**

Przystępujący do przetargu winni wpłacić wadium w wys. 10 proc. ceny wywoławczej wyłącznie do kasy zakładu (dowód KP) najpóźniej w przeddzień przetargu, do godz. 12.

Warunkiem uczestnictwa w przetargu jest okazanie aktualnego zaświadczenia z Urzędu Gminy bądź dowodu zapłaty podatku rolnego.

Zakład nie ponosi odpowiedzialności z tytułu braków, wad ukrytych i uszkodzeń. Zastrzega się odstąpienie od przetargu bez podania przyczyn.

2820/K

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

MY Z POKOLENIA ZMP

W 1952 roku uzyskałem maturę. Wtedy — mówiąc oficjalnym językiem owego czasu — było to zakończenie 11-tej klasy i zdanie egzaminu dojrzałości. Lata mojej nauki szkolnej w naszej i powszechnej historii należą do epoki, która ma uznaną nazwę — okres stalinowski. Muszę wymienić tę nazwę, jakkolwiek w odniesieniu do historii naszego kraju nazwy tej nie uznaję, bowiem zniekształca ona a nawet fałszuje historię. Stalinizmu w Polsce nie tworzył Józef Stalin i jego ludzie. Okres rozpoczęli, tworzyli i kształtowali sami Polacy tylko przy pewnej pomocy i nadzorze ludzi z ojczyzny Stalina. Dlatego nam nie wolno zasłaniać się Józefem Stalinem, my musimy odszukać naszych własnych, rodzimych ideologów oraz tych, którzy hasła tej ideologii wprowadzali w życie. Nazywanie okresu lat 1948—1955 w Polsce tylko jako okres stalinowski — oprócz fałszowania historii — daje poczucie bezpieczeństwa wielu rodzimym ludobójcom.

W klasie dziewiątej rozpoczynał „nieśmiało" penetrację naszych mózgów przedmiot o nazwie „Nauka o Polsce Współczesnej". Na jednej z pierwszych lekcji, które były taką „rozmowa z panem profesorem o współczesności", jeden z kolegów zdawał sprawozdanie z audycji radia „Głos Ameryki", wysłuchanej u sąsiadki — jak to sam mocno podkreślił — i powiedział: „Jedna bomba atomowa i wrócimy znów do Lwowa". Na drugi dzień nie przyszedł do szkoły i od tej pory już go więcej nie widziałem.

Historia przez wszystkie lata nauki mówiła o siłach wytwórczych i stosunkach produkcyjnych, formacjach społeczno-ekonomicznych, walce klas i co się działo w ruchu robotniczym. Gdyby przytoczyć dzisiaj tezy i komentarze wygłaszane ówcześnie zgodnie z programem nauczania przez historyków i polonistów, to byłyby uznane jako twory schizofreników lub innych psychopatów. Henryk Sienkiewicz był fałszerzem historii. Juliusz Słowacki rozpieszczonym synkiem mamuni a gdyby w okresie życia Adama Mickiewicza było Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, to mógłby być jego prezesem. Obowiązkowa lektura — to dzieła socrealizmu. Spośród nich pamiętam do dzisiaj takie tytuły: „Nr 16 produkuje", „Na przykład Plewa", „Przy budowie". To ostatnie „dzieło" napisał Tadeusz Konwicki.

Liceum ukończyłem z nagrodą i jako członek ZMP. Nagroda to nie był jednak dyplom przodownika nauki i pracy społecznej, który umożliwiał studia na każdej uczelni bez egzaminu wstępnego. Nie wiem dlaczego tak się stało. Miałem czerwony krawat, zielonoszarą koszulę, na pochodach majowych zawsze coś niosłem, a jednak coś musiało być, co mnie tej bardzo wygodnej nagrody pozbawiło.

W 1952 roku rozpocząłem studia politechniczne. Pierwsze lata to przygniatająca liczba godzin różnych merytorycznych a przede wszystkim pozamerytorycznych przedmiotów. W grupie przedmiotów, które miały utrzymywać młodzież w atmosferze ogłupienia i intelektualnej presji fałszywych doktryn filozoficznych znajdowały się: podstawy marksizmu, ekonomia polityczna i szkolenie wojskowe. I znów „da capo" siły wytwórcze zalewały umysły. O tym, jakie tradycje czerpie Ludowe Wojsko Polskie z walki klasy robotniczej dowiadywaliśmy się co tydzień. Ten temat powtarzał się w jednakowym wydaniu dosyć często, bo w owych latach nie był jeszcze dokładnie opracowany przez propagandę, a dowolna interpretacja nie była do pomyślenia. Co by było, gdyby ktoś zapytał o KPP? Drenowania naszych mózgów podczas studiów nie przerwała śmierć Wielkiego Chorążego Pokoju. Wychodziliśmy po każdym roku studiów bardziej uformowani, zdyscyplinowani i zuniformizowani. Każdego dnia pojawiali się nowi działacze, którzy tracili szczery uśmiech i przyjmowali upozorowaną powagę odpowiednią do zajmowanego szczebla w hierarchii ZMP i dalej.

ZMP rządziło w uczelni wszechwładnie, a jego zebrania wypełniały wielokrotnie godziny nocne, bo normalnego czasu zawsze brakowało. W gablotach „Błyskawicy" piętnowano wszystkich, którzy mieli własny stosunek do życia, zachowali indywidualność i odrzucali uniformizm masowych aktów kultury. Taka atmosfera studiów była przez zdecydowaną większość akceptowana, a nawet tworzyła liczne kadry, jeżeli nie działaczy, to przynajmniej tchórzliwych i akceptujących ciągle kłamstwa obywateli dojrzałego życia. Nawet rok 1956 u wielu tych ludzi nie wywołał refleksji sięgających do głębi duszy. Zresztą rok 1956 nie oczyścił narodu i społeczeństwa z kłamstw historii a powrót do „normalnych" form kształtowania młodzieży nastąpił bardzo szybko. Pojawiają się nowe organizacje modzieżowe jednorodne ideologicznie, które kształtują swoje działanie w oparciu o piękne tradycje ZMP. Jeszcze wiele lat potem, a było to w początkach lat 70-tych słyszałem wielokrotnie od działaczy wysokiego szczebla państwowego (ambasadorzy) wypowiedziane z emfazą: „My pokolenie ZMP..."

Tak, pokolenie ZMP to jest moje pokolenie. To jest pokolenie oszukane, pokolenie oszukane do tego stopnia i tak zaślepione, że po wielu latach doświadczeń dojrzałego życia nie może jeszcze zdobyć się na pewną dozę refleksyjności i samooceny. To pokolenie jest bastionem starego, stanowi państwową i polityczną ostoję wszelkiego zła wygenerowanego przez całe czterdziestolecie, pokolenie ludzi okłamanych, którzy uwierzyli, a potem stanowili sami elementy systemu, tworzącego kłamliwe hasła młodzieży następnych pokoleń. Dla tego pokolenia i dla mnie także kolejne historyczne wstrząsy społeczne nie były dostatecznym doświadczeniem i nauką. Nawet powiew wolności początku lat osiemdziesiątych wydawał się być tylko zagrożeniem dla naszej wspaniałej rzeczywistości.

Ja z pokolenia oszukanego i inni z następnych pokoleń kształtowanych przez kłamstwa nie naprawimy Rzeczypospolitej. Nie pozwala nam na to między innymi brak zaufania do siebie samych i ludzi, sceptycyzm, obawa przed pełnym oddaniem się sprawie, czy brak naturalnego optymizmu. Te czynniki wynikają z pełnej deformacji psychicznej wywołanej przez życie bez prawdy.

CEZARY S.

PRZECHODZI DO HISTORII

19 lipca 1989 roku wraz z wyborem prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego zakończyła swoją działalność Rada Państwa PRL dotychczasowa kolektywna głowa państwa, na czele której stał przewodniczący.

Pierwszą Radę Państwa w znanym kształcie powołał Sejm I kadencji w listopadzie 1952 roku. Ostatnią Radę Państwa 9-tej kadencji powołał Sejm w listopadzie 1985 roku. Rada Państwa zastąpiła urząd prezydenta, zgodnie z nową konstytucją uchwaloną 22 lipca 1952 r. przez Sejm Ustawodawczy R.P.

W skład Rady Państwa wchodzili: przewodniczący, czterech zastępców przewodniczącego, sekretarz i dziewięciu (od 1961 roku — jedenastu) członków. W ciągu blisko 37 lat w skład Rady Państwa wchodziło 101 (sto jeden) osób.!

Przewodniczącymi Rady Państwa było sześć osób: A. Zawadzki, E. Ochab, M. Spychalski, J. Cyrankiewicz, H. Jabłoński i W. Jaruzelski. Najdłużej przewodniczącym był H. Jabłoński — 13 lat, najkrócej — J. Cyrankiewicz — 15 miesięcy.

27 osób było zastępcami przewodniczącego Rady Państwa, z tego jedna (Ochab) była następnie przewodniczącym. Najdłużej zastępcą przewodniczącego był B. Podedworny — 14 lat, a T.W. Młyńczak i S. Kulczyński — po 13 lat. Najkrócej byli: Cz.. Wycech — 3 miesiące i B. Rumiński — 10 miesięcy.

W czasie 9-ciu kadencji Rady Państwa zmarło 13 członków, w tym 1 przewodniczący (A. Zawadzki) i 4 zastępców przewodniczącego (O. Lange, Z. Moskwa, B. Rumiński, Z. Tomal). Ze zmarłych najkrócej był członkiem RP. H. Kołodziejczyk — 5 miesięcy i J. Niećko — 1 rok. 25 osób zrezygnowało lub zostało odwołanych w trakcie kadencji. 86 osób pełniło w Radzie Państwa jedną funkcję a 15 osób więcej jak jedną np. najpierw członek potem zastępca przewodniczącego.

Kobiet było sześć — najdłużej była w Radzie Alicja Musiałowa — 13 lat, najkrócej Elżbieta Gacek — 31 miesięcy. Nie było kobiety — zastępcy przewodniczącego Rady Państwa.

Sekretarzy Rady Państwa było siedmiu — najdłużej J. Horodecki — 12 lat, najkrócej S. Skrzeszewski — 10 miesięcy. Najdłużej w Radzie Państwa zasiadali: Józef Ozga-Michalski — 28 lat, Jerzy Ziętek — 22 lata i Bolesław Podedworny — 15 lat. Najkrócej — Czesław Wycech — 3 miesiące, H. Kołodziejczyk — 5 miesięcy i Zdzisław Żandarowski — 6 miesięcy. Dwie osoby powracały do Rady po przerwie — F. Gesing i S. Ignar.

Do uprawnień Rady Państwa należało m.in. mianowanie ambasadorów oraz wydawanie dekretów, z czego w pierwszych latach często korzystano. Potem ilość dekretów ograniczono. Najbardziej znany dekret z 12.XII.1981 o wprowadzeniu stanu wojennego na obszarze Polski z dniem 13.XII.1981 roku. Po 37 latach Rada Państwa przeszła do historii Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

„WANDA"

Wanda Węgierska „Wanda" urodziła się w roku 1911. Gdy miała 10 lat wstąpiła do drużyny harcerek. Gdy uczyła się w gimnazjum im. Skrzypkowskiej w Łodzi objęła gromadę zuchową (drużynę) przy 2 Drużynie Harcerek im. Narcyzy Żmichowskiej. Przed wybuchem wojny polsko-niemieckiej i w pierwszych jej dniach brała udział w Pogotowiu Harcerek, którego zadaniem było przygotowanie i wzięcie aktywnego udziału w pracach przygotowawczych do odparcia agresji niemieckiej. Opiekowała się rannymi żołnierzami polskimi i jeńcami podrzucając im żywność, medykamenty i ubrania cywilne.

W październiku 1939 r. aresztowano jej ojca, którego wywieziono do obozu koncentracyjnego w Oranienburgu. Wkrótce rodzina Węgierskich otrzymała depeszę o jego śmierci. Wanda bez potrzebnych na podróż dokumentów, z samym tylko telegramem jedzie do obozu koncentracyjnego, gdzie od zaskoczonych jej tupetem gestapowców wymusza odbiór urny z prochami ojca. Na tę urnę składa obowiązującą ją do końca życia przysięgę zemsty na hitlerowcach.

Wstępuje do ZWZ (AK) gdzie przyjmuje rolę w wywiadzie skierowanym przeciwko Niemcom na terenie ich własnego kraju. Odbywa podróż z „Generalnej Guberni" do Westfalii, gdzie nawiązuje kontakty z tamtejszymi Polkami-emigrantkami przedwojennymi oraz Polkami wywiezionymi na przymusowe roboty w przemyśle zbrojeniowym. Przy pomocy tych kobiet i dziewcząt udaje jej się zebrać sporo cennych materiałów dla wywiadu wojskowego i gospodarczego. Po Westfalii odbywa częste podróże, w czasie których wyróżnia się inwencją i odwagą.

W kwietniu 1943 r. odbywa czwartą podróż do Westfalii mimo że jest już obserwowana przez gestapo. Zostaje aresztowana na terenie Niemiec. Kilkakrotnie przewożona z więzienia do więzienia przebywa w Berlinie, Warszawie, Łodzi i ponownie w Berlinie. W każdym z tych więzień jest kilkakrotnie badana i torturowana. Nie wydaje jednak żadnego nazwiska ani pseudonimu. Zostaje skazana na śmierć przez ścięcie gilotyną. Na kilka dni przed straceniem współwięźniarki-Polski ofiarują jej chusteczkę z wyhaftowanymi na niej konturami mapy Polski. Jest to prezent imieninowy. 23 czerwca 1943 r. wyprowadzają ją na stracenie. Zostaje ścięta gilotyną w więzieniu Ploetzensee w Berlinie.

Jako pamiątki po straconej pozostały w rodzinie wspomniana już chusteczka oraz książki z pisanymi na marginesie notatkami. Pamiątki te przechowały współwięźniarki i po wyzwoleniu przekazały je matce oraz pozostałej przy życiu rodzinie.

Dopiero teraz częściowo wyjaśniło się, że Wanda Węgierska była szpiegowana przez byłą członkinię drużyny harcerskiej. Kobieta ta (obecnie już nieżyjąca) zapisała się niechlubnie w historii harcerek łódzkich.

W 46 rocznicę śmierci Wandy Węgierskiej na murze nowego kościoła Matki Boskiej Dobrej Rady w Zgierzu została odsłonięta tablica poświęcona tej bohaterskiej harcerce. W uroczystości wzięli udział — siostra straconej Jadwiga Węgierska-Panderecka wraz z mężem, harcerki — byłe więźniarki z obozu koncentracyjnego w Ravensbrück ze swoją drużynową — ponad 90 lat mającą — Józefą Kantor i ufundowanym po wojnie sztandarem. Obecni byli także harcerze-żołnierze „Szarych Szeregów" i AK a także młodzi harcerze.

MIECZYSŁAW KOZAK

W OBRONIE ŚWIĘTA ULICY PIOTRKOWSKIEJ

Przeczytałem artykuł M. Koprowskiego „Święto deszczem haftowane" („Odgłosy" nr 27/1631). Sam byłem widzem, uczestnikiem „Imienin Pietryny" — w drugim dniu święta. Dlatego też pozwalam sobie na moje „trzy grosze"...

Mamy najpiękniejszą ulicę i... nie potrafimy należycie tego faktu wykorzystać, „sprzedać". Spójrzmy na Piotrkowską okiem ludzi nie zabieganych, kupujących.. Spójrzmy na tę ulicę okiem turysty. Turysty, najlepiej dolarowego. Spójrzmy, jak właśnie oni patrzą na Piotrkowską. Jak delektują się, podziwiają, fotografują zabudowę ulicy, jej poszczególne domy, fragmenty... Łódzka Piotrkowska jest taka piękna!!! Szanujmy to! I umiejmy „sprzedać" to z zyskiem.

Czy oddzielić „Imieniny P." od imprezy „Interfashion"? Może i nie potrzeba. Ale jeśli ma być razem — to zmieńmy jej program. „Imieniny Pietryny" — to wspaniała impreza, wspaniały pomysł „Dziennika Łódzkiego" (nisko chylę głowę!). I jak każda taka impreza powinna przynieść zysk. Zysk nie tylko finansowy... Powinna ściągnąć liczne rzesze turystów (krajowych i zagranicznych) i dać niezapomniane wrażenia. Czy wszystko musimy przeliczać na brzęk i szelest pieniędzy? Są jeszcze inne wartości! W każdym bądź razie — dla mnie są. A dopiero potem pieniądze.

Nie zgadzam się z M. Koprowskim, że na tegorocznych „Imieninach..." pojawił się III rzut artystów estrady polskiej. Czyżby do tego III rzutu zaliczać Elżbietę Wojnowską czy Jerzego Różyckiego? A może Danutę Stankiewicz? To prawda, że nie było wielkiej indywidualności, jak na święcie „GR" — gwiazdy gwiazd.

WIKTOR BIERYT

Z DROBIAZGÓW ROSNĄ PROBLEMY

Uważam, że nasz kraj jest bardzo bogatym. Wnioskuję po tym, iż u nas istnieje straszne marnotrawstwo i zaniedbania. Buduje się nowe maszyny, domy, urządzenia, natomiast nie pamięta się o dalszych ich losach. Wybudowano dom i oddano do użytku. Dom taki starzeje się bardzo szybko. Dlatego, że nie prowadzi się stałej, drobnej na pozór konsekwencji. Zaniedbane i nie malowane klatki schodowe, odpadające tynki nikt nie naprawia. Nikt nie stara się prowadzić drobnych napraw. Okna na klatkach schodowych nie odmalowane od czasu, jak tylko był wybudowany dom tj. od 30 lat. Przejścia w piwnicach nie odnawiane. Klatki schodowe zmywane raz na kwartał, blacharka nie odświeżana w ogóle. Domy się starzeją i ulegają szybszym poważnym uszkodzeniom.

Produkuje się dobra użytku domowego jak: pralki, lodówki, telewizory, odkurzacze itp., które nieraz przez drobną część stają się nieużyteczne. Lodówka jeszcze dobra, ale uszkodził się agregat, którego brak. W odkurzaczu zużyły się szczotki silnikowe, których brak powoduje, że odkurzacz staje się nieużyteczny. W pralce uszkodzeniu uległo łożysko, pralka staje się nieużytecznym gratem, przynajmniej na jakiś czas, itd., itp. Gdyby zwrócono uwagę na produkcję części, to niektóre urządzenia pracowałyby o wiele dłużej.

Druga sprawa, to jakość produkowanych wyrobów. Jest ona tak niska, że powoduje to dodatkowe reklamacje. Jest to bolączka w każdej dziedzinie, począwszy od artykułów spożywczych i przemysłowych a na usługach skończywszy. Kiedyś udało mi się kupić masło wprost z mleczarni i okazało się, że jest bardzo smaczne, a tylko dlatego, że jest świeże. To samo masło zakupione w sklepie jest nieświeże, staje się niesmaczne i zjełczałe i nieraz aż gorzkie.

Wędliny niższego gatunku jak kiełbasy: zwykła, mortabela, toruńska, krakowska jakościowo są bardzo złe, tłuste, niesmaczne; słonina lub po prostu łój wołowy, produkowane z nieświeżego mięsa, twarde, słone, żyłowate. Wędliny niższego gatunku nieraz nie nadają się do spożycia. Nie wiem, czy istnieją kontrole w sklepach mięsnych, jeżeli tak, to dlaczego nie zauważają, że niektóre rodzaje mięs nie powinny się znajdować w sklepie.

Można by pisać jeszcze wiele, bo w każdej dziedzinie są anomalie i niedorzeczności. Myślę, że jest to wynik faktu, że dozorujący jest niżej opłacany jak wykonujący. Niskie wymagania stawiane są personelowi dozorującemu. Personel ten jest źle traktowany.

ZENON K.

MIĘDZY NAMI NACZELNIKAMI

W tygodniku Waszym nr 25 z 18 czerwca 1989 roku w rubryce „Polemiki, listy, opinie" ukazał się list Zenona Kowalskiego pt.: „Między nami naczelnikami". Zenon Kowalski w liście tym zarzuca nieprzestrzeganie przepisów prawa przez Wydział Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu Miasta Łodzi oraz arogancję poprzez fakt, iż wydział ten nie przestrzega przepisów Kpa.

W związku z powyższym pragnę wyjaśnić, iż decyzją z 14.02.1989 r. Naczelnik Miasta i Gminy w Strykowie oddał Z. Kowalskiemu w użytkowanie wieczyste dotychczas dzierżawioną działkę rekreacyjną położoną we wsi Smolice gm. Stryków. W dniu 27.02.1989 r. wpłynęła do tutejszego wydziału skarga Obywatela w powyższej sprawie. Po przeprowadzeniu postępowania wyjaśniającego 6.03.1989 r. udzieliłem stronie odpowiedzi, informując, iż skarga rozpatrzona będzie łącznie z odwołaniem od decyzji naczelnika Miasta i Gminy w Strykowie. W dniu 7.04.89 r. wpłynęło do Wydziału odwołanie, w którym Ob. Kowalski wnosił o sprzedaż działki w oparciu o przepisy obowiązujące w 1987 r. Po rozpatrzeniu odwołania oraz w/w skargi, Zastępca Dyrektora Wydziału utrzymał w mocy zaskarżoną decyzję.

W motywach powyższej decyzji, w oparciu o przeprowadzone postępowanie ustalono, iż: wniosek Obywatela o zakup dzierżawionej działki rekreacyjnej złożony został w Urzędzie Miasta i Gminy w Strykowie 24.02.1987 r. W związku z faktem, iż większość dzierżawców samowolnie dokonała zmiany powierzchni użytkowanych działek, zaszła konieczność uregulowania granic i powierzchni — tj. sporządzenia nowej mapy do celów prawnych oraz założenia w Państwowym Biurze Notarialnym Księgi.

Opracowanie nowej mapy do celów prawnych przez Woj. Biuro Geodezji nastąpiło 1.03.1988 r. Natomiast potwierdzenie o założeniu księgi wieczystej organ otrzymał 16.09.1988 roku. Tak więc wydanie decyzji w przedmiotowej sprawie uzależnione było od wykonania wszystkich w/w czynności, na których to termin wykonania organ nie ma wpływu.

Z uwagi na wejście w życie z dniem 20.07.1988 r. ustawy o zmianie ustawy o gospodarce gruntami i wywłaszczaniu nieruchomości (Dz.U. Nr 22 poz. 170) w powyższej sprawie, jak i wielu pozostałych dot. m.in. tego terenu nie zostały wydane decyzje o sprzedaży działki rekreacyjnej na własność. W świetle bowiem przepisów nowej ustawy w/w działka może być oddana Obywatelowi w użytkowanie wieczyste, co nastąpiło wymienioną na wstępie decyzją.

Wyjaśniam ponadto, iż Obywatel nie skorzystał z przysługującego mu prawa złożenia skargi do Naczelnego Sądu Administracyjnego z powodu niezgodności w/w decyzji z prawem, złożył natomiast 24.04.1989 r. zażalenie do Prezydenta Miasta Łodzi. Zgodnie z przepisami o własności w dniu 23.05.1989 r. udzieliłem zainteresowanemu szczegółowych wyjaśnień w niniejszej sprawie.

Odpowiadając na zarzut Ob. Kowalskiego odnośnie działek, które zostały wcześniej zbyte na rzecz osób fizycznych, wyjaśniam, że nie wymagały one pomiarów oraz ustalenia granic (był to podział z 1983 r.) — decyzje zostały wydane w oparciu o przepisy rozporządzenia Rady Ministrów z 16.09 1985 r. (Dz.U. Nr 47 poz. 24).

mgr inż. **PIOTR FABIAŃSKI**
Dyrektor Wydziału,
Główny Geodeta Województwa

UWAGA! DZIENNIKARZE

Łódzki Związek Inwalidów Narządu Ruchu i Regionalny Związek Spółdzielni Inwalidów w Łodzi ogłaszają konkurs dla dziennikarzy, którzy do końca 1989 roku opublikują w łódzkiej prasie teksty, nadadzą w radiu lub telewizji audycje w różnej formie poświęcone życiu i pracy inwalidów narządu ruchu oraz przeszkodom utrudniającym ich pełny udział w życiu społeczeństwa. Roboczy tytuł konkursu: „Oni są wśród nas".

Chodzi nam zwłaszcza o podjęcie szerokiej tematyki dotyczącej zaniedbań ze strony władz administracyjnych, odpowiednich służb Łodzi i województwa w przełamywaniu uciążliwych barier architektonicznych, komunikacyjnych i społecznych. Pożądane byłoby także zwrócenie uwagi na niedostatek sprzętu ortopedycznego i brak w Łodzi własnego zakładu tej branży, co od wielu lat dotkliwie odczuwają inwalidzi. Warto też zapoznać się z pracą ludzi niepełnosprawnych w spółdzielniach inwalidów.

Organizatorzy Konkursu przewidują następujące nagrody: 200 tys. zł, 100 tys. zł oraz 2 po 50 tys. zł.

Wydrukowane publikacje prosimy nadsyłać w terminie do *31 grudnia 1989 roku* pod adresem: *Zarząd ŁZINR, 90-119 Łódź, ul. Kilińskiego 78* (z dopiskiem na kopercie: „Konkurs" i wyraźnym adresem). Natomiast datę i godzinę audycji radiowej lub telewizyjnej należy zasygnalizować przynajmniej tydzień przed emisją — pod tym samym adresem albo numerem telefonu: *74-48-62* w każdy poniedziałek od godz. 16 do 18, kiedy to można również zasięgać bliższych informacji.

ELEKTROWNIA BEŁCHATÓW

z siedzibą w ROGOWCU

Przyjmie do pracy w zawodach:

- **INŻYNIER (technik)** — konstruktor oprzyrządowania technologicznego produkcji warsztatowej,
- **INŻYNIER (technik)** — technolog obróbki skrawaniem,
- **INŻYNIER (technik)** — ds. technologicznych i normowania pracy

oraz

- **ENERGETYKÓW** z wykształceniem średnim lub zasadniczym do pracy w systemie 4-brygadowym,
- **MURARZY KOTŁOWYCH,**
- **MONTERÓW IZOLACJI TERMICZNEJ,**
- **SZKLARZY,**
- **MONTERÓW SPAWACZY,**
- **ABSOLWENTÓW szkół zawodowych i średnich** o kierunku łączności lub elektronika.

Przedsiębiorstwo zapewnia:

- konkurencyjne płace wg zakładowego systemu wynagrodzeń,
- dodatek bełchatowski,
- zniżkę w opłatach za energię elektryczną i szeroki wachlarz świadczeń socjalnych.

Informacji udziela **Dział Kadr Elektrowni — tel. 515-61 lub na miejscu.** Dojazd z Bełchatowa autobusem spod Hotelu „Energetyk", godz. 8.57, 10.57, 12.07, 13.18.

5418/K

Szanowni Państwo

Rozwijająca się stale nasza firma potrzebuje coraz więcej operatywnych pracowników.

Z A T R U D N I M Y

od zaraz na bardzo dogodnych warunkach

POŚREDNIKÓW UBEZPIECZENIOWYCH

Prowizyjna forma wynagrodzeń gwarantuje najlepszym zarobki w wysokości 400—600 tys. zł.

Posiadamy również wolne etaty dla

WYSOKO KWALIFIKOWANYCH SPECJALISTÓW:

— **spraw pracowniczych**
— **zagadnień płacowych.**

Wszystkich zainteresowanych prosimy o zgłoszenie się w naszych przedstawicielstwach:

— ŁÓDŹ, ul. PIOTRKOWSKA 204 A
— ŁÓDŹ, ul. NOWOTKI 8, tel. 32-56-61.

5575/K

Zapraszamy!

„WESTA"

CZEKA NA CIEBIE

Ogłaszaj się w „Odgłosach"

PRZYSZŁY KIEROWCO!

WIELKA SZANSA DLA CIEBIE!

Przedsiębiorstwo nasze umożliwi spełnienie Twoich marzeń.

W trzy tygodnie możesz nie tracąc nic ze swojego wypoczynku uzyskać prawo jazdy.

W dniach 18 września — 7 października w atrakcyjnej (nad jeziorem) miejscowości wypoczynkowej

S O C Z E W K A

organizujemy wczasy połączone ze zdobywaniem uprawnień kierowcy.

LICZBA MIEJSC OGRANICZONA

NIE ZWLEKAJ!

Zapisy codziennie w godz. 11-15 w siedzibie

BIURA PODRÓŻY I TURYSTYKI

Imatur ŁÓDŹ
ul. Piotrkowska 59
tel. 33 61 12 lub 33 28 46

Zakwaterowanie w pokojach 3-osobowych z łazienkami. Wyżywienie na miejscu w stołówce ośrodka.

2871/K.

zapraszamy!

Łódzka Fabryka Maszyn Jedwabniczych POLMATEX-MAJED w Łodzi

Producent maszyn dla przemysłu włókienniczego i chemicznego

o r g a n i z u j e

przeszkolenie i pracę w zakresie obsługi obrabiarek sterowanych numerycznie, obrabiarek skrawających, centrów obróbczych, galwanotechniki oraz montażu maszyn włókienniczych, również dla absolwentów techników.

o f e r u j e

atrakcyjną pracę inżynierom i technikom, szczególnie w specjalnościach

- **technologii budowy maszyn**
- **konstrukcji maszyn włókienniczych**
- **konstrukcji form do tworzyw sztucznych**
- **konstrukcji oprzyrządowania do obróbki skrawaniem i plastycznej**
- **powlekania galwanicznego i lakierniczego**

z a t r u d n i

pracowników wykwalifikowanych i do przyuczenia w zawodach

- **tokarz** - **frezer** - **wiertacz** - **szlifierz** - **ślusarz**
- **wytaczarz**
- **monter maszyn**
- **galwanizer**
- **odlewnik**
- **blacharz**
- **elektromonter**
- **elektronik**
- **portierów-rewidentów**
- **wydawców magazynu**
- **robotników niewykwalifikowanych**

i n f o r m u j e

iż monterzy maszyn, elektronicy i elektromonterzy delegowani są do pracy przy montażu maszyn do wielu krajów świata.

Chętnym umożliwiamy podjęcie dodatkowego zatrudnienia na terenie przedsiębiorstwa.

Posiadamy ośrodki wczasowe nad morzem i rzeką Wartą, prowadzimy wymianę wczasów z przedsiębiorstwami w NRD.

Szczegółowych informacji udziela **Dział Kadr i Szkolenia Zawodowego Łódź, ul. Żeromskiego 96 tel. 36-05-26 lub 36-57-00 wew. 115.**

5406/k

18.08.1989.

1.

Kryzys rządowy trwa. Sytuacja polityczna w Polsce stała się co najmniej dziwna. Powołany przez Sejm premier nie był w stanie sformować rządu. Posiedzenie Sejmu PRL wykazało, że rząd jest bardzo potrzebny. Rząd niby jest, ale jest to rząd zdymisjonowany, który pełni obowiązki rządu. Można powiedzieć bez przesady, że kraj nierządem stoi. Bałagan zrobił się totalny. Wiele instytucji, których działalność stanowiły podstawę państwowego porządku, jak poczta czy PKP, handel, przestały funkcjonować, rozsypały się. Powołanie rządu stało się potrzebą chwili. Dalej już tak być nie może!

Rząd miał być koalicyjny, ale dotychczasowa koalicja, w której przewodziła PZPR, przestała funkcjonować. Sojusznicy PZPR — ZSL i SD — pilnie rozglądali się za nowym układem, w którym mogłaby się ustalić ich polityczna tożsamość. Alians z PZPR nie dawał takiej możliwości. W PZPR wielu ludzi nie potrafiło wyzbyć się dążenia do kierowania i przewodzenia. Słyszało się w niektórych wypowiedziach zdziwienie i pretensje, że dotychczasowi sojusznicy dążą do samodzielności i pilnie rozglądają się za nowymi układami politycznymi. Jeśli w Warszawie rozumiano takie tendencje, to w województwach nie potrafiono zdobyć się na takie zrozumienie. I oto nagle przyszła oferta z Gdańska. Pierwsze reakcje były ostrożne...

2.

Wczoraj telewizja pokazała w DTV trzech przywódców: Romana Malinowskiego, Lecha Wałęsę i Jerzego Jóźwiaka, jak trzymając się za ręce pozowali fotoreporterom. Nowa Koalicja Parlamentarna stała się faktem. Fakt ten nasuwa jednak kilka pytań i wątpliwości.

Po pierwsze — czy to jest zmiana lidera tylko, czy też stosunki w Nowej Koalicji Parlamentarnej ułożą się inaczej. Jest bowiem szansa na ukształtowanie nowej formuły koalicyjnej, na ustanowienie stosunków partnerskich. Gdyby tak się stało byłoby to korzystne dla życia politycznego w Polsce. Przyszłość przynieść powinna odpowiedź na to pytanie.

Po drugie — powstanie Nowej Koalicji Parlamentarnej powinno wpłynąć na wewnętrzne zmiany w obu partiach, w ZSL i SD. Jakie to będą zmiany? Powinny one przyczynić się do wzrostu samodzielności tych partii, do wykrystalizowania się ich tożsamości. Czy tak się stanie?

Po trzecie — wszystko wskazuje na to, że PZPR znajdzie się w opozycji. Czy jest gotowa na to? Jak zniesie przejście od kierowania i odpowiadania za wszystko do opozycji? Jest to zmiana o ogromnym ciężarze, zmiana radykalna, przede wszystkim zmiana sposobu myślenia, stosunku do całej rzeczywistości. Gdyby tak

Z tej ziemi.

Same pytania

się stało miałoby to ogromny wpływ na wewnętrzne zmiany w PZPR. Ale czy się tak stanie?

Już słyszałem w radiu komentarz, w którym autor próbował wmówić słuchaczom, że powstała Wielka Koalicja, za powstaniem, której optowała PZPR. Myślę, że jest to teza błędna. Przede wszystkim dlatego, że idea Wielkiej Koalicji zakładała przodującą w niej rolę PZPR. Jeśli natomiast teraz powstała Nowa Koalicja Parlamentarna, to przodującą w niej rolę będzie miała „Solidarność". Spełnia się teza Adama Michnika: „Wasz prezydent, nasz premier". PZPR natomiast otrzyma tylko te teki ministerialne, które gwarantują trwałość układów międzynarodowych, sojuszniczych. Jest zupełnie inny układ niż sugerowała PZPR wzywając do powstania Wielkiej Koalicji. W moim przekonaniu PZPR powinna jak najszybciej i dokładniej przygotować się do roli opozycji. To może być bardzo interesujące wyjście. Ale jak się sytuacja rozwinie pokaże przyszłość. Same pytania!

3.

Nowa Koalicja Parlamentarna zrodziła się z układów nieformalnych. Sądzę, że będzie to miało niebagatelny wpływ na losy „Solidarności", na jej ewolucję od ruchu związkowego do ruchu politycznego. O tym, że „Solidarność" brzemienna jest siłami politycznymi, mówiono od dawna i mówi się nadal. Teraz może powstać sytuacja dogodna dla narodzin nowych sił politycznych, które do tej pory pozostawały wewnątrz „Solidarności".

Wszyscy mieli za złe, że wiele państwowych decyzji zapadało nie na ul. Wiejskiej, ale na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Światu. Słuszne to były pretensje, bowiem odbierały Sejmowi autentyczność, pozbawiały go tego, czym być powinien — najwyższą władzą w PRL. Teraz stało się coś podobnego, tyle tylko, że w innym układzie politycznym. Decyzja o odwołaniu Czesława Kiszczaka z powierzonej mu przez Sejm PRL funkcji premiera i pozbawienie misji powołania nowego rządu podjął nie Sejm, który miał do tego suwerenne prawo, ale decyzja ta zapadła w Gdańsku. W Gdańsku też zapadła decyzja o powołaniu Nowej Koalicji Parlamentarnej. W Warszawie nadano jej tylko realny kształt.

Tego rodzaju pozaformalny wpływ na życie polityczne jest — w moim przekonaniu — błędem. „Solidarność" powtórzyła to, co do tej pory robiła PZPR. Lech Wałęsa wziął w swoje ręce „kierownicę", a przecież do tej pory krytykuje się PZPR za zbyt długie trzymanie tej „kierownicy". Gdańskie centrum polityczne niezadowolone było z rozwoju sytuacji w Sejmie i dokonało zmian w polskim życiu politycznym wbrew sejmowym decyzjom. Takie postępowanie — jak dowodzi tego przykład PZPR — musi się w przyszłości zemścić.

Ludzie zbyt wiele sobie obiecują po takiej zmianie, a przecież wiadomo, że cudu nie będzie, bo jest to niemożliwe. Nie zrobi się z dnia na dzień prawdziwego pieniądza ze złotówki, nie wprowadzi się rynku z prawdziwego zdarzenia, nie rozbije monopolu skupu, który żeruje na dotychczasowym „urynkowieniu" żywności, nie zmieni się poziomu życia mas, nie zapełni się półek w sklepach obfitością towarów. Na to trzeba czasu. Rząd Nowej Koalicji Parlamentarnej może tylko przyczynić się do wprowadzenia głębszych i bardziej autentycznych reform. To dużo, ale to mało wobec społecznych oczekiwań. Ale jak będzie? — zobaczymy. Znów tylko same pytania!

4.

Teraz trochę z innej beczki. Rozkracza się wiele dziedzin naszego życia. Obejmuje to również RSW „Prasę-Książkę-Ruch" W „Polityce" Daniel Passent — jak sam przyznaje — poczuł się „w obowiązku uchylić tylko rąbka tajemnicy naszej kalkulacji i księżycowej ekonomii" I tak zrobił, bo to, co napisał w felietonie „Poezja i rzeczywistość" jest tylko częścią prawdy, a część prawdy nie jest prawdą.

A prawda jest taka, że sytuacja w różnych wydawnictwach prasowych jest bardzo zróżnicowana i nie można całej prasy sądzić wedle tego, co się dzieje w Warszawie. W Poznaniu na przykład dyrektor Wielkopolskiego Wydawnictwa Prasowego nie ma nic przeciwko temu, aby wydawać deficytowy „Nurt" Inaczej jest natomiast w Opolu czy Rzeszowie. To raz. A dwa — to sytuacja naszych drukarń, kolportażu, przemysłu papierniczego, który już sygnalizuje kolosalną zwyżkę cen za papier. W tej sytuacji — i tu Daniel Passent ma absolutnie rację — ważne staje się umiejętne redagowanie pisma, jak też samodzielność wydawnictw i — dodam — redakcji. Czy do tego dojdzie w RSW? Znów pytania!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1 Łapanka

Pan... no właśnie, kiedy w jednym z ostatnich felietonów mój bohater nazywał się Pan D., zgłosiło się do mnie kilku facetów, których imiona bądź nazwiska zaczynały się właśnie na tę literę i poprosiło, bym przestał się ich czepiać. A pewien gość powiedział nawet, że on nie wie, skąd ja mam tyle o nim wiadomości, ale skoro już piszę, to żebym przynajmniej pisał prawdę. Bo, po pierwsze, to on nie lubi Leopolda Staffa, a po drugie nigdy nie sprzedałby butelek, by kupić skrzynkę „Cytronety". Dlatego muszę tutaj złożyć drobne wyjaśnienie. Otóż, wszystkie sytuacje w tym felietonie są wymyślone.

Teraz możemy zacząć jeszcze raz. Pan S. szedł ulicą. Dzień był pochmurny. Upalne lato tego roku nagle zostało przerwane. W powietrzu czuło się zbliżającą jesień. Pan S. spoglądał dyskretnie na swoje odbicie w wystawowych szybach. Patrzył na kupiony niedawno nowy garnitur, skórzaną teczkę i czarny męski parasol. „Wyglądam jak angielski urzędnik" — pomyślał z dumą. I jeszcze raz, jakby dla potwierdzenia własnych myśli, spojrzał w wystawową szybę.

W pewnym momencie, kiedy akurat myślał o tym, że do kompletu brakuje mu tylko melonika, zatrzymał się przed nim biały „Polonez", z którego wyskoczyło dwóch facetów. Jeden szybko pokazał jakąś legitymację. Zanim zdołał o cokolwiek zapytać, już został wzięty pod ręce. Tajniak (tak przynajmniej w myślach nazwał go Pan S.) idący z prawej strony, otworzył drzwi samochodu. Wewnątrz wozu Pan S. zdobył się wreszcie na odwagę.

— *Panowie* — powiedział niepewnie. — *To chyba jakaś pomyłka. Czy mógłby mi ktoś powiedzieć, o co właściwie chodzi?*

— *Spokojnie, niech się pan nie obawia, wszystko zaraz się wyjaśni* — rzekł uprzejmie kierowca.

— *Ale przecież...*

— *Na razie niech pan o nic nie pyta* — przerwał kierowca. — *Ci dwaj, którzy siedzą obok pana i tak nic nie powiedzą, a ja, to co mogłem, już powiedziałem. Zaraz będziemy na miejscu.*

Po kilku minutach dość szybkiej jazdy po ulicach miasta, zatrzymali się przed niczym nie wyróżniającą się starą kamienicą. Po wyjściu z samochodu został przez dwóch tajniaków delikatnie złapany pod ręce i poprowadzony do wnętrza. Tam, bardzo sympatycznie wyglądający starszy jegomość poprosił o dowód osobisty.

— *Może pan byłby łaskaw wreszcie wyjaśnić mi o co chodzi?* — zapytał Pan S. i podał dowód.

— *Proszę wejść tutaj* — powiedział starszy człowiek i otworzył przed nim drzwi.

Pan S. znalazł się w dużym pokoju, w którym na krzesłach pod ścianami siedziało kilkudziesięciu, w różnym wieku będących mężczyzn. Powiedział grzecznie — dzień dobry — i usiadł na pierwszym wolnym miejscu jakie zauważył. Teraz począł przyglądać się zgromadzonym tutaj ludziom. „Jedyne co ich wyróżnia" — pomyślał — „to to, że wszyscy są bardzo elegancko ubrani. Może poszukują jakiegoś szpiega" — myślał dalej — „na pewno wszystko się zaraz wyjaśni, trzeba tylko cierpliwie poczekać..."

— *Pana też wzięli z ulicy?* — usłyszał nagle głos siedzącego obok mężczyzny.

— *Tak... może pan wie...* — radośnie zaczął, ciesząc się, że nareszcie spotkał kogoś, kto jest w podobnej sytuacji.

— *Wiem tylko tyle, że będą nas za chwilę wywoływali nazwiskami i nic poza tym* — przerwał mężczyzna i rozłożył przed sobą płachtę „Trybuny Ludu".

I rzeczywiście w tym momencie z głośnika rozległ się delikatny kobiecy głos, który wymienił pierwsze nazwisko. Po jakimś czasie Pan S. usłyszał własne nazwisko. W pokoju obok, do którego wszedł, za stołem przykrytym zielonym suknem siedziało trzech mężczyzn. Panu S. przypomniał się egzamin maturalny i poczuł się jeszcze bardziej nieswojo.

— *Proszę pana* — powiedział ten siedzący w środku. — *Został pan jednogłośnie wybrany na stanowisko ministra rolnictwa.*

— *Panowie! Ja na tym zupełnie się nie znam... nikt nigdy z mojej rodziny nie mieszkał na wsi!* — krzyknął.

— *Ależ niech pan nie przesadza, ktoś kiedyś na pewno na wsi musiał mieszkać... da pan sobie radę... na przykład ten, który siedział koło pana został prezydentem wielkiego miasta i, co nas bardzo zaskoczyło, nawet nie narzekał. A z kolei ten z naprzeciwka został ministrem finansów... no, z tym było trochę gorzej... w każdym bądź razie niech się pan weźmie w garść. Służbowy „Opel" czeka na zewnątrz. Życzymy powodzenia. Do widzenia, panie ministrze.*

Dwóch milczących facetów wzięło Pana S. pod ręce i wyprowadziło do czekającego służbowego Opla.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

2 Lewym okiem

Na różnych falach

Od czterech lat bez własnej winy skazany jestem na codzienne, wielogodzinne słuchanie programów radiowych. Wśród redaktorów, komentujących wydarzenia, mam już swoje sympatie, dla wielu z nich mam uznanie większe, niż dla publicystów prasowych, nie mówiąc o telewizji, lubię się z nimi spotykać na fali jakiejś tam: lubię słuchać jak mówi Jerzy Kowalski Karol Szyndzielorz, Ryszard Wojna i wielu, wielu innych. Oczywiście mam swoje antypatie, może to są nawet idiosynkrazje, kiedy na przykład chodzi o parę dziennikarzy, która w ramach „Muzyki i Aktualności", dzieli się ze słuchaczami uwagami o filmie, przy czym każde pięć minut jest, od początku do końca, zachichotanych, zaśmianych, nie wiadomo dlaczego. Bardzo mnie ten chichot denerwuje.

Nie chcę tu jednak pisać ani sprawozdania, ani recenzji z żadnej audycji, chcę tylko parę słów powiedzieć o programach radiowych en gros. Bo na przykład mówi się, że po godzinie 22 należy sciszać głośniki. To oczywista prawda. Sam wyłażę ze skóry, kiedy po godzinie 22 skowyczy za ścianą pies, albo gra głośno jakiś najmodniejszy zespół. Grzecznie i uczciwie ściszam radio do granic kameralnej słyszalności. Ale cóż, kiedy nagle, pośród mówiącego przyciszonym głosem spikera, ryknął nagle jakieś trąby, bębny, kotły — przecież zanim zdążę podejść do aparatu i przekręcić gałkę, sąsiedzi zdążą się już na pewno obudzić. Ja nie wiem, czy jest możliwe dobieranie jakiejś skromniejszej muzyki na godziny nocne. Jeśli to jest niemożliwe, to niech ona nie będzie przeplatana audycjami przeznaczonymi na ciche, kameralne słuchanie. Niech taki nagły łomot wszystkich perkusji naraz nie następuje bez uprzedzenia po cichutko szemrzącej recytatorce.

Mam jeszcze i taką uwagę i też nie wiem, czy jest możliwa do zrealizowania: za dużo jest w programach Polskiego Radia różnych sygnałów wywoławczych. Już każdy kwadrans, każde dziesięć minut, każde pięć minut zaczyna się od jakiegoś dźwiękowego, muzycznego sygnału i tym sygnałem się kończy. Sam ten sygnał zajmuje, no, jedną trzecią całej audycji. Oczywiście potania to znacznie programy radiowe, ale jest też trochę irytujące.

Wspaniale grana polka „Lata z radiem", której słucham zawsze z niekłamanym podziwem, zaczęła być ostatnio grana już niemal co drugie zdanie. Taka piękna polka, ale też mi się wreszcie nudzi.

Niewątpliwie, tak w całej prasie, jak i w radiu, zdarza się redaktor, który nie ma nic do powiedzenia i zadaje pytania ludziom, często nieznanym, którzy również nie mają nic do powiedzenia. „Co pan sądzi o cenie cukru?" „Ano co, za drogo jest". Albo dzieci odwiedzane na koloniach i zapytywane odwiecznym, stereotypowym pytaniem: „No, jak wam tu jest dzieci, fajnie, nie?" „Fajnie — krzyczą dzieci. — „A co robicie?". „A śpiewamy", „No to zaśpiewaj, Jasiu, piosenkę". I sześcioletni Jaś śpiewa wysokim sopranem „Daj mi tę noc"..

Może jeszcze parę słów o pomyśle opiniowania piosenek przez specjalistów z branży piosenkarskiej, to są w moim odczuciu wynurzenia żenujące. To wyszukiwanie najrzadziej używanych słów po to, żeby określić bardzo błahą piosenkę, to ulubione szermowanie słowem „osobowość", „moja osobowość", „w tym się wyraża cała jego osobowość" — to wszystko śmieszy mnie bardzo i na ogół takich audycji unikam. Podejrzewam zresztą, że tzw. ludzie rozrywki są w różnych między sobą układach i zależnie od nich oceniają w radiu słuchane piosenki.

Przepraszam, jeśli kogoś uraziłem To były takie marginesowe uwagi stetryczałego radiosłuchacza.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Sport

Są pieniądze i nie ma pieniędzy

Wszyscy rozglądają się za pieniędzmi. Potrzeby nasze nie maleją, przeciwnie — rosną. Rosną też ceny. Rosną wydatki. Również w sporcie. A może przede wszystkim w sporcie. I w sporcie działacze też nie bardzo wiedzą, skąd brać pieniądze.

Sukcesy jakby mamy. Pięcioboistki zdobyły mistrzostwo świata. Pływacy na mistrzostwach Europy zdobyli 6 medali. Piloci na VIII Samolotowych Mistrzostwach Świata w Lataniu Precyzyjnym — według nieoficjalnych jeszcze danych — zdobyli wszystko, co było do zdobycia. Zresztą w tej konkurencji od 1977 roku zdobyli już 27 medali i są bezkonkurencyjni w Europie i na świecie.

Ale są dziedziny, w których sukcesy są tylko miłym wspomnieniem, jak choćby piłka nożna i nic nie wskazuje, że to się zmieni. Przypomnieć trzeba, że polscy pływacy szkolą się w USA. W ogóle kto chce mieć dobre wyniki w sporcie ucieka czym prędzej z kraju i szkoli się poza jego granicami. To o nas dobrze nie świadczy. Trudno się zresztą temu dziwić.

Upada też sport masowy, rekreacja, wypoczynek. Ceny sprzętu sportowego — nie tylko wyczynowego — ceny obuwia turystycznego, rowerów, sanek, nart, dresów rosną nieustannie. Dla wielu rodzin są już nieosiągalne. Na ogół są niedostępne w sklepach z krajowymi wyrobami. Można je natomiast kupić bez większego trudu w „Pewexie", w komisach, na bazarach. O cenach lepiej nie wspominać.

Co gorzej niektóre kluby nie mogą zdobyć potrzebnego im sprzętu, sportowych ubrań i tak dalej. Albo nie mają na taki zakup pieniędzy, albo potrzebny im sprzęt dobrej jakości, wyczynowy, jest w kraju niedostępny. A dewiz na jego kupno nie posiadają. I koło się zamyka.

Byłoby ideałem, gdyby kluby sportowe mogły się same finansować. To znaczy musiałyby same na siebie zarabiać i wydawać zarobione pieniądze. Niektóre próbują, ale idzie im to ciężko. Inne są dotowane przez bogatych mecenasów. Na brak pieniędzy nie narzeka na przykład klub sportowy w Lubinie, skoro mógł zapłacić 150 000 000 złotych za bramkarza ŁKS — Jarosława Bako. A przecież to nie jeden był transfer. Ile zapłacono za innych piłkarzy? Są więc pieniądze.

Pieniędzy nie mają takie zrzeszenia jak TKKF, LZS, SZS. Ci, którzy byli biedni do tej pory, biednymi pozostali i nie ma żadnej nadziei na to, że im się nagle poprawi. Przy wykazaniu różnych inicjatyw może im się poprawić, ale za... kilka lat. A pieniądze potrzebne są już teraz. Pieniądze potrzebne są na masowy sport, rekreację, na turystykę. Bez niezbędnych pieniędzy zejdą spokojnie i w ciszy ze społecznej areny. Pozostaną tylko miłym wspomnieniem.

Pieniądze potrzebne są również na inwestycje sportowe, turystyczne, rekreacyjne. Być może byliśmy niegdyś potęgą, ale głównie w naszej wyobraźni. Ludzie krytyczni zawsze przypominali komu trzeba, kto chciał słuchać, że mało u nas sztucznych lodowisk, basenów krytych, hal gimnastycznych, kortów tenisowych, torów wodnych i tak dalej. Łukasz Jedlewski w „Przeglądzie Sportowym" niepokoi się o tor wodny na Malcie pod Poznaniem, gdzie w 1990 roku mają odbyć się kajakowe mistrzostwa świata. Przypuszcza też, że nie doczeka już mającej powstać w Warszawie hali sportowej. Taki los może spotkać też inne planowane — i potrzebne — inwestycje sportowe. Nie ma pieniędzy. Nie ma wykonawców. Nie ma materiałów.

A przecież pieniądze są. Są też sposoby ich zdobywania, czyli zarabiania. Różne sposoby. Na przykład, w wielu krajach wielkim firmom przemysłowym opłaca się finansować sport, gdyż sumy wydawane na ten cel są im odpisywane z podatku. Bez zbędnej, biurokratyczno-finansowej mitręgi. My — jak to wykazała ostatnia sejmowa debata — mamy dziurawy budżet, pusty Skarb Państwa i wolno z niego na razie wydać tyle, ile wpłynie w sierpniu i wrześniu 1989 roku. Ale — wierzę w to, bo co mi innego zostaje — sytuacja w przyszłości zmienią się. Na lepsze oczywiście! I można będzie takie operacje przeprowadzać.

W naszym myśleniu ciągle jeszcze tkwi oczekiwanie na to, co nam „z góry" spłynie, co nam dadzą, co skapnie ze stołu. Trzeba chyba to myślenie przebudować. Zacząć myśleć, jak tu zarobić, jak zdobyć pieniądze. W klubie sportowym też. A może nawet przede wszystkim. Trzeba starać się utrzymać na jakimś poziomie życia sportowego, nie dać się zepchnąć Kto bowiem się nie utrzyma, ten może przepaść. Ze szkodą dla nas wszystkich.

Pieniądze, niezależnie od tego, ile ich drukuje NBP są, trzeba tylko umieć je zdobywać. I tego musimy się uczyć. W sporcie również, a może nawet przede wszystkim Wierzę, że jest to możliwe. Więcej! Jest to konieczne.

BOGDA MADEJ

Superagent Tambor

(5)

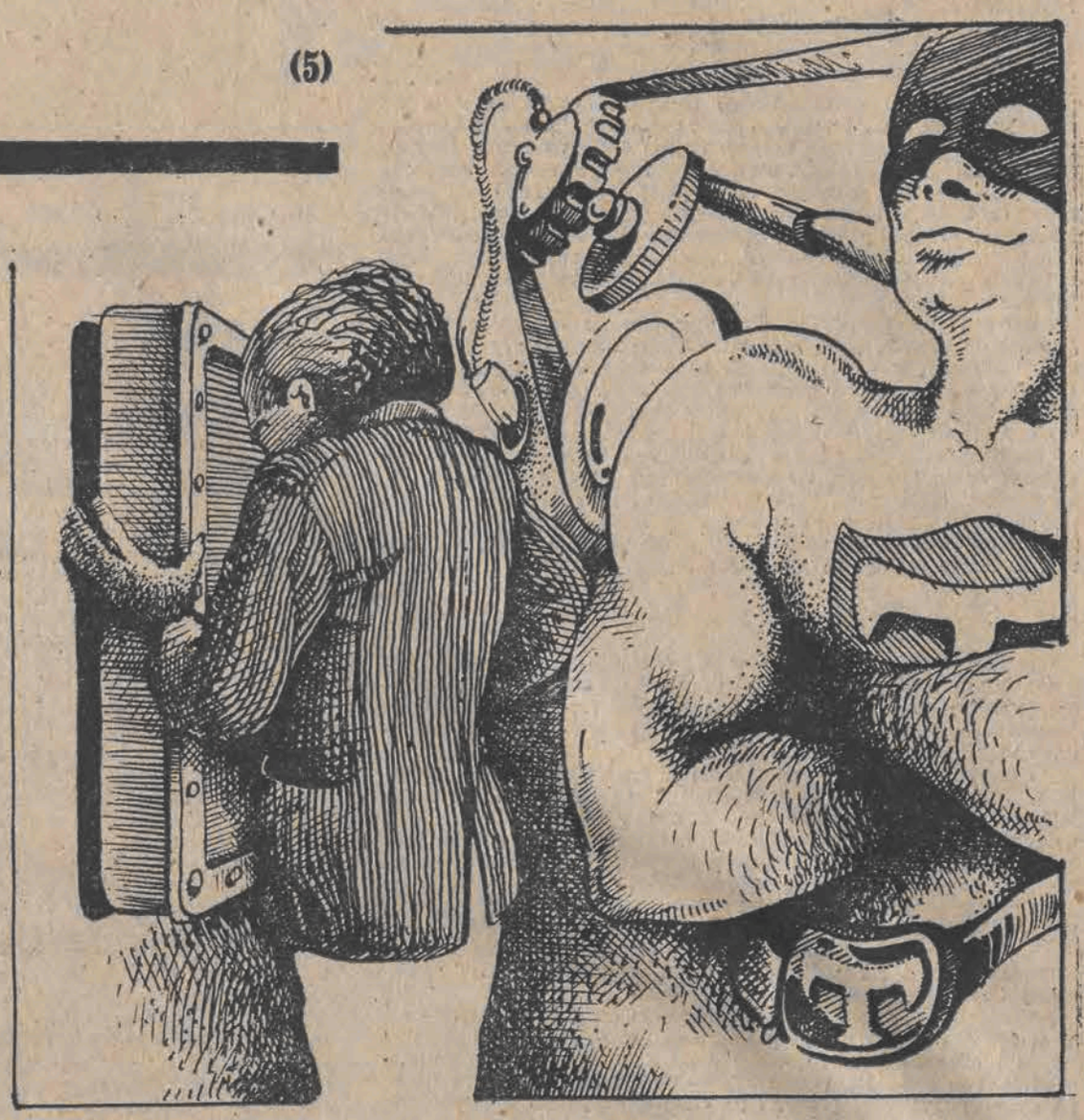

Rys. Dariusz Komanowicz

JERZY JESIONOWSKI

W tym momencie zgasło w foyer światło, co wywołało głośne objawy niezadowolenia. Ogień w czaszy pełgał już słabo, nie rozjaśniał ciemności oczom. pozbawionym nagle silnego oświetlenia. Kiedy włączono prąd na nowo, Sapijaka nie było już ani na postumencie, ani na sali.

— Skończone — powiedziała Jola. — Wracajmy do hotelu.

Na korytarzu Tambor spytał ją:

— Podobał ci się mistrz w naturalnym stanie?

— Bardziej niż dzieła — odrzekła. — Ale tobie mógłby buty czyścić. Nie ma porównania. Ty jesteś superlux. Non plus ultra, jak mówiła moja uczona koleżanka.

Tambor czuł z lękiem, że te pochwały są zapowiedzią szczególnie gwałtownej erupcji sił erotycznych asystentki, czekającej go tego wieczora.

VII

Powtórny wyjazd do wsi Krynki Tambor zaplanował na dziesiątą rano. Gdy miał już schodzić z Jolą do samochodu, zatelefonował Parkowski — członek prywatnego kółka przyjaciół Ameryki. Przypomniał, że Tambor obiecał spotkać się z nim i jego kolegami.

— Tak — potwierdził Tambor. — Pamiętam.

— Czy mógłby pan przyjechać do nas dzisiaj o osiemnastej?

— Mogę. Poproszę o adres.

Parkowski podał adres informując dodatkowo, że dzielnica nazywa się Bielany, a posesja o tym numerze to willa za żywopłotem, do której trzeba dzwonić od furtki przez domofon. Przyjaciele Ameryki, jak z tego wynikało, nie musieli się zbierać w jakimś ciasnym mieszkaniu czynszowym. I słusznie — należy podciągać się do poziomu wzorca, bo wtedy łatwiej o więź duchową.

W zagrodzie Patyków powitała Tambora i Jolę wczorajsza znajoma, co zrazu ich przestraszyło. Czyżby Jasio wynalazca znowu gdzieś pojechał? Lecz gospodyni uwolniła ich od tej obawy.

— Jasio jest, tylko pognałam gałgana w pole, do roboty. Zaraz poproszę chłopca sąsiadów, żeby poszedł go zawołać.

Po paru minutach Jasio się zjawił. Był zadyszany od pośpiechu. Widocznie spodziewał się po zagadkowych gościach czegoś dobrego dla siebie. Tambor nie napinał jego ciekawości, przystąpił do rzeczy od razu.

— Pan podobno wynalazł perpetuum mobile.

— Tak — potwierdził nie doceniany przez matkę i bliźnich odkrywca. — Udało mi się.

— Co to jest?

— Samozasilająca się elektrownia wodna.

Niepotrzebnie straciłem dwa dni. — pomyślał Tambor. Postanowił jednak doprowadzić rozmowę do klarownego końca.

— Elektrownia wodna to nie perpetuum mobile — wyjaśnił. — A poza tym takie urządzenia są znane od dawna. Nic nie trzeba wynajdywać.

— Pan myśli o elektrowniach budowanych na rzece.

— Oczywiście. A pan jaką wymyślił, na jeziorze?

— Ani na jeziorze, ani na rzece. W dowolnym miejscu. Tyle że trzeba zainwestować troche grosza.

— Ciekawe. Słucham.

— No więc, proszę pana, tak: Budujemy dwa zbiorniki na wodę. Jeden na dużym wzniesieniu, na przykład na wysokiej budowli albo specjalnej wieży, a drugi na dole. Między nimi bystry spływ wody napędzający prądnicę, tak jak w elektrowniach rzecznych. Ale u mnie ten strumień z góry napędza także pompę, która przepycha wodę z powrotem do górnego zbiornika. W ten sposób woda ciągle krąży bez zasilania z zewnątrz. I to jest właśnie perpetuum mobile.

— Ta woda nie będzie krążyć. Pompa nie podoła.

— To jest zarzut gołosłowny, bez dowodu. Nikt jeszcze nie spróbował.

— To niech pan spróbuje sam.

Patyk rozłożył bezradnie ręce.

— Nie mam niestety pieniędzy na zbudowanie takiego urządzenia.

Tambor uznał, że pora pożegnać się i wracać do Warszawy. Wstał z krzesła.

— No cóż, ja też nie mam na to pieniędzy. Życzę panu tańszych pomysłów.

W drodze do samochodu Jola zatrzymała się i powiedziała po angielsku:

— Nie chcę tego mówić przy kierowcy. Jeśli ty będziesz tak grymasił, Tambo, to nic naszemu wspólnemu szefowi nie przywieziemy.

— Przywieziemy. Tambor potrafi, choćby spod ziemi.

Kiedy wjechali z powrotem do Warszawy, Tambor przypomniał sobie wczorajszy zamiar powtórnego odwiedzenia strzelnicy. Polecił Markowi zatrzymać samochód przy wesołym miasteczku.

Na widok Tambora pracownik strzelnicy jakby stężał. Nie spuszczał z niego oczu, ale nic nie mówił: trwał w wyczekiwaniu. Tambor zaczął od zlustrowania półki z nagrodami. Stały na niej te same fanty, co wczoraj. Prawdopodobnie zostały odkupione od dzieci za pół ceny — albo zgoła za cukierki. Mimo to Tambor nie zamierzał zrezygnować z powtórki.

— Płacę za czternaście strzałów — oznajmił.

Na twarzy pracownika odbijała się walka między troską o firmę i obowiązkiem obsłużenia klienta. Zwyciężyła troska. Tambor usłyszał wyrażoną desperackim tonem odmowę.

— Pan nie będzie strzelał.

— A dlaczegóż to? Płacę i mam prawo.

Przygwożdżony tym nie dającym się logicznie podważyć argumentem pracownik popadł w zakłopotanie. Lecz nie odstąpił od odmowy.

— Pan nie będzie strzelał — powtórzył.

— Pytam jeszcze raz: dlaczego?

Po krótkiej rozterce pracownik gruchnął z grubej rury.

— Bo z pana oszust.

— Ja oszust? — zdumiał się Tambor.

— Tak. Uczciwy klient to nie trafia za te parę złotych raz po razu. Daje firmie zarobić. A pan chwyta się takich bezwstydnych sztuczek. To nie jest czysta gra. Niech pan sobie idzie.

— Ja pójdę, ale po milicję. Ona pouczy pana, że mam prawo postrzelać sobie, ile zechcę.

Po wzmiance o milicji wkroczyła do sporu Jola. Wyglądała na przestraszoną.

— Daj spokój, Stachu. Po co ci to strzelanie? Chodźmy stąd.

— Kiedy mam prawo...

Jola chwyciła go za ramię i odciągnęła na bok. Tam powiedziała półgłosem po angielsku:

— Tylko nie milicja, Tambo. Tego nam akurat brakuje. Legitymowania i tak dalej.

Tambor uznał sprzeciw Joli. Tajni agenci powinni unikać zetknięć z wszelkimi policjami — nawet z przyjaznymi. To zasada elementarna. Wrócił z Jolą do samochodu.

Przed wieczorem pojechał na Bielany — tym razem bez Joli, bo do rozmowy o Ameryce nie była mu potrzebna. Po drodze zastanawiał się nad dziwnym zjawiskiem politycznym. Bywał już w wielu krajach. Ich rządy pozostawały w rozmaitych stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi. Prawie jednolita była natomiast niechęć obywateli wobec Ameryki i jankesów. Odbywały się różne demonstracje, noszono i wywieszano transparenty, piętnujące zbrojenia oraz ekspansywną politykę USA, nazywana brzydko imperializmem. Nigdzie zaś Tambor nie spotkał najmniejszego choćby kółka przyjaciół Ameryki. Czyżby to była polska specyfika, która miał przy okazji pobytu tutaj badać? Bardzo go ta samorodna sympatia do jego ojczyzny ciekawiła. Kim byli członkowie kółka? Co ich w polityce USA ujmowało? Czego chcieli się dowiedzieć?

Willa, do której go zaproszono, była niewielka, lecz prezentowała się — od wewnątrz i w środku — bardzo dobrze. W środku nawet lepiej. Może właściciele nie chcieli drażnić fasadą ziomków od jednakowych żołądków, na których narzekał eks-prywaciarz Marek?

Tambora poprowadzono do salonu, gdzie czekało na niego około dziesięciu mężczyzn w wieku przeważnie starszym. Dwa stoliki były zastawione zimnym poczęstunkiem — ilościowo nie przesadzonym, lecz kosztownym. Po tym, co zauważał od przyjazdu do Warszawy, Tambor zadał sobie w duchu pytanie: skąd ci Polacy na to wszystko mają, skoro ich przeliczone na czarnorynkowe dolary zarobki są iście głodowe?

Na widok Tambora czekający na niego mężczyźni podnieśli się z krzeseł i zaklaskali. To było miłe, ale niepotrzebne; tajnemu agentowi uchodzenie za ważną personę nie może dobrze służyć. Powinien udawać szaraka.

— Zechcą panowie siąść, bo mnie to krępuje — poprosił. — Jestem prostym Amerykaninem, nie nawykłem do honorów.

Mężczyźni siedli — z wyjątkiem jednego, który był tu widać gospodarzem. Ten, nadal stojąc, wygłosił krótkie przemówienie, witające w Tamborze człowieka urzekająco skromnego, lecz reprezentującego potężny kraj. Potem, wskazując szerokim gestem ręki poczęstunek, mówca powiedział:

— Czym chata bogata. Proszę się nie lękać, nic nie zaszkodzi, wszystkie produkty z Zachodu.

— Polskie szkodzą? — zdziwił się Tambor. — Słyszałem, że są zdrowe. Importujemy.

— Były zdrowe, ale przed wojną. Za czerwonych wszystko zepsiało. Nawet ważny dla rolnictwa klimat.

— Przed wojną to mieliśmy klimat... — westchnął nostalgicznie rumiany mężczyzna z kąta salonu.

Tambor zjadł kanapkę z sardynką i spytał:

— Czego spodziewacie się panowie po mnie? Czym mogę służyć?

— Proszę opowiedzieć nam o Ameryce — odrzekł gospodarz. — Chcemy wiedzieć z pierwszej ręki, a nie od pośredników.

Życzenie było tak ogólnikowe i pojemne, że Tambor nie wiedział, o czym mówić. O Ameryce można przecież nieskończenie, a nawet jeszcze trochę. Postanowił przede wszystkim zorientować się, z jak poinformowanymi słuchaczami ma do czynienia.

— Czy któryś z panów był w Ameryce? — spytał.

Nikt nie odpowiedział twierdząco. Tambor rzucił następne pytanie:

— Czy znacie angielski i czytacie amerykańskie gazety?

Znajomości angielskiego też nikt nie potwierdził. Parkowski natomiast oznajmił:

— O gazety amerykańskie u nas trudno. Nie ma po co uczyć się angielskiego.

— A czy słuchacie „Głosu Ameryki"?

— Tak. Ale „Głos Ameryki" przeczernia, jakby był pod wpływem czerwonych. Chcemy dowiedzieć się prawdy.

Tambor postanowił opowiedzieć pokrótce o głównych problemach Stanów Zjednoczonych, przewijających się każdego dnia przez czołówki amerykańskich gazet. Były to kłopoty ze zrównoważeniem budżetu państwa. Niesnaski społeczne i rasowe. Trudna walka z zalewem tanich towarów z Azji, wypierających produkcję rodzimą. Bezowocność starań o umocnienie kursu dolara. Nieporozumienia z sojusznikami. Lęk przed Związkiem Radzieckim. Wysoki koszt zbrojeń. Zwątpienie w ich skuteczność.

Referując to wszystko Tambor obserwował twarze słuchaczy — i czuł się coraz bardziej zdeprymowany. Na owych twarzach malował się zawód, a na niektórych nawet zniecierpliwienie. Czyżby mówił niejasno? Albo nie o tym, co tych ludzi interesowało? Dlaczego jednak nie określili tematów, na których powinien się skupić? Przenikające go wątpliwości utrudniały panowanie nad tokiem wywodu, toteż skończył swe wystąpienie z ulgą. Lecz i z przeświadczeniem, że nie stanął na wysokości oczekiwań tych życzliwych Ameryce słuchaczy.

Przez dłuższy czas zalegało w salonie przykre dla Tambora milczenie. Przerwał je wreszcie gospodarz.

— Mam pytanie. Czy pan na pewno jest obywatelem amerykańskim?

Ta wątpliwość tak zdetonowała Tambora, że zachował się jak przed kontrolą graniczną. Wyjął paszport.

— Proszę bardzo. Można sprawdzić.

Jego reakcja skonfundowała z kolei gospodarza.

— No, nie, wierzymy... Zapytałem dlatego, że pan wmawiał nam to samo, co rezimowa telewizja. A my łaknięmy prawdy o Ameryce. Niezafałszowanej, od autentycznego Amerykanina patrioty.

Tambor doznał błyskawicznego olśnienia, jakie już nieraz spadało nań w trudnej służbie superagenta, pozwalając dokonać fortunnego zwrotu w jednej chwili. Wykonał teraz taki zwrot, zaczynając od zaśmiania się.

— Rad jestem, że nie daliście się panowie nabrać. Chciałem sprawdzić, czy nie przeżarła was do cna reżimowa propaganda.

Teraz zaśmiali się jego słuchacze. Rozchmurzony gospodarz odpowiedział:

— Nas nie przeżre. My jesteśmy prawdziwi Polacy, wychowani w duchu przodków. Niech żyje Ameryka!

— Niech żyje! — odkrzyknęła ochoczo reszta zebranych.

— Cześć prezydentowi!

— Cześć!

— No to teraz przystąpmy do rozmowy serio — zaproponował Tambor. — Żeby nie nudzić panów tym, co może was nie interesować, wolałbym odpowiadać na konkretne pytania. Zgoda?

— Zgoda.

— Słucham zatem.

Pytania nie posypały się od razu. Prawdziwi Polacy albo nie byli przygotowani na taki obrót spotkania, albo też żaden nie chciał się wyrywać jako pierwszy. Początek zrobił rumiany mężczyzna z kąta — ten tęskniący za przedwojennym klimatem.

— Czy w Ameryce panuje się już nad pogodą? Macie przecież wspaniałych uczonych.

— Jeszcze nie całkiem się panuje, ale postępy są znaczne — odpowiedział Tambor. — Planuje się utworzenie centralnej dyspozytorni temperatury i opadów.

Drugie pytanie zadał Parkowski.

— Do jakiego wieku można dożyć w Ameryce? Czy to prawda, że do stu dwudziestu?

— Mamy już takich Amerykanów. Jeden startował ostatnio w biegu maratońskim i prawie wygrał.

— Pozazdrościć. U nas takich nie ma.

— A kto by chciał w Polsce żyć aż sto dwadzieścia lat? — zapytał sąsiad Parkowskiego. — Po co tak długo znosić ucisk?

— Też racja. Po co. W tym jarzmie już sześćdziesiątka rujnuje siły.

— Przed wojną to było życie — westchnął znowu rumiany. — A dziś równość i reumatyzm.

Skrępowanie topniało, zaczęły padać pytania lżejszej wagi. Tambor przystosował się do ich kalibru.

— Podobno pracujecie nad trzygarbnym wielbłądem. Na eksport do Arabów.

— Tak, ale traktujemy to marginesowo. Bardziej zaawansowana jest krzyżówka kury ze strusiem, na rynek wewnętrzny. Chodzi, rzecz jasna, o wielkość jaj, a nie ptaka.

— Wspaniałe. Mam pytanie z innej beczki. Mówił mi znajomy, że w Ameryce talia kart ma sześć asów. Prawda to czy żart?

— Prawda. W bogatych stanach trafia się w droższych taliach nawet dziesięciu.

— Taką talią to można pograć. A u nas mizeria.

Do salonu wtargnęła nieoczekiwanie mała dziewczynka, a za nią zawstydzona nieco matka. Gospodarz ofuknął je obie. Matka wytłumaczyła najście.

— Ona ma pytanie do pana Amerykanina. Głupie, jak to dzieciak, ale niech spyta. Taka okazja.

— Słucham — zadeklarował gotowość do odpowiedzi Tambor — O co chcesz zapytać, dziecko?

— Czy w Ameryce są krasnoludki. Ale prawdziwe, nie wymyślone.

— Oczywiście, że są. Nawet bardzo duże. Prawie takie jak ty.

— To dlaczego nie przywiózł pan do nas na rozmnożenie?

— Nie wolno wywozić. Amerykańskie dzieci nie zgadzają się.

Dziewczynka wydęła wargi.

— Samoluby — orzekła i wyszła.

Dziecięcy przerywnik zatrzymał potok pytań. Po krótkiej pauzie gospodarz skierował spotkanie na nowy tor.

— Niech pan nie sądzi, drogi gościu, że brak nam własnych przemyśleń na temat Ameryki. Mamy je, i pewne rzeczy nie podobają się nam. Uważamy, że w niektórych sprawach Ameryka błądzi. Czy chciałby pan poznać nasze opinie i rady?

— Oczywiście. Przekażę je, komu należy.

— Zacznę ja, potem koledzy powiedzą swoje. No więc tak: Dlaczego Ameryka ceregieli się z czerwonymi? Jeśli dlatego, że uważa Rosję za mocarstwo, to popełnia błąd. My jesteśmy bliżej, to wiemy. Ta ich potęga to propagandowy bluff.

Pozostali uczestnicy spotkania zaczęli wspierać gospodarza uwagami i argumentami.

— Sowieckie rakiety nie dolecą dalej niż nad Polskę. Amerykański wywiad daje się oszukiwać niczym ślepe kocię. Czerwoni kręcą nim, jak chcą.

— Te ich sputniki i statki kosmiczne to też humbug. Telewizyjne sztuczki. Nie takie rzeczy oni fingują, żeby zadziwić świat i zastraszyć Amerykę.

— Rakiety-makiety!

— Z Chinami też błąd. Trzeba je zająć, poki jeszcze słabe. Potem będzie trudniej.

— A Organizacja Narodów Zjednoczonych? Tylko mąci. Powinniście ją wyeksmitować na zbity łeb, jeśli nie można skasować.

— Za dużo liberalizmu politycznego, ot co! Trzeba twardziej.

Gdy wyczerpały się generalne rady dla Ameryki, gospodarz zaproponował przejście do konkretnych postulatów. Ale zgłoszono tylko jeden. Stwierdzając, że w pozostawionej własnemu losowi Polsce wnet się wszystko zawali, zebrani zaproponowali przyłączenie jej do Ameryki w charakterze stanu zamorskiego. Mógłby to być pierwszy krok na drodze do Stanów Zjednoczonych Swiata. Parkowski rzucił myśl, żeby opracować przed rozejściem się stosowną petycję do prezydenta USA i poprosić Tambora o jej doręczenie.

Tambor oznajmił, że nie ma czasu czekać na petycję, której redagowanie przeciągnęłoby się prawdopodobnie. Obiecał przekazać prezydentowi telefonicznie zarówno rady dla Ameryki, jak i prośbę o przyłączenie Polski.

Zebrani wstali z krzeseł i zakończyli spotkanie z Tamborem powtórnym wzniesieniem okrzyków „Niech żyje Ameryka!" i „Cześć prezydentowi!"

VIII

Trzeci z kolei wynalazca perpetuum mobile mieszkał we Wrocławiu, o trzysta pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy. To wymagało wyprawy dwudniowej. Tambor zadysponował wczesne śniadanie i zaraz po nim wyjazd. Nocleg we Wrocławiu załatwiła hotelowa służba rezerwacji.

Aby złagodzić nudę długiej podróży, a jednocześnie poznawać kraj, Tambor obserwował okolice drogi. Lecz niewiele z tego, co widział, pobudzało jego zaciekawienie. Po raz pierwszy polecił Markowi zatrzymać samochód, gdy w mijanej wsi zauważył płonącą stodołę, której nikt nie ratował. Paliła się tak, jakby w całej wsi nikogo nie było.

Marek zatrzymał samochód, ale nie kwapił się do wyjścia z niego i wszczęcia alarmu. Inne przejeżdżające szosą pojazdy nie stawały w ogóle, mknęły obojętnie dalej.

— Co się dzieje? — spytał zdumiony Tambor. — Dlaczego nikt nie gasi? Niech pan przynajmniej alarmuje klaksonem.

— Nie zrobię tego, sir — odrzekł spokojnie Marek. — Mógłbym dostać po łbie.

Tambor zdziwił się jeszcze bardziej.

C.D.N.